

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 Zł (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 5 (296) • ROK XXVI • MAJ 2020



WIOSNA
BUDZI NADZIEJĘ

ISSN 1425-3917



9 771425 391707

fot. UM Ruda Śląska



Ruda Śląska to wbrew pozorom zielone miasto, którego ponad jedną trzecią powierzchni stanowią tereny zielone. W ostatnich latach władze miasta dokonały szeregu inwestycji, przekształcając obszary poprzemysłowe w tereny rekreacyjne służące mieszkańcom. Rewitalizacja objęła m.in. hałdę Góra Antonia oraz teren po byłej koksowni Orzegów.

Szczegóły str. 9

fot. UM Dąbrowa Górnicza



Od lat park Zielona w Dąbrowie Górniczej stanowi wspaniałą przestrzeń dla wydarzeń kulturalnych i społecznych. To tutaj odbywa się m.in. Dębowy Maj Festiwal czy plenerowe koncerty organizowane przez Pałac Kultury Zagłębia. To jeden z najstarszych parków w Zagłębiu Dąbrowskim. W 2018 r. przyszedł czas na jego gruntowną rewitalizację – park odzyskał swój dawny charakter i blask.

Szczegóły str. 13

fot. Marek Skwara



Mijająca w maju pierwsza rocznica śmierci wybitnego architekta Stanisława Niemczyka skłania do przypomnienia jego dorobku. Do najbardziej zauważalnych, monumentalnych budowli według jego projektów w naszym regionie należą kościoły: w Czechowicach-Dziedzicach (pod wezwaniem Chrystusa Odkupiciela) i inne kościoły w Tychach, Pawłowicach i Pszczyźnie, a także realizowany od 2000 roku monumentalny zespół klasztorny oo. Franciszkanów w Tychach.

Szczegóły str. 50

fot. Julia Montewska



Dwór w Wierzchowcach dziś jest już tylko wspomnieniem, o którym pamięć znana jest niemal wyłącznie eksploratorom i pasjonatom lokalnej historii. Aristokratyczną rezydencję zdevastowali w 1945 roku radzieccy żołnierze, a władza komunistyczna w kolejnych latach rozparcelowała majątek. Piękny niegdyś dwór, pozbawiony nakładów na remonty i naprawy, popadł w ruinę a w 1989 roku przestał istnieć.

Szczegóły str. 80

Nr 5(296), Rok XXVI, MAJ 2020

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztuka

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS
MAGDALENA DZIADEK
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
RYSZARD JASNORZEWSKI
PAWEŁ MAJERSKI
JAN MALICKI
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
JULIA MONTEWSKA
JAN MIODEK
KATARZYNA NIESPOREK
JERZY PASZEK
DARIUSZ PIETRUCHA
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
HENRYK SZCZEPAŃSKI
JOANNA WAROŃSKA
AGNIESZKA ZIELIŃSKAADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
zarzad@slaskwn.com.plDTP: Tomasz Kowalski
tomekk1959@tlen.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.
ul. Pivna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty:

poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”
na terenie całego kraju. Bezpośrednio
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGZ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1700 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 2 *Tadeusz Sierny* OD REDAKTORA
4 *Piotr Skowronek* BYLI PEŁNI ŁĘKU. ROZMOWA Z ABP SENIOREM DAMIANEM ZIMONIEM
6 *Dariusz Krawczyk* MIĘDZY NAMI SĄSIADAMI CZYLI KOMUNIKOWANIE LOKALNE
9 *Iwona Małyska* Z POMYSŁEM NA TERENY ZIEŁONE
10 *Zbigniew Lubowski* ODMÓWIŁ MIERZENIA ZAWARTOŚCI KOMUNIZMU
13 *Zdzisława Górską-Nieć, Aneta Błyszczek* ZIEŁONA I UROCZA
14 *Anna Krzyszkowska-Kuc, Tomasz Sanecki* PRZYRODA I HISTORIA, czyli JAK ZMIENIŁY SIĘ NAJCIEKAWSZE ZAKĄTKI BYTOMIA
18 *Piotr Skowronek* CO RYSOWAŁ KARLIK Z „KOCYNDRA”?
20 *Adrian Lubszczyk* PARK CEGIELNIA, CZYLI ŻORSKI CENTRAL PARK
21 *Magdalena Mickielewicz* GLIWICE STAWIAJĄ NA ZIELEŃ
26 *Małgorzata Lichecka* „NOWINY GLIWICKIE” – TCHNIENIE MIASTA
29 *Zygmunt Woźniczka* O NOWE SPOJRZENIE NA GÓRNY ŚLĄSK
30 *Marian Jabłoński* MEDIUM MIĘDZY MIASTEM A MIESZKAŃCAMI
31 *Małgorzata Lichecka* MISTRZ MEDIÓW STADIONOWYCH. ROZMOWA Z ANDRZEJEM SŁUGOCKIM, SPIKEREM PIASTA GLIWICE
34 *Andrzej Jarczewski* OD PAPIERU ZACZEŁY SIĘ MEDIA. ROZMOWA Z FLAWIUSZEM PIĘTRZYKIEM, WŁAŚCICIELEM CZERPALNI PAPIERU ART-PAPIER
38 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* USTRONSKA „KSIĄŻECZKA O SADACH I OWOCACH”
39 BŁYSKI i ZAPATRZENIA *Marian Sworzeń* STANISŁAW WACHOWIAK, „CZASY, KTÓRE PRZEŻYŁEM. WSPOMNIENIA Z LAT 1890-1939”
40 *Jerzy Paszek* MOJA PRZEPASTNA LUB SPOLEGLIWA BIBLIOTEKA
42 *Stefan Gierlotka* OJCIEC DAMIAN HENRYK SZOJDA OFM – SPOWIEDNIK WOJEWODY?
46 *Lukasz Bies* ARKADIUSZ KREMZA. POŻEGNANIE
48 *Marian Uherek* JÓZEF PUKOWIEC – BIOGRAFIA ŚLĄZAKA
50 *Marek Skwara* ARCHITEKT STANISŁAW NIEMCZYK IN MEMORIAM
53 *Anita Skwara* O LESZKU PTASZYŃSKIM, O ODCHODZENIU
56 *Krysztyna Heska-Kwaśniewicz* HUMANIŚCI NA ŚLĄSKU. MIECZYSLAWA WIKTORIA MITERA-DOBROWOLSKA
60 *Ks. Henryk Pyka* ŚWIADKOWIE OSOBLIWI I ODLEGLI
74 *Wojciech Lipowski* WIECZÓR KUGLARZY
80 ŚLĄSKIE TAJEMNICE *Julia Montewska* PAŁAC W WIERZCHOWICACH

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

- 66 *Ryszard Koziołek* TRZY KROKI KAZIMIERZA CIEŚLIKA
69 GALERIA: KAZIMIERZ CIEŚLIK - MALARSTWO

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE *Janusz Ireneusz Wójcik* SARNA
16 *Janusz Ireneusz Wójcik* WIERSZE
22 *Paulina Klimañska-Nowak* TONLE SAP
44 *Joanna Stoga* PAJĄK NAD SZAFĄ
45 *Joanna Stoga* DROGA

FELIETONY

- 36 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYZNA. *Jan Miodek* JÓZEFA OSFYRA Z NARODU OSTRZODKA
37 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Grzegorz Gerlich* O ZAKŁAMYWANIU PRZESZŁOŚCI I OTCHŁANIACH NIEPAMIĘCI
43 MUZYKA MOJA MIEŁOŚĆ *Krzysztof Korwin-Piotrowski* ALEKSANDRA KURZAK NA ŻYWO I ONLINE
73 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* ANNY NARRACJE NIEZWYKŁE

KSIĄŻKI

- 63 *Andrzej Juchniewicz* Z CZYŚĆCA NA PARNAS
64 *Maciej Kijowski* WINIEN I MA
65 *Agnieszka Kisala* JUBILEUSZ BIBLIOTEKI
65 KSIĄŻKI NADEŚLANE

NOTATNIK KULTURALNY

76 CZĘSTOCHOWA, KATOWICE

Na okładce:

Kazimierz Cieślak, Czterech Ewangelistów (według Psalterza z Amesbury) olej, płótno 240x280, 2019

Tył okładki: Joanna Stoga, Rycina z Korycina, fotografia.

Od Redaktora

Jak w dobie codziennych ograniczeń pogodzić konieczną do życia swobodę i wolność z jednej strony z nie mniej potrzebnymi i powszechnie obowiązującymi zakazami oraz dolegliwymi rygorami z drugiej strony? Każdy z nas potrzebuje poczucia pewności o swoim bezpieczeństwie gwarantowanym mu przez społeczeństwo i instytucje, które ono wytworzyło; ale żądamy także respektowania przez to społeczeństwo i owe instytucje – obszaru dostępnego nam wolnego wyboru, ochronę naszej osobowości, prywatności, podmiotowości, tej nadzwyczajnej typowej dla ludzi, cennej odmienności oraz zróżnicowania.

Nie chcemy, nie możemy i nie powinniśmy przecież być tacy sami, ani takimi samymi standaryzowanymi ludźmi.

Codziennie atakowani jesteśmy informacjami – przez różne dostępne nam media – o dziesiątkach spraw, które porządkują nasze myślenie o otaczającym nas świecie. Wchłaniamy informacje ważne i nieistotne, potrzebne i do niczego nam nie służące. Dowiadujemy się np. o prywatnym życiu ważnej pani, która zaszła w ciążę z innym nie mniej ważnym panem, o mordercy, którego właśnie ujęto, albo skutecznie umknął sprawiedliwości, o kataklizmach i klęskach, które spadły na biednych ludzi, albo o milionowych zyskach jakieś firmy lub przedsiębiorcy. Najczęściej serwisy informacyjne lub publicystyczne rozpoczynają wzorem niezapomnianego Alfreda Hitchcocka od dramatu, katastrofy, a później emitowane są już tylko jeszcze groźniejsze informacje. Czemu ma służyć tak skonstruowana agenda informacyjna – chwalebnej i godnej rozpowszechnienia przestrodze przed groźącymi nam niebezpieczeństwami, czy może potęgowaniu naszego poczucia: lęku, strachu, niepokoju o los nas samych, naszych bliskich? Troska o naszą wspólną przyszłość nie może być narzędziem – jak np. chcą tego niektóre grupy ekologów, wojskowych, medyków, czy polityków – skłaniającym społeczeństwo do

zdefiniowanej przez E. Fromma „ucieczki od wolności”.

Pokolenie dzisiejszych 60–i 70-latków budowało (nie bez kosztownych społecznie błędów) w latach 80. i 90. minionego wieku wizję nowoczesnej, wolnej Polski na ideałach pozytywnych, na projekcji solidarnego społeczeństwa o wielkich – dostępnych w marzeniach i realiach – szansach rozwoju.

Pokolenia dzisiejszych trzydziestolatków, czterdziestolatków zdają się budować wizję współczesnego zglobalizowanego świata na: trwodze, lękach i ortodoksyjnej wręcz wierze w cyfrowy, zinfomatyzowany, zuniformizowany świat, w którym społeczeństwo zarządzane będzie wyłącznie drogą bezdusznych cyfrowych procedur (lekarze?), protokołów (urzędnicy?), formularzy i tabel (pedagodzy?) przy pomocy prostych w użytkowaniu aplikacji umożliwiających dostęp do nieograniczonej ilości dóbr konsumpcyjnych. Ten *nowy wspaniały świat*, jak go prorokował Aldous Huxley, nie ma wiele wspólnego z pomyślaną przez Alvina Tofflera *gospodarką nadsymboliczną*, w której decydującą rolę miały odgrywać: praca umysłowa, usługi i małe, rodzinne przedsiębiorstwa. Przypomina on ziszczenie się ostrzegawczych prognoz, jakie prof. Józef Bańka formułował w swojej pracy pt. *Krytyka rozumu cyfrowego*.

Gdzie więc został ukryty ideał wolności i wynikającej z niej ludzkiej kreatywności, odmienności i tej wspaniale różnicującej nas humanistycznej wyjątkowości, skutecznie niwelujący zapędy różnych technokratów do zunifikowania kolejnych pokoleń wg algorytmów tworzonych przez cyfrowych demiurgów?

„Ludzkie stado” tym różni się od stad naszych „braci mniejszych”, że stworzyło jako gatunek wyjątkowe zjawisko zwane – **kulturą symboliczną**. Algorytmy są zaledwie niewielką częścią – chociaż dziś bardzo istotną – owej kultury symbolicznej, lecz jest ona nieprawdopodobnie zróżnicowana, bogata, dla

każdej z ludzkich społeczności odmienna i... niezbędna. Tak jak niezbędne dla ich trwania są: etyka, religia, pismo, język, nauka, technologie, państwa i wiele, wiele innych zjawisk (poezja, literatura). W zglobalizowanej „światowej wiosce”, pomimo dominacji ponadpaństwowych i ponadnarodowych agend medialnych, funkcjonowania przeróżnych informacji rozsiewanych przez błąkających się po całym świecie baumanowskich „turystów” – te marginalizowane przez administrację i przedsiębiorców „imponderabilia” odgrywają zasadniczą rolę w procesie odróżniania przez nas: fałszu od prawdy, dobra od zła, owej cennej wolności od anarchii, pomocniczości od cwaniactwa, piękna od brzydoty, patriotyzmu od indyferentyzmu, egoizmu od altruizmu, solidnej roboty od pozoractwa i lenistwa – i wielu innych fundamentalnych wartości wpisanych do tradycji narodów i państw. Jednak przede wszystkim pozwalających nam realizować nasze codzienne humanistyczne ideały w zgrzebnym, zwyczajnym pracowitym bytowaniu, przestrzegania reguł ostrożnościowych, ważnych dla nas samych i naszych współobywateli.

To nie suche reguły prawa lub algorytmy cyfrowego świata, albo hiobowe wieści płynące z mediów lub wdrukowywane w naszą świadomość strach i lęk skłaniają nas do postaw altruistycznych, ochrony słabszych, wspierania mądrych inicjatyw dobrze służących innym – lecz pierwotne, wyniesione z rodzinnych domów przekazywania, poznane w edukacyjnych ławach prawdy, wreszcie z własnego życiowego doświadczenia wyciągnięte wnioski, czyli owa lekceważona kultura symboliczna budują nasze – częstokroć niełatwe, ale szczęśliwe życie.

Będziemy w kolejnych numerach miesięcznika „Śląsk” przyglądać się naszym regionalnym i lokalnym mediom oraz enklawom ciszy, spokoju i refleksji skłaniającym do zadumy nad naszą codziennością.

Tadeusz Sierny

Sarna

Na skarpie autostrady
przestraszona sarna
chce uciekać tam
skąd wiatr niesie
zapach ziół i żywicy
ale odgradzona siatką
miota się bezradnie

kruche jest życie
pięknych istot
mijanych w pośpiechu
nigdy nie wiemy
gdzie jest granica
zza której nie ma powrotu
do bocianiego gniazda

dlatego tęsknimy
do miejsc ukochanych

ale coraz trudniej
podążać za głosem serca
kiedy na rozstajach
ktoś już za nas
ustawił drogowskazy

Janusz Ireneusz Wójcik – urodzony we Wrocławiu w 1961 r. – poeta, animator kultury, organizator Najazdu Poetów na Zamek Piastów Śląskich w Brzegu. Autor zbiorów poetyckich: *Opisanie świata* (1991), *W cień oliwnego drzewa* (1996), *Brzeg czasu* (2001), *A fény kertésze* (2017). Jego wiersze ukazywały w kraju i za granicą m.in. w Czechach, Słowacji, Niemczech, na Węgrzech i Ukrainie. Współpracuje z miesięcznikiem społeczno-kulturalnym „Śląsk”. Został uhonorowany m.in. nagrodą Wojewody Opolskiego, Złotą Spinką – nagrodą „Nowej Trybuny Opolskiej”, odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej”, honorowym medalem MSZ Republiki Czeskiej oraz tytułem Honorowy Obywatel Székesfehérváru (2019). Członek Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach.

Księżę Arcybiskupie, czy wobec panującej pandemii katolik powinien sięgać do tych fragmentów Biblii, które zawierają słowo „zaraza” i trząść się ze strachu przed nadchodzącym końcem świata, przed bliską apokalipsą? Nie wiem, czy słyszał ks. Arcybiskup o ciekawym skojarzeniu ks. Janusza Koplewskiego, że COVID-19 czytane wspak to Psalm 91. Ten z Psalterza Dawidowego Jana Kochanowskiego był ulubioną modlitwą mojej starki Maryjki, urodzonej w Pszowie na początku XX wieku. Odmawiała go codziennie po Aniele Pańskim i dodawała: „Rzykej synek, to ci Ponboczek pomoże”.

Mam także wspomnienie związane z Psalmem 91. Prof. Wincenty Libura w rybnickim liceum, gdzieś w roku 1951, na języku polskim komentował ten psalm. Odmawiał go ze swoją rodziną, uciekając z Rybnika przed wojskiem niemieckim w 1939 roku. Wtedy była to modlitwa ludzi, którym osunął się grunt pod nogami. Byli pełni lęku przed nadciągającymi wojskami. Modlitwa Psalmu 91. ich umacniała.

Często widzimy w telewizji rodziny uczestniczące poprzez Internet w Mszy Św. Jeden z kaznodziejów stwierdził, że to, co miało być dziełem szatana – pozamykane kościoły, stało się dziełem Boga – Kościoły Domowe. Jak najpełniej uczestniczyć w takiej Eucharystii? Często domownicy wstydzą się klękać – bądź, co bądź – przed ekranem. Pandemia jest realnym zagrożeniem życia, tu i teraz, ale ekonomiści trąbią już na alarm, że odmieni ona nasze życie w przyszłości. Wielu ludzi straciło pracę, dzieci nie chodzą do szkoły, nie wiadomo, kiedy odbędą się matury i egzaminy. Jak radzić sobie z taką niepewnością, z lękiem o przyszłość swoją i najbliższych? Jeszcze niedawno wydawało się, że jako ludzie możemy wszystko, tymczasem wirus pokazał nam, jak świat jest kruchy, a jego losy wątpliwe. Może jedynym rozwiązaniem na bezsilność człowieka są Boże przyrzeczenia w ostatniej strofie przywołanego psalmu?

Raniero Cantalamessa, teolog papieski, w Wielki Piątek 2020 powiedział: „Gdy malarz sir James Thornhill ozdabiał freskami katedrę św. Pawła w Londynie, w pewnym momencie był tak zachwycony swoim malowidłem, że zrobił krok w tył, aby zobaczyć lepiej, zupełnie nie zdając sobie sprawy, że może spaść z rusztowania. Jego przerażony pomocnik zrozumiał, że jeśli w tym momencie zawoła mistrza, tylko przyspieszy jego upadek. Nie zastanawiając się ani chwili, zanurzył pędzel w farbie i cisnął nim gwałtownie w sam środek fresku, a oszołomiony mistrz rzucił się do przodu. Jego dzieło uległo zniszczeniu, ale on został ocalony.

Tak niejednokrotnie czyni z nami Bóg. Wywraca nasze projekty i burzy nasz spo-



„Byli pełni lęku...”

Z abp seniorem **DAMIANEM ZIMONIEM**
rozmawia **PIOTR SKOWRONEK**

kój, aby ocalić nas przed upadkiem w przepaść, której nie dostrzegamy. Ale nie dajmy się oszukać. To nie Pan Bóg za pomocą koronawirusa rzucił pędzlem we fresk naszej dumnej technologicznej cywilizacji. Bóg sprzyja nam, nie wirusowi. *Moje zamiary są pełne pokoju, a nie zguby*, mówi do nas w Biblii.

W dalszym ciągu swojego przemówienia zaznaczył, że „pandemia koronawirusa gwałtownie wyrwała nas z większego niebezpieczeństwa, na jakie narażeni są poszczególni ludzie i cała ludzkość: z iluzji wszechmocy. (...) Innym pozytywnym

owocem obecnego kryzysu jest poczucie solidarności. Czy kiedykolwiek, jak sięgnąć pamięcią, ludzie wszystkich narodów czuli się tak zjednoczeni, tak równi, tak mało skłóceni, jak w tym bolesnym momencie?”

Wiadomo, że w Kościele katolickim jest szeroko rozbudowana społeczna nauka Kościoła. Od końca XIX w., od encykliki Leona XIII dynamicznie się rozwinęła. Co na temat pandemii koronawirusa ma nam do powiedzenia?

Ostatnia encyklika społeczna Benedykta XVI „Miłość w prawdzie” z 29 czerwca 2009 r. to aktualny dokument na temat problemów współczesnego świata.

Idee papieskiego przesłania doskonale streszcza jego podtytuł: „O integralnym rozwoju ludzkim w miłości i prawdzie”. Następca św. Piotra pragnie uświadomić nam, że spraw społecznych nie można rozwiązać bez Chrystusa, a przejawiający się na wiele sposobów kryzys, który dotknął dzisiejszy świat zobowiązuje do „ponownego przemyślenia naszej drogi” (CV 21).

Bez Boga człowiek nie wie, dokąd zmierza i nie potrafi nawet zrozumieć tego, kim jest. Wobec olbrzymich problemów rozwoju narodów, które wpędzają nas w zniechęcenie i rezygnację, przychodzą nam na pomoc słowa Jezusa Chrystusa, który uświadamia nam: „Beze mnie nic nie możecie uczynić” (J 15,5) i dodaje odwagi: „Oto Ja jestem z Wami przez wszystkie dni, aż do skończenia świata” (Mt 28,20) (por. CV 78).

Podczas lektury encykliki warto zwrócić uwagę na to, że współczesna kwestia społeczna nie ogranicza się już, jak za czasów papieża Leona XIII, do wołającego o pomstę do nieba położenia robotników, ani też do aktualnego w czasach św. Jana XXIII zagrożenia pokoju przez systemy totalitarne. Nie wyczerpuje się w wyścigu zbrojeń i w konfliktach ideologicznych, nie dotyczy nierówności społecznych czy kryzysu wolności, ale przybiera dzisiaj postać kwestii antropologicznej, czyli kryzysu rozumienia samego człowieczeństwa.

Ważny w nauczania św. Jana Pawła II dyskurs o solidarności zostaje uzupełniony terminem „braterstwo”. Społeczeństwo coraz bardziej zglobalizowane wprawdzie zbliża nas do siebie, ale nie jest w stanie uczynić z nas braci. Prawdziwe braterstwo ma swój początek w transcendentnym powołaniu przez Boga Ojca, który jako pierwszy nas umiłował. Przez swego Syna uczy nas, czym jest miłość braterska w samej swej istocie, mianowicie ofiarą z własnego życia, składaną z miłości do Boga i bliźniego. O ile wolność i równość są możliwe zawsze, to braterstwo domaga się czegoś więcej niż prawa i sprawiedliwości – domaga się właśnie miłości do prawdy i prawdy miłości.

W czasach zdominowanych przez myślenie ekonomiczne Benedykt XVI przypomina, że gospodarka to coś więcej niż aktywność człowieka dla zapewnienia sobie zysku. Odnowienie pogrążonego w kryzysie życia ekonomicznego może nastąpić jedynie poprzez pokonanie chciwości, zawiązanie ponownych relacji pomiędzy ekonomią, polityką a etyką, poprzez powrót do chrześcijańskich cnót społecznych. Gospodarka nie może obyć się bez przyjęcia kategorii bezinteresowności. Za przypomnienie tych wskazań włoski ekonomista Ettore Gotti Tedeschi zaproponował Benedyktowi XVI nagrodę Nobla w dziedzinie ekonomii.

Czy taki dokument nie jest skierowany jedynie do uczonych i odpowiedzialnych za kształt gospodarczy, społeczny i polityczny współczesności?

Rozwój – pisze Benedykt XVI – potrzebuje chrześcijan z ramionami wzniesionymi do Boga w postawie modlitwy, chrześcijan kierujących się świadomością, że miłość pełna prawdy, z której wywodzi się autentyczny rozwój, nie jest naszym wytworem, ale zostaje nam przekazana w darze. Rozwój taki zakłada wrażliwość na życie duchowe, poważne branie pod uwagę doświadczenia ufności w Bogu, zawierzenia opatrności i miłosierdziu Bożemu. Wszystko to jest nieodzowne do przemienienia serc kamiennych w serca z ciała, tak by życie na ziemi uczynić „Bożym”, i dlatego godnym człowieka (CV 79).

W jaki sposób tego dokonać? Czy to jest dziś jeszcze możliwe?

Papież Franciszek pokazuje, że tak i realizuje wytyczne tego dokumentu. Widzimy jak Duch Święty prowadzi Lud Boży ku nowej nadziei.

Na zakończenie jeszcze raz Raniero Cantalamessa: „Tak jak Mojżesz wywyższył węża na pustyni, tak został wywyższony Syn Człowieczy, by każdy kto w Niego wierzy miał życie wieczne. Także my w tym momencie jesteśmy kąsani przez niewidzialnego, jadowitego węża. Patrzymy na Tego, który został wywyższony dla nas na krzyżu, adorujemy Go. (...) Kto spogląda na Niego z wiarą ten nie umiera. A gdyby umarł, to po to, aby wejść do życia wiecznego”.

Bardzo serdecznie dziękuję za rozmowę. ■



fol. Christophorus ex Silesia

Między nami sąsiadami, czyli komunikowanie lokalne

DARIUSZ KRAWCZYK

Teoretyczne ujęcie masowego komunikowania lokalnego odwoływać się powinno do refleksji naukowców z XX wieku charakteryzujących ten termin jako „*swego rodzaju pomieszczenie komunikowania interpersonalnego z komunikowaniem medialnym zapośredniczonym*”.

Skonstruowane modele ujmują komunikowanie lokalne jako m. in. system społeczny, a jeden z pierwszych jego badaczy Günter Kieslich wskazywał, że „system ten nie ma charakteru hermetycznego, jest otwarty i posiada zdolność wymiany informacji oraz wchodzi w relacje z innymi systemami komunikacyjnymi.

Lokalność nie jest fenomenem geograficznym, lecz przede wszystkim społecznym”. Günter Kieslich dystansował się od uwarunkowań uwzględniających lokalny wymiar aktywności politycznej.

Inne modele komunikowania lokalnego akcentują natomiast tę sferę, zwracając uwagę na lokalną opinię publiczną i partycypację obywatelską, a także pojmując komunikowanie lokalne jako sieć dostępną dla realizujących swoje interesy podmiotów komunalnych.

W tym kontekście warto zauważyć, że wraz z ekspansją mediów elektronicznych „**rola swobodnej, permanentnej, rzetelnej, wszechstronnej informacji oraz rola lokalnej opinii publicznej mają decydujące znaczenie, z jednej strony, dla trwania i rozwoju, z drugiej, dla zapobiegania zjawiskom dysfunkcji i deprawacji lokalnych, w tym przede wszystkim władzy lokalnej.** Tradycyjna więc kontrola społeczna przekształca się w kontrolę dokonywaną za pośrednictwem swoistej lokalnej opinii publicznej”

Biorąc pod uwagę odbiorców aktywności komunikacyjnej samorządów, istotna jest analiza znaczenia partycypacji obywatelskiej, która „dla społeczności lokalnych powinna być przeprowadzana w kontekście roli komunikacji odbywającej się pomiędzy społeczeństwem a władzami czy innymi podmiotami zaangażowanymi w tego rodzaju inicjatywy.

Komunikacja ta ma charakter w pełni dwustronny, jednakże nie zawsze przebiega bez zakłóceń czy trudności i nie zawsze jest wolna od pewnych manipulacji bądź nacisków”. **Mieszkańcy powinni mieć zapewniony dostęp do informacji ważnych dla funkcjonowania i przyszłości wspólnoty samorządowej, aby przynajmniej podejmować próby aktywnego uczestnictwa w sprawowa-**

niu władzy na szczeblu gminnym lub powiatowym.

Komunikowanie lokalne „charakteryzuje się tym, że jest ograniczone podmiotowo, przedmiotowo i terytorialnie, co oznacza, że bierze w nim udział określona liczba uczestników, komunikują się oni na określone tematy na konkretnym terytorium, choć to ostatnie kryterium należy uznać za powoli zanikające ze względu na rozpowszechnienie komunikowania za pośrednictwem sieci”.

Na poziomie lokalnym dla wspólnoty samorządowej gminy (szczególnie wiejskiej lub miejsko-wiejskiej) wciąż duże znaczenie posiada komunikacja interpersonalna. Spotkania, zebrania, konsultacje to nadal ważna forma przekazu informacji.

Istnieją również media elektroniczne skoncentrowane na zagadnieniach lokalnych takie jak: (1) radio, (2) telewizje oraz (3) nadawcy internetowi.

W zarządzaniu komunikacją społeczną samorządu nadal jednym z ważniejszych narzędzi udostępniania pożądanych treści może być prasa lokalna. Doprecyzowując znaczenie tego pojęcia „**przyjmuje się, iż prasa lokalna wyodrębniona na podstawie kryterium zasięgu rozpowszechniania,** to kategoria takich wytworów prasowych, które ukazują się na terytorium mniejszym od terytorium państwa. Dla tego podlegają one charakterystycznemu podziałowi, który wyznacza im właściwe obszary kolportażu, wydzielone zwykle na podstawie wewnętrznego podziału terytorialnego państwa. W rezultacie prasę lokalną możemy podzielić według kryterium terytorialnego zasięgu na charakterystyczne rodzajowo grupy. W ten sposób podążając od najmniejszej jednostki terytorialnej, jaką jest gmina, poprzez powiat, do największej jednostki, jaką jest województwo, otrzymamy stosunkowo spójny podział obszarów rozpowszechniania prasy lokalnej i jednocześnie określonych kategorii prasy lokalnej. W rezultacie na pojęcie prasy lokalnej składają się wówczas takie wytwory prasowe, jak prasa gminna, prasa powiatowa, prasa wojewódzka”.

Przedstawiona typologia prasy, w przypadku jednostek administracji terenowej, łączy również zasięg dystrybucji z charakterem wydawcy oraz publiczności medialnej. Większość upowszechnianych treści w przypadku periodyku jednostki samorządu terytorialnego dotyczyć powinna wspólnoty lokalnej, a dominującym segmentem adresatów będą mieszkańcy gmi-

ny, powiatu lub województwa.

Dla odbiorców prasy lokalnej jest ona **źródłem informacji o różnorodnych wydarzeniach, zazwyczaj dość istotnych lub przynajmniej bliskich dla audytorium, narzędziem edukacji, forum wymiany poglądów czy nośnikiem treści komercyjnych.** Bywa też **strażnikiem jawności życia społecznego,** wypełniającym funkcję kontrolną wobec władzy, co akurat nie dotyczy wydawnictw samorządowych.

Do czego potrzebne są nam gazety?

Wśród społecznych funkcji prasy bezspornie wskazać można m. in. informacyjną, publicystyczną, rozrywkową, ogłoszeniową.

W zależności od swej charakterystyki, prasa spełniać może ponadto takie funkcje jak: opiniotwórczą, kontrolną, organizatorską, wychowawczą, socjalizacyjną, integracyjną, a w „opracowaniach prasoznawczych wspomina się także funkcje: interwencyjną, edukacyjną oraz ekonomiczną.

Natomiast teoretycy mediów katolickich zauważają, że najważniejszą ich funkcją jest ewangelizacja”.

Dla uzyskania jak największej przejrzystości modelu, już w latach sześćdziesiątych XX wieku, prasoznawcy polscy przyjmowali, że gazeta „spełnia trzy podstawowe funkcje:

**informowanie,
kształtowanie opinii
i dostarczanie rozrywki”.**

Spółeczna rola mediów może być postrzegana również w kontekście m. in. instrumentu władzy, narzędzia zarządzania, mobilizacji i pobudzania innowacyjności, forum debaty publicznej, stymulatora rozwoju kulturalnego czy wręcz rynku pracy tworzonego przez instytucje medialne.

Akcentując znaczenie publiczności medialnej wskazać trzeba, że termin „prasa lokalna” niesie systemowe implikacje polegające m. in. na tym, że „nadaje a priori i **akcentuje charakter podmiotowości nie obiektu prasowego, lecz właśnie publiczności czytelniczej i tam lokuje programowe funkcje i zadania pisma**”.

Koncentrując się na mediach lokalnych należy stwierdzić, że wśród funkcji prasy lokalnej wymieniane jest: wszechstronne informowanie lokalne, pełnienie funkcji „trybuny społeczności lokalnej”; integracja środowiska lokalnego, kształtowanie lokalnej opinii społecznej, kontrola władz lokalnych, integracja regionalna, wspieranie lokalnej kultury, promocja inicja-

tyw lokalnych „małej ojczyzny”, edukacja i rozrywka.

Opisując tę sferę warto sięgnąć również do ustaleń zagranicznych badaczy.

I tak, odwołując się do piśmiennictwa niemieckiego wyróżnić można trzy główne grupy funkcji prasy:

- (1) informacyjną,
- (2) kontrolną,
- (3) rozrywkową.

Należy podkreślić, że funkcja kontrolna (niem. *Kontrollfunktion der Presse*) rozpatrywana jest w doktrynie niemieckiej w aspekcie dwóch sfer oddziaływania uwzględniających kryterium osiąganego efektu, a obejmujących: „funkcję kontrolną w celu ochrony indywidualnych praw i wolności oraz funkcję ochronną w celu ochrony państwa prawnego”.

Pierwszy z tych obszarów ma na celu ochronę jednostki, jej godności osobistej i osobowości przed arbitralnością i samowolą państwa. Wskazuje się, że prasa przez doniesienia o różnych nieprawidłowościach może się przyczynić do szybszego czy też bardziej prawidłowego rozstrzygnięcia sprawy konkretnej jednostki, jednakże przyjmuje się, że w społeczeństwie demokratycznym funkcja ta nie ma decydującego znaczenia. Zadanie to wypełniają bowiem organy wymiaru sprawiedliwości.

Dużo większe znaczenie ma tutaj kontrola prasy w obszarze życia publicznego, mająca na celu ochronę podstaw demokratycznego państwa prawnego i zapewnienie równowagi władz. Prasa realizując tę funkcję odgrywa również rolę ogniwa

łączącego obywateli z wybranymi przez nich przedstawicielami społeczeństwa, pozwalając na „ocenę ich działań”. Podnosząc rolę funkcji kontrolnej w działaniu prasy warto uświadamiać sobie powyższe rozróżnienie – także w warunkach polskiej prasy wydawanej na terenie gminy czy powiatu.

Postulowanie ujawniania nieprawidłowości w funkcjonowaniu władz publicznych lub nadużyć popełnianych przez osoby działające w ramach lub w imieniu służb, instytucji czy podmiotów gospodarczych, jako jednej z zasadniczych cech wydawnictwa prasowego, bywa nieadekwatne do przyczyn utworzenia, a przede wszystkim możliwości danej redakcji dziennika bądź czasopisma. Komercyjna gazeta lokalna zwykle nie dysponuje odpowiednio wyszkolonymi pracownikami z właściwym zapleczem technicznym, aby na bieżąco podejmować się np. „zwalczania korupcji w życiu publicznym i gospodarczym, w szczególności w instytucjach państwowych i samorządowych”, gdyż jest to ustawowe zadanie innych wyspecjalizowanych formacji, prowadzących postępowania przygotowawcze, których finałem są sprawy sądowe.

Media służą ponadto do zaspakajania potrzeb i oczekiwań, nie tylko – co jest w pełni naturalne – swoich odbiorców, ale również odgrywają określoną rolę względem innych osób lub organizacji aktywnych w życiu publicznym.

Należą do nich m. in. politycy.

Niemieccy medioznawcy wyodrębnili cztery podstawowe funkcje pełnione przez media wobec tej kategorii zawodowej. Należy do nich:

(1) funkcja nadzoru, polegająca na wypełnianiu przez media roli systemu wczesnego ostrzegania, (2) funkcja strategiczna, umożliwiająca obserwację poczynąń przeciwników politycznych,

(3) funkcja marketingowa, wynikająca z faktu, że aktorzy sceny politycznej potrzebują akceptacji społeczeństwa, a także

(4) funkcja refleksji, pozwalająca politykom tworzyć układ odniesienia w stosunku do społecznego postrzegania własnych działań w przestrzeni publicznej oraz postępowania konkurentów politycznych.

Media mogą być także elementem systemu sprawowania i utrzymania władzy. W tym ujęciu traktowane będą jako narzędzie realizacji założeń polityki informacyjnej i komunikacji perswazyjnej. Wyrazistego przykładu tak pojmowanej roli mediów dostarcza właśnie prasa samorządowa. Wydawana jest przecież bezpośrednio lub pośrednio przez ośrodki władzy lokalnej, której służy jako nośnik pożądanych treści. W przypadku nadmiernego zaangażowania struktur nadzoru właścicielskiego w proces funkcjonowania redakcji, a więc m. in. selekcji podejmowanych tematów, przygotowawania zawartości czasopisma i formuły reakowania na relacje zwrotne z publicznością medialną, istnieje zagrożenie przekształcenia charakteru gazet samorządowych w jednoznacznie agitacyjny. Oznacza to,



że zanikowi funkcji kontrolnej towarzyszy również zmiana funkcji informacyjnej w perswazyjną, a wówczas **periodyki samorządu stają się jedynie narzędziem propagandy.**

Jak nami nami manipulują, czyli jak budowany jest lokalny rynek medialny

Dominującą tendencją w formule funkcjonowania mediów w Polsce ostatnich kilkunastu lat wydaje się ukierunkowanie na **tabloidyzację.**

Zakończone w 2015 roku badania medioznawcze potwierdziły, że „zgrupowany materiał empiryczny **nie wskazuje**, że media dążą do przedstawiania w swoich przekazach przede wszystkim kwestii o największym społecznym znaczeniu, tj. społeczno-ekonomicznych i kulturowych, **ale wynika z niego, że koncentrują się głównie na rywalizacji politycznej i naruszeniach prawa.** Przy czym nie jest to sytuacja wyjątkowa (np. dotycząca określonego medium czy okresu), ale stała tendencja wynikająca z upowszechnienia się motywacji marketingowej, czy raczej sprzedażowej”.

Tendencja ta odnotowywana w mediach komercyjnych i publicznych polega na przedstawianiu tematyki odpowiadającej oczekiwaniom publiczności medialnej. Upowszechnianie przekazów w takiej formie wpływa następnie na kształtowanie się preferencji, a wręcz wymogów audytorium. Oczywiście nie zmienia to faktu, że media komercyjne wypełniać mogą w sposób realny funkcję opiniotwórczą czy kontrolną i w wielu przypadkach faktycznie je wypełniają.

Wskazując na media określane jako „niezależne i komercyjne” pamiętać jednak trzeba, że nie działają one w oderwaniu od rzeczywistości ekonomicznej, która wywiera presję wpływającą również „na jakość polskiego dziennikarstwa i przyczynia się w dużej mierze do erozji dziennikarstwa. Należy jednak mieć świadomość, że procesy te zachodzą w skali globalnej i Polska nie stanowi tu wyjątku”.

Spadająca sprzedaż egzemplarowa gazet powoduje, że ich finalni nabywcy nie stanowią grupy decydującej o kondycji finansowej wydawcy. Bilansujące aktywność gospodarczą przychody pochodzą więc muszą z innych źródeł. Naturalne dla gazety są w tym przypadku **wpływy z reklam i ogłoszeń oraz przedsięwzięć komunikacyjnych realizowanych w cyberprzestrzeni.** W sytuacji koncernów medialnych w grę wchodzi jednak bardziej skomplikowane mechanizmy, wynikające z faktu skupiania w swej strukturze różnego rodzaju pod-

miotów rynkowych. I nie chodzi wyłącznie o wynajdywanie rozlicznych sposobów na redukcję kosztów osobowych w zakresie dziennikarskiej części „produkcji” medialnej, chociaż tego typu działania również wpływają na jakość wytworów pracy redakcyjnej. Modelowym wzorcem procesu generowania korzyści wynikających ze zjawiska konwergencji, jest synergia komunikacyjna, stwarzana przez wydawców obciążających zespoły redakcyjne podstawowego tytułu prasowego dodatkowymi obowiązkami. Może to dotyczyć nieodpłatnego przekazywania autorskich praw majątkowych do tekstów czy zdjęć publikowanych potem w gazetach bezpłatnych koncernu, portalach internetowych czy mediach społecznościowych. Ponadto wspomnieć wypada chociażby o ograniczaniu nakładów na wynagrodzenia, co w długofalowej perspektywie powodować może obniżenie jakości pracy, spadek prestiżu zawodu czy problemy z rekrutacją do dziennikarstwa osób o najwyższym poziomie wiedzy i odpowiednich kompetencjach, połączonych z aspiracjami do wykonywania profesji otoczonej społecznym zaufaniem. Uwarunkowania te dotyczą przede wszystkim redakcji lokalnych i regionalnych, gdyż stołeczny rynek medialny, ze względu na swoją specyfikę, podlega tym ograniczeniom w nieporównywalnie mniejszym stopniu. Globalni potencjaci prasowi, wprowadzając programy oszczędnościowe, ograniczają też tzw. koszty osobowe w sferze wytwarzania materiałów informacyjnych o zasięgu lokalnym i regionalnym. Przykładem jest sytuacja gazet regionalnych, gdzie zmniejszanie liczby ich oddziałów lokalnych oraz zwalnianie dziennikarzy – zatrudnionych wcześniej w oparciu o umowy o pracę – spowodowało, że oferowane czytelnikom tygodniki miejskie są nie są już wynikiem pracy zespołu redakcyjnego, lecz nierzadko przejawem aktywności zawodowej jednego autora. Znaleźć to musi odzwierciedlenie w dorobku i jakości publikowanych treści.

Nie jest to zjawisko charakterystyczne tylko dla śląskiego rynku medialnego. Koncerny zmuszone do rywalizacji konkurencyjnej w wymiarze ogólnopolskim wprowadzają rozwiązania wynikające ze skali ich działalności. Dlatego „w strategii firm medialnych triumfy święcą dwa, niewspominane wcześniej, procesy: synergia i konwergencja. Multimedialne konsorcja znakomicie wykorzystują oba dla podniesienia rentowności swojej działalności, lepszego dopasowania swoich produktów do różnych audytoriów i wykorzystania wszystkich posiadanych zasob-

ów produkcyjnych i dystrybucyjnych”. Lokalny rynek medialny analizować więc należy w powiązaniu z sytuacją mediów regionalnych i ogólnopolskich.

Obok niewypełniającej funkcji kontrolnej prasy samorządowej, wydawanej ze środków publicznych i tworzonej przez pracowników nierzadko zatrudnianych na urzędowych etatach „innym problemem jest wypieranie lub zastępowanie mediów lokalnych w dużych aglomeracjach miejskich prasą ogólnopolską, rzadziej regionalną, gdyż ta w dużej mierze została już przejęta przez koncerny zagraniczne i jest tylko dodatkiem do prasy krajowej. Wreszcie trzeba też wspomnieć o koncentracji mediów lokalnych nie tylko w wymiarze przejmowania wydawnictw, ale też w większości przypadków korzystania z usług drukarni. Powszechnie wiadomo, że duże koncerny mają w tym zakresie większe możliwości, aniżeli małe wydawnictwa”.

Specyfika funkcjonowania koncernów medialnych, a szczególnie konsekwencje procesu koncentracji własności przyczyniają się ponadto do mniej lub bardziej świadomego manipulowania opinią publiczną, ponieważ „odbiorcy, którzy mienią się świetnie poinformowanymi, żyją w dość niebezpiecznej iluzji. Po pierwsze, korzystając z różnych mediów, lecz tego samego koncernu medialnego (z czego nie zawsze zdają sobie sprawę), mają wrażenie, że otrzymali różne relacje na temat tego samego wydarzenia.

Po drugie, jest niemal pewne, że większość odbiorców nie ma świadomości, że źródło informacji jest w każdym przypadku to samo.

Po trzecie i nie mniej istotne, w wymiarze ekonomicznym koncern ubija złoty interes, gdyż za konkretną relację płaci korespondentowi tylko raz, ale jego pracę wykorzystuje później wielokrotnie”.

Oprócz prostego redukcji kosztów koncerny medialne uzyskiwać mogą tego typu korzyści wynikające właśnie ze skali działalności. Konsekwencje opisanych uwarunkowań rynku medialnego, odczuwalne w wymiarze lokalnym, wpływają też w pewnej mierze na praktykę komunikowania publicznego samorządów. ■

Powyższy tekst pochodzi z książki:

Dariusz Krawczyk: *Prasa samorządowa jako narzędzie polityki informacyjnej na przykładzie gmin Górnośląsko – Zagłębiowskiej Metropolii*. Katowice 2019. Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, s. 208.

Tytuł, śródtytuły opracowała Redakcja, z pierwotnego tekstu usunięto bogate przypisy i odwołania do innych lektur.

dr Dariusz KRAWCZYK: członek Polskiego Towarzystwa Komunikacji Społecznej oraz Polskiej Akademii Nauk (Komisji Nauk Organizacji i Zarządzania Oddziału w Katowicach), prowadzi wykłady na temat komunikacji społecznej (Uniwersytet Śląski i Politechnika Śląska), biegły sądowy z zakresu komunikacji społecznej i zarządzania ustanowiony przy Sądzie Okręgowym w Gliwicach, naczelnik Wydziału Kontaktów Społecznych Urzędu Miejskiego w Zabrze.

Trakt Rudzki i Góra Antonia

To ścieżka pieszo-rowerowa, która połączy obiekty sportowe, parki, skwery oraz miejsca związane z historią dwóch centralnych dzielnic miasta – Wirku i Nowego Bytomia. W ramach przedsięwzięcia odnowionych zostanie 7 dużych obszarów zielonych, w tym kilka parków o łącznej powierzchni 35 ha. Na realizację tego zadania miasto pozyskało ponad 6 mln zł ze środków unijnych. Cały Trakt Rudzki gotowy ma być do 2021 r.

Pierwszy odcinek Traktu – od ul. Czarnoleśnej do hałdy przy ul. 1 Maja – został wykonany w 2018 roku. Zakończona jest też rewitalizacja zwałowiska. Przedsięwzięcie to jest o tyle ciekawe, że po raz pierwszy w kraju na taką skalę zastosowano wspomaganą fitostabilizację, czyli wprowadzenie do podłoża odpowiednich dodatków ograniczających biodostępność metali ciężkich oraz wysiew odpowiednio wyselekcjonowanych gatunków traw, które nie pobierają zanieczyszczeń do części nadziemnej (zielonej). Udana rewitalizacja hałdy nie byłaby możliwa, gdyby nie zaangażowanie i wkład ekspercki Instytutu Ekologii Terenów Uprzemysłowionych w Katowicach (IETU).

Góra Antonia, bo taką nazwę zyskała hałda, służy rekreacji nie tylko okolicznym mieszkańcom. Zwałowisko cieszy się dużym powodzeniem dzięki atrakcyjnej lokalizacji, a także wykonanej sieci alejek spacerowych z licznymi miejscami odpoczynku. To miejsce chętnie odwiedzane przez rodziny z dziećmi, przede wszystkim z uwagi na duży plac zabaw, ściankę wspinaczkową, oświetloną górkę saneczkową, tor do jazdy na BMX i duże pole do gry. Dodajmy, że na szczycie hałdy powstała górką widokowa, gdzie dzięki zainstalowanej lunecie przy dobrej pogodzie można podziwiać Beskidy.

Oprócz części rekreacyjnej niezwykle ważny jest również aspekt edukacyjny tej inwestycji. Na terenie hałdy utworzona została ścieżka historyczna i edukacyjna. Są tam ustawione kadzie, które kiedyś służyły do wytopu cynku oraz ogromny spięk pohutniczy, czy blok dolomitu, który został wydobyty podczas prac przy rewitalizacji. Ponadto w północnej części zwałowiska zabezpieczony został fragment urwiska jako tzw. świadek historii. Dzięki temu można zobaczyć przekrój hałdy i poznać jak jest ona zbudowana.

Koszt rewitalizacji hałdy wyniósł ok 4,5 mln zł. Zdecydowana większość tej kwoty pochodziła ze środków Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko, z których realizowany jest też Trakt Rudzki. Rewitalizacja hałdy prowadzona była także w ramach innego projektu unijnego – projektu LUMAT.

Kolejną zrealizowaną już częścią Traktu Rudzkiego zlokalizowana jest na zrewitalizowanym terenie ruin amfiteatru w rejonie ul. Czarnoleśnej. Znajduje się tam mini plac zabaw, pergola, ławki, leżaki, stoły piknikowe oraz mnóstwo zieleni. U podnóża amfiteatru utworzona została łąka kwietna, gdzie zasadzono blisko 14 tys. cebul krokusów oraz 2 tys. cebul żonkili. Ponadto nasadzonych zostało blisko 3 tys. bylin i krzewów, w tym blisko 2 tys. hortensji. Pojawiło się także kilkadziesiąt nowych drzew. Co ważne, cały rewitalizowany teren został oświetlony oraz objęty monitoringiem.

Następne odcinki Traktu są w trakcie realizacji. Do końca października w dzielnicy Wirek zrewitalizowane zostaną dwie duże zielone przestrzenie: teren pomiędzy ul. Nowary i ul. Katowicką oraz skwer przy ul. Tuwima. Powstanie m.in. ścieżka pieszo-rowerowa, siłownia zewnętrzna, plac wypoczynkowy, stoły piknikowe oraz pojawią się bardzo dużo zieleni. W większości będą to byliny oraz rośliny cebulowe. Dodatkowo w celu uzyskania izolacji akustycznej i wizualnej przewidziane są gęste nasadzenia drzew i krzewów od strony ruchli-



Rów Rudzki

Z pomysłem na tereny zielone

IWONA MAŁYSKA

Ruda Śląska stawia na rewitalizację terenów zielonych. W mieście sukcesywnie realizowane są inwestycje, dzięki którym zdegradowane obszary otrzymują „drugie życie” i służą mieszkańcom do odpoczynku i rekreacji. Łączna wartość prac to około 35 mln zł. Za te pieniądze zrewitalizowanych będzie w sumie 45 hektarów, wśród których znajduje się hałda, teren po byłej koksowni, a także unikatowa pod względem przyrodniczym dolina. – Potrzebujemy „zielonych płuc”, dlatego przywracamy do użytku zdegradowane przestrzenie i zagospodarujemy je na nowo – mówi prezydent miasta Grażyna Dziedzic.

wych ulic – Katowickiej i Odrodzenia. Ponadto odnowiony zostanie pomnik rudzkich nauczycieli pomordowanych w czasie okupacji w latach 1939–1945, który został wybudowany w 1948 r. Dodatkowo zostanie on również oświetlony.

Rów Rudzki

Pod koniec 2018 roku w Rudzie Śląskiej zrewitalizowanych zostało 5 hektarów cennego przyrodniczo obszaru znajdującego się pomiędzy ul. Bujoczka a ul. Kościelną. Oprócz uporządkowania terenu, nasadzeń nowych roślin oraz budowy budek lęgowych dla ptaków i owadów oraz skrzynki dla nietoperzy powstała też nowa infrastruktura dla mieszkańców: ścieżka pieszo-rowerowa, ławki i plac zabaw. Została również wytyczona ścieżka edukacyjna, przy której zainstalowano tablice edukacyjne.

Dolina Rowu Rudzkiego odznacza się dużymi walorami krajobrazowymi, charakteryzuje się też dużą różnorodnością zwierząt, szczególnie płazów i ptaków. Ponadto znajdują się tam dwa pomniki przyrody – 150-letni grab oraz 200-letni dąb szypułkowy. Co ciekawe, po plebiscycie w 1922 r. wzdłuż osi doliny Rowu Rudzkiego II przebiegała granica między Polską a Niemcami.

Inwestycja kosztowała milion złotych. Większość tych środków miasto pozyskało z unijnego dofinansowania.

Koksownia Orzegów

Taras widokowy, górką saneczkową, ścieżka dydaktyczna – to tylko niektóre atrakcje, które powstają na terenie po byłej koksowni Orzegów – rewitaliza-

cja 5-hektarowego obszaru zabytkowej fabryki. Prace potrwać do 2021 roku i pochłoną 21 mln złotych. 85% tej kwoty miasto pozyskało z Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w ramach Programu Infrastruktura i Środowisko na lata 2014–2020.

Najważniejszą częścią inwestycji jest neutralizowanie niebezpiecznych związków, które zalegają nie tylko w gruncie, ale i w wodach podziemnych. W dalszej kolejności uporządkowana zostanie dzika roślinność. Teren, który przylega do zabytkowych budynków byłej koksowni, zostanie zagospodarowany alejkami parkowymi oraz obiektami małej architektury. Pozostałe ruiny po zakładzie będą odrestaurowane i zabezpieczone, a pomiędzy nimi zostanie wytyczona ścieżka dydaktyczna. Natomiast północna część parku stanowić będzie obszar zielony bez wytyczonych ścieżek, gdzie odwiedzający to miejsce będą mogli chadzać własnymi dróżkami. Dodatkowo zabezpieczone zostaną zachowane fragmenty budynków koksowni, dzięki czemu ocalona zostanie historia tego miejsca.

Zielona Ruda

Ruda Śląska to brew pozorom zielone miasto, którego ponad jedną trzecią powierzchni stanowią tereny zielone. Coraz częściej rudzianie z nich korzystają. – Chcemy im to ułatwić i poprawić komfort użytkowania tych miejsc. Do zrobienia jest bardzo dużo, ale jesteśmy to winni następnym pokoleniom i środowisku. Musimy oddać naturze to, co jej zabraliśmy – podkreśla prezydent miasta Grażyna Dziedzic.

W okresie 25 lat kierowania redakcją (1991–2016) otrzymał aż 67 pozwów sądowych – karnych i cywilnych. Przesyłał je przede wszystkim ludzie, którzy uważali, że opublikowane w gazecie materiały dziennikarskie naruszyły ich dobra osobiste. Tylko jedna z petycji sądowych zakończyła się jego symboliczną porażką, poniesioną – jak sam podkreśla – w dziwnych okolicznościach. Wygrał we wszystkich pozostałych przypadkach, choć niektóre sprawy ciągnęły się nawet długimi miesiącami.

Wśród braci dziennikarskiej uchodził za odważnego żurnalistę (a niektórzy mawiali – docieklivego pismaka) i zarazem operatywnego prezesa spółki wydającej gazetę. Nie przejmował się wielokrotnymi groźbami wybiicia szyb w budynku redakcji, czy pohukiwaniami przez telefon. Robił swoje, walcząc na co dzień o praktyczne urzeczywistnienie szczytnego (górnolotnego) hasła: „wolność prasy”. Pracę w niełatwym zawodzie dziennikarskim rozpoczął jeszcze w czasach PRL.

Jakie najbardziej zdumiewające zdarzenie utkwiło Panu w pamięci z wielu lat działalności redakcyjnej? – zapytaliśmy Piotra WYSOCKIEGO, byłego redaktora naczelnego tygodnika „Kronika Beskidzka” i byłego prezesa spółki Prasa Beskidzka w Bielsku-Białej.

Piotr Wysocki – Zaskakujących i kuriozalnych wręcz zdarzeń w mojej pracy było sporo. Do końca życia nie zapomnę jednak, gdy w 1977 roku zawieszono mnie na trzy miesiące w prawach wykonywania zawodu dziennikarskiego. Do świątecznego numeru napisałem tekst pt. „Kupić, nie kupić?” o piłkarskim klubie BKS Bielsko. Zacytowałem w nim szokujące wypowiedzi prezesa klubu, który z niespotykaną w tamtych czasach szczerością opowiadał o finansowych kulisach piłki. Wyjawił, ile kosztowała „jedna noga” piłkarza Kopicery,



Piotr Wysocki

Odmówił mierzenia zawartości komunizmu

ZBIGNIEW LUBOWSKI

ile pochłonęło pozyskanie Młynarczyka, jak zdobywać przychylność sędziów. Jego zwierzenia nagrałem na przyniesionym do klubu magnetofonie kasetowym „Grundig” (dość duża skrzynka, jak przystało na tamtą epokę).

Takie wyznania w ustroju socjalistycznym były chyba rzadkością. Skandalizujący film fabularny „Piłkarski poker” o wszechobecnej korupcji w sporcie został przecież nakręcony dopiero wiele lat później.

No właśnie. Tamte wypowiedzi prezesa zaprzeczały w ogóle oficjalnym teozom propagandowym, głoszonym w państwie socjalistycznym. Nie było wówczas, przypomnijmy, zawodowego piłkarstwa, a zawodnicy byli oficjalnie zatrudnieni w kopalniach, hutach itp. Po ukazaniu się świątecznego numeru pisma rozpętała się burza. Do akcji wkroczył wszechwładny dyrektor Fabryki Samochodów Małolitrażowych w Bielsku (dziś Fiat Auto Poland – przyp. red.), która finansowała działalność bielskiego klubu sportowego. Był on członkiem Komitetu Centralnego PZPR. Prezes klubu został natychmiast zwolniony ze stanowiska, a mnie groziła dintojra. Skończyło się tylko na trzymiesięcznym zawieszeniu dziennikarskim.

Czyżby mogło być jeszcze gorzej?

Oczywiście. Przed dotkliwymi konsekwencjami prawnymi uratowało mnie tylko to, że mój tekst został przedrukowany w pismach ogólnopolskich – „Polityce”, „Życiu Literackim”, „Perspektywach”, „Kulisach” i „Sztanda-

rze Młodych”. Zaprocentowały osobiste kontakty dziennikarskie Tadeusza Wielgolawskiego, ówczesnego redaktora naczelnego gazety. W efekcie zrobił się ogólnokrajowy szum medialny wokół „socjalistycznej” piłki nożnej. Myślę, że tylko z tego powodu nie wyrzucono mnie na zbity pysk z redakcji. **Czy kwartalne zawieszenie w pracy dziennikarskiej zostało skrupulatnie wyegzekwowane?**

Absolutnie nie. Nadal pisałem cotygodniowe teksty, ale już pod pseudonimem dziennikarskim. Dzięki życzliwości naczelnego.

To ciekawe, że ówczesna cenzura komunistyczna zatwierdziła do druku kontrowersyjny tekst „Kupić, nie kupić?”. Może cenzor zrobił to przez nieuwagę? Kto wie, może tak było? Może akurat wypił jedno piwo za dużo? Ale nie zawsze cenzorzy byli tacy pobłażliwi. Pamiętam, że jako młody dziennikarz udałem się na przełęcz Przegibek w Beskidzie Małym. Brukowaną stromą drogę górską pokryto tam świeżą nawierzchnią asfaltową. Zapytałem jednego z inżynierów, jaka jest grubość asfaltu. Wyjaśnił mi, że kilka centymetrów. Napisałem to w swoim tekście, który jednak się nie ukazał w takiej wersji w gazecie. Cenzura podniosła dziki raban. Uznało, że próbowałem przemycić niebezpieczne treści. Niektórzy byli nawet skłonni podejrzewać mnie, że na zlecenie wrogiego paktu NATO (było to ponad 40 lat temu!) usiłowałem zdradzić militarne tajemnice socjalistycznego państwa. W ocenie partyjnych dy-





gnitarzy było to równoznaczne z działaniami szpiegowskimi.

Dziennikarz w roli szpiega?

Proszę się nie śmiać. Powiedziano mi, że publiczne ujawnienie grubości asfaltu na górskiej drodze w Beskidach stanowiłoby zdradziecką wskazówkę dla sztabowców Bundeswehry, którzy dzięki temu uzyskaliby wiedzę na temat potencjalnych tras przejazdu niemieckich czołgów w razie ewentualnej wojny. „Beskidzka afera asfaltowa” miała taki skutek, że mój oceniany tekst pojawił się ostatecznie w gazecie, lecz bez wzmianki o technicznych parametrach nawierzchni drogi.

Czy poza sytuacjami groteskowymi zdarza się coś miłego i sympatycznego w osobliwych czasach PRL?

Oczywiście. Na łamach bielskiej gazety pisywali wybitni (znani w całym kraju) publicyści i felietoniści, pozyskani w wyniku osobistych starań gwiazdy śląskiej żurnalistyki, Tadeusza Wielgolawskiego, który z prawdziwą pasją kierował redakcją przez połowę dekady lat siedemdziesiątych. W tym gronie warto wymienić Karola Małcużyńskiego, Kazimierza Kutza, Stanisława Dygata, Feliksa Netza, Andrzeja Trepkę, Henryka Wańka, a także Adama Zegadłowicza (wnuka Emila Zegadłowicza). Etatowym grafikem redakcji był zaś sławny rysownik Andrzej Czeczot. Pismo miało więc wtedy wiele atutów. Z pewnością nie było nudną, prowincjonalną gazetką.

Jaki los spotkał potem Wielgolawskiego?

Mocno związał się ze środowiskiem opozycji antykomunistycznej. Po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego w grudniu 1981 roku został internowany i osadzony w jednym z miejsc odosobnienia, przeznaczonych dla przeciwników ustroju. Wyemigrował z kraju. Zmarł w wieku 62 lat w Toronto.

A jak potoczyły się Pańskie losy w tamtym ponurym okresie?

Sam odszedłem z redakcji. Doszedłem do wniosku, że nie ma sensu uczestniczenia w poniżającym procederze weryfikowania dziennikarzy. Nie przystąpiłem w ogóle do przesłuchań weryfikacyjnych, prowadzonych przez instruktorów z Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Bielsku. Uważałem, że są za mali, by oceniać moją przydatność do zawodu dziennikarskiego. Zdałem też sobie sprawę, że w istniejących wówczas realiach politycznych nie ma po prostu warunków pracy dla rzetelnych dziennikarzy.

Proszę wyjaśnić, kim Pan jest z wykształcenia?

Jestem filologiem polskim (Uniwersytet Śląski). Ukończyłem ponadto dziennikarsko-wydawnicze studia podyplomowe na uniwersytetach we Wrocławiu i w Krakowie. Słuchałem wykładów też we Włoszech (Uniwersytet Urbino), podglądałem pracę redaktet w Niemczech. Moje przygotowanie do wykonywania profesji dziennikarskiej było więc wszechstronne.

Czym się zajął bielski, profesjonalny dziennikarz w latach osiemdziesiątych XX wieku?

Najpierw zakładałem i prowadziłem firmy polonijne (austriacką, niemiecką, amerykańską), debiutanckie twory polskiego raczkującego kapitalizmu. Potem otwarłem pierwszy w Bielsku prywatny antykwariat książek, usytuowany przy reprezentacyjnej ulicy handlowej miasta. Współpracowałem wtedy z dwoma znanymi antykwariuszami – Jackiem Maziarskim z Warszawy i Jerzym Kronholdem z Cieszyna, przyszłym konsulem Polski w Ostrawie. Ale o dziennikarstwie pamiętałem. Wymyśliłem formułę, założyłem i przez ponad rok prowadziłem funkcjonujący do dziś „Jarmark”. Gdy mi się to znudziło, sprzedałem tytuł.

Przełom ustrojowy w 1989 roku zmienił sytuację życiową wielu ludzi.

W moim przypadku było podobnie. Po długich wahaniach przyjąłem ofertę objęcia stanowiska redaktora naczelnego gazety uwolnionej już od partyjnego gorsetu Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch”, pozostającej w bezpośredniej gestii Komitetu Centralnego PZPR. Nie dokonałem jednak żadnych zmian w składzie zespołu redakcyjnego, chociaż oczekiwano ode mnie, że pozbędę się osób o poglądach komunistycznych. Nie miałem pojęcia, jak zmierzyć ewentualną zawartość komunizmu w każdym z dziennikarzy zatrudnionych w redakcji. Odmówiłem przeprowadzenia czystki kadrowej. Oznajmiłem swoim przełożonym, że jest to profesjonalny zespół, który nie wymaga żadnych przeobra-



żeń kadrowych. Od 1991 roku łączyłem funkcję szefa gazety z obowiązkami prezesa spółki *Prasa Beskidzka*, która była również wydawcą „Głosu Ziemi Cieszyńskiej”.

Czy łatwiej kierowało się redakcją w systemie pozbawionym cenzury?

Zniknęła rzeczywiście paskudna cenzura, ale pojawiły się inne wyzwania: jak zapewnić gazecie stabilne źródła jej finansowania w warunkach wolnej konkurencji. W dekadzie lat dziewięćdziesiątych kierowanie firmą medialną wymagało w dużym stopniu umiejętności biznesowych. Przydały się w tym względzie moje osobiste doświadczenia z poprzedniej dekady.

Jakich udziałowców miała spółka Prasa Beskidzka?

Udziały należały do czterech podmiotów – zespołu dziennikarskiego, organizacji „Wspólnota Polska” (działalność prasowa na pograniczu polsko-czeskim), Regionalnej Izby Handlu i Usług oraz



Bielska siedziba wydawnictwa Prasa Beskidzka

for. Zbigniew Lubowski



Regionu Podbeskidzie NSZZ „Solidarność”. Proszę zwrócić uwagę na fakt, że udziałowcami byli w równym stopniu pracodawcy, jak i pracownicy, reprezentowani przez związkowców. Trzeba było więc elastycznie balansować w trudnej przestrzeni, by zaspokoić społeczne oczekiwania różnych środowisk. No i oczywiście współników.

Jak z upływem lat zmieniał się nakład „Kroniki Beskidzkiej”?

Nakład „KB” zmieniał się w zależności od terytorialnego zasięgu jej oddziaływania. W czasach istnienia województwa bielskiego sięgał nawet 80 tysięcy egzemplarzy. U schyłku XX wieku wynosił ok. 45 tysięcy. Teraz jest mniej, bo w ogóle spadło czytelnictwo tradycyjnej prasy drukowanej. Proszę jednak nie zapominać o tym, że radykalnie zmieniła się regionalna sytuacja wydawnicza. Spółka Pra-

sa Beskidzka wydaje teraz 4 tygodniki: „Kronikę Beskidzką” (powiat bielski), „Głos Ziemi Cieszyńskiej” (powiat cieszyński), „Żywiecką Kronikę Beskidzką” (powiat żywiecki), a nawet „Małopolską Kronikę Beskidzką” (powiaty: oświęcimski, suski i wadowicki). **Który z tych tygodników jest najstarszy, a który najmłodszy?**

„Głos Ziemi Cieszyńskiej” powstał najwcześniej – w 1955 roku. Cieszy się on do dziś ogromnym zainteresowaniem tamtejszych mieszkańców (65 lat od swoich narodzin). W 1956 roku, na fali tzw. „odwilży październikowej”, utworzono „Kronikę Beskidzką”. Małopolski tygodnik z redakcją w Wadowicach istnieje natomiast od 11 lat i jest medialnym „dzieckiem” bielskiej „Kroniki”. Najmłodszym potomstwem „Kroniki” – matki jest zaś pismo żywieckie. Powstało ono w 2016 roku.

Jaki charakter ma dziś „Kronika Beskidzka”?

Niezmienny pozostał profesjonalizm, czyli troska o jakość na każdym etapie tworzenia pisma. A tego profesjonalizmu w dzisiejszym dziennikarstwie jest coraz mniej. Niezmienne piętnujemy złych ludzi i instytucje, którym wydaje się, że na nich nie ma mocnych. Niezmiennie – co mnie najbardziej cieszy – jesteśmy nieprzejednani w kwestii ochrony środowiska naturalnego, walczyliśmy z wandalami o czystość beskidzkich rzek, z „myśliwską bracią”, zabijającą dla przyjemności resztki leśnych zwierząt oraz z trucicielami powietrza. Myślę, że cieszy to również zjeżdżających w Beskidy mieszkańców Górnego Śląska. No i niezmiennie nie mamy żadnej konkurencji w naszym regionie. To zresztą kontynuacja polityki stosowanej przeze mnie zawsze

– wycinać w pień wszystko, co usiłuje nam zagrozić.

Stucham?

Spokojnie, oczywiście nie ogniem i mieczem, lecz dobrym tematem, dziennikarską sztuką i skutecznym sposobem. To się udawało mnie i udaje się moim następcom, co bardzo mnie cieszy, choć siedzę już przecież z boku. **Pozwolę sobie zauważyć, że rozmawiamy teraz ze sobą w kameralnym pokoju w siedzibie wydawnictwa, na którego drzwiach wisi tabliczka z samym tylko Pańskim imieniem i nazwiskiem, bez żadnych tytułów, ani funkcji. Oznacza to w sposób oczywisty, że jest Pan „szarą eminencją” w spółce Prasa Beskidzka...**

Raczej szarą myszką. To tylko skromna, nostalgiczna pozostałość dawnych czasów, w których kierowałem całą firmą. Wiele się ostatnio zmieniło. Spółka ma teraz jednoosobowego właściciela, bielskiego przedsiębiorcę mającego już pewne doświadczenia w działalności wydawniczej. Wykupił on udziały od pozostałych współników i jest zwolennikiem wzbogacania arsenалу spółki, stąd mamy też dwa portale internetowe – regionalny i bielski, beskidzką TV. Szykuje, z tego co wiem, kolejne niespodzianki.

A czy nadal w zespole redakcyjnym „KB” są odważni publicyści i reporterzy, pokroju Teresy Madej, która w przeszłości była, o ile mi wiadomo, niezmordowaną dziennikarką śledczą gazety?

Dawniej dziennikarską gwiazdą naszych łamów był Tadeusz Patan, wszędobylski reporter, wciąż i wszędzie szukający dziury w całym. Czytelnicy go uwielbiali. A potem Teresa Madej pozyskana przeze mnie z redakcji znanego niegdyś pisma „Tak i Nie”. Była jedyną w swoim rodzaju. Zajmowała się głównie skandalami i malwersacjami gospodarczymi. Jej publikacje wzbudzały ogromne emocje decydentów i polityków. Często padał na nich błąd strach, gdy tylko słyszeli, że dzwoni „ta Madej”. Tak pouklądanej, profesjonalnej, bezkompromisowej i uczciwej dziennikarki ze świecą szukać.

Czy „Kronika Beskidzka” przetwa okres odwrotu wielu ludzi od tradycyjnego czytelnictwa papierowej prasy?

W tej sprawie jestem optymistą. Gazeta ma przecież licznych sympatyków, którzy wciąż pozostają jej wiernymi czytelnikami. Tygodnik posiada dwa ogromne atuty. Po pierwsze – nie jest partyjnym pismem politycznym, prezentującym na swoich łamach jednostronny punkt widzenia jakiegokolwiek ugrupowania. Po drugie – jest bliski ludziom, ich oczekiwaniom i potrzebom. No i je spełniamy... ■

fot. arch.



Księżna Maria Krystyna Habsburg (z linii żywieckiej) w redakcji „Kroniki Beskidzkiej”

Jest takie miejsce w Dąbrowie Górniczej, które w maju obsypuje się nie tylko świeżą zielenią, ale również białą kwiatów czosnku niedźwiedziego, miejsce, którego nie da się porównać z żadnym innym na mapie Śląska. Miejsce, bez którego mieszkańcy nie wyobrażają sobie swojego miasta. Mowa o Parku Zielona, który zachwyca naturalnym pięknem przyrody i kusi urokiem wypielęgnowanej przestrzeni parkowej.

To właśnie natura stanowi największe bogactwo Parku Zielona. Park powstał w okresie międzywojennym na terenie, gdzie rósł las liściasty, co stanowi o jego wyjątkowości, gdyż naturalny charakter udało się utrzymać do dziś. To przede wszystkim miejsce, w którym wciąż można spotkać rzadkie, będące pod ochroną gatunki roślin i zwierząt. Część parku – Uroczysko Zielona – to obszar objęty ochroną jako użytek ekologiczny. Wiosną Zielona wypełnia się białymi kwiatami – kwitnącym czosnkiem niedźwiedzim, mającym właściwości lecznicze. Można tu ponadto podziwiać śnieżyczkę przebiśnieg – niewielką roślinę zwiastującą wiosnę, której białe kwiaty wyglądają jak wiszące na cienkich łodygach dzwoneczki. To tu można zobaczyć lilie złotogłowie, śnieżyczki przebiśniegu, przylaszczki pospolite. Natomiast w koronach drzew można usłyszeć kowalika, ziębę, a także drozda śpiewaka, który układa całe „piosenki” z powtarzającymi się partiami. Jest to jedno z tych miejsc na mapie Zagłębia, w którym można po prostu odetchnąć. Ale park jest atrakcją nie tylko dla wielbicieli natury. W okresie wiosenno-letnim chętnie odwiedzają go rodziny z dziećmi, które uwielbiają zabawy na nowo wyremontowanym placu zabaw, a także seniorzy, którzy najczęściej wybierają tutejszą fontannę i okrągłak – miejsce letnich koncertów plenerowych. Zieloną kochają również amatorzy aktywności na świeżym powietrzu, gdyż w parku przecinają się liczne ścieżki rowerowe, a także mogą tu skorzystać ze ścianki wspinaczkowej, skate parku czy kompleksu boisk do siatkówki plażowej w osrodku Centrum Sportów Letnich i Wodnych.

Park z historią

Park Zielona zlokalizowany jest na pograniczu Dąbrowy Górniczej i Będzina. Jest jednym z najstarszych parków w Zagłębiu Dąbrowskim. Jego utworzenie było efektem budowy w 1932 r. drogi łączącej centrum Dąbrowy z Łagiszą. Przebiegała ona przez las w Zielonej – nieistniejącym już od dawna leśnym przysiółku. Właśnie tam, na 67 hektarach, władze miasta wytyczyły w 1936 r. granice parku miejskiego. W trakcie swojej ponad 85-letniej historii park był wielokrotnie przebudowywany i odnawiany. Niektóre obiekty zniknęły – m.in. basen, pawilon z kawiarnią czy rzeźby z „okrągłaka”. Inne doczekały się modernizacji – jak fontanna i obiekty należące do centrum sportu. W 2018 r. przyszedł czas na



fol. UM Dąbrowa Górnicza

Zielona i Urocza

ZDZISŁAWA GÓRSKA-NIEĆ, ANETA BŁYSZCZEK

gruntowną rewitalizację – park odzyskał swój dawny charakter i blask. Został wyremontowany w ramach projektu „Zagłębiowski Park Linearny – rewitalizacja obszaru funkcjonalnego doliny rzek Przemszy i Brynicy”. Wartość tego projektu w części dotyczącej Dąbrowy Górniczej wyniosła ok. 21 mln zł, a dofinansowanie z funduszy europejskich pozyskanych przez miasto sięgnęło 15 mln zł. Park zyskał nowe oblicze, które jeszcze bardziej trafiło w gusta nie tylko Dąbrowian, ale również mieszkańców całego województwa. Zmniejszyła się ilość betonu i asfaltu – w ich miejsce zostały położone eleganckie płyty granitowe oraz nowoczesne nawierzchnie mineralne. Odnowiono krąg taneczny, fontannę i plac zabaw, oczyszczono także parkowy staw. Całość uzupełniono starannie dobrane oświetlenie, nowe ławki, ścieżki edukacyjne i efektowne kompozycje roślinne. Jednak, co najważniejsze, przy przebudowie położono nacisk na zachowanie naturalnego charakteru tego miejsca. Nie wycięto żadnego drzewa, zadbano o zamieszkujące park zwierzęta i chronione rośliny. Teraz park jest jeszcze bardziej przyjaznym miejscem, w którym wszystkie pokolenia czują się po prostu dobrze. – Park Zielona to miejsce stworzone przez Dąbrowian jeszcze w latach 30. XX w., które do dziś jest ulubionym miejscem spacerów i relaksu mieszkańców naszego miasta. Po rewitalizacji to atrakcja, która przyciąga również wielbicieli ciszy, natury i spokoju z sąsiednich miast Metropolii, bo to wyjątkowa na skalę kraju przestrzeń. Jej uroki docenili także eksperci – Park Zielona w nowej odsłonie otrzymał tytuł „Moder-

nizacji Roku 2018” w prestiżowym konkursie, w którym brały udział obiekty z całej Polski – mówi Marcin Bazylak, prezydent Dąbrowy Górniczej.

Energia parku

Od lat park stanowi wspaniałą przestrzeń dla wydarzeń kulturalnych i społecznych. To tutaj odbywa się m.in. Dębowy Maj Festiwal czy plenerowe koncerty organizowane przez Pałac Kultury Zagłębia. Wszystkie te wydarzenia gromadzą mieszkańców, którzy w pięknych okolicznościach przyrody mogą bawić się, słuchać muzyki i spędzać razem czas. To jednak nie wszystko. Park można odkrywać na wiele sposobów: można po prostu przyjść i cieszyć się zielenią, zrobić tu przystanek na trasie rowerowej wycieczki, usiąść na ławce z dobrą książką i kawą, posłuchać koncertu czy pospacerować z kimś bliskim. Ale można też odkrywać jego tajemnice i bogactwo przyrody, poszerzając swoje przyrodnicze horyzonty – pomogą w tym tablice przyrodnicze i ławki z kodami QR, pod którymi ukryte są dodatkowe ciekawostki. Park ma również swoją wirtualną odsłonę, która dostępna jest w aplikacji mobilnej „Dąbrowa Górnicza dla aktywnych”, do pobrania w sklepie Google Play. To nie zastąpi jednak spaceru, bo ponad wszystko Park Zielona to miejsce, w którym można „naładować baterie”, ciesząc się otaczającą zielenią i obserwując bogatą faunę i florę. To doskonałe miejsce, by przystanąć i na chwilę zapomnieć o codziennym pędzie i stresie, by pobyć z bliskimi lub po prostu – z samym sobą, by pozwolić sobie na zwolnienie tempa – bo to, co dobre, wymaga czasu. ■

Zespół Przyrodniczo-Krajobrazowy Żabie Doły to wyjątkowe miejsce na mapie Polski. Dla miłośników industrialnej turystyki, którzy rozpoczęli eksplorowanie Górnego Śląska od wypadu „na Żabie Doły” to prawdziwy szok i zaskoczenie, bo tamtejszy spokojny, zielony krajobraz zupełnie nie przystaje do wyobrażenia o „czarnym” Bytomiu. To właśnie tu, na własne oczy, można się przekonać o sile przyrody. Nie każdy wie, że jego unikatowy krajobraz tworzą pogórnice zapadliska i hałdy po byłej kopalni rud cynkowo-ołowiowych. Pierwotny krajobraz na obszarze Żabich Dołów został prawie całkowicie zmieniony przez działalność człowieka. Występujące w podłożu skały triasowe wykształciły się w postaci dolomitów i wapieni, które zalegają na głębokość 50–100 metrów.

W 2018 roku zakończyła się tu inwestycja realizowana w ramach Obszaru Strategicznej Interwencji, polegająca na uporządkowaniu ruchu turystycznego. Przypomnijmy, że na projekt złożyły się prace chroniące bioróżnorodność tego miejsca, jak i takie, które ułatwiły obserwacje miłośnikom przyrody.

Na tych, którzy mieli już okazję tam zajrzeć, efekty prac robią duże wrażenie. Dlatego planując wiosenny spacer warto wziąć aparat i odkrywać nowe, ładniejsze oblicze tego niezwykłego miejsca. A podglądając w Żabich Dołach jest co, bo obszar zaliczany jest do grupy terenów ornitologicznie cennych. Występuje tu około 129 gatunków ptaków, w tym 76 gatunków lęgowych. W ramach prac wykonano ścieżki edukacyjne o łącznej powierzchni około 9,5 tys. m².

By nie zaburzać naturalnego krajobrazu betonową kostką, ich nawierzchnię zrobiono ze specjalnej substancji mineralno-żywiczej, co poprawiło komfort spacerowiczów z wózkami dziecięcymi. W Żabich Dołach postawiono także sześć czatowni do obserwacji ptaków oraz tyle samo pomostów



Żabie Doły

Przyroda i historia, czyli jak zmieniły się najciekawsze zakątki Bytomia

ANNA KRZYSZKOWSKA-KUC, TOMASZ SANECKI

edukacyjnych. Powstały też schody terenowe umożliwiające spacerowiczom dostęp do ścieżek powstałych na nieczynnych nasypach kolejowych. Do edukacji przyrodniczej wykorzystywane są też nowe wiaty edukacyjne i oznakowane ścieżki.

Wzrok przykuwają również estetyczne drewniane barierki przy wiaduktach oraz schody terenowe. Ciekawostką są też sadzawki do rozrodu płazów, a także budki lęgowe dla małych ptaków i niotoperzy oraz pływające wysypki do gniazdowania ptaków wodnych.

Ładniej prezentują się również przyczółki wiaduktów kolejowych, w których uzupełniono tynki i nadano nieco barw kolorowym graffiti. Zamontowano też elementy małej architektury: ławki, kosze na śmieci.

Wykonanie prac na terenie Żabich Dołów było możliwe dzięki dofinansowaniu ze środków unijnych w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Śląskiego na lata 2014–2020. Koszt inwestycji to prawie 3 mln zł.

Zespół Przyrodniczo-Krajobrazowy Żabie Doły został utworzony na mocy rozporządzenia z 1997 r. i obejmuje obszar około 226,24 ha, który obejmuje nieużytki, grunty rolne, zbiorniki wodne i hałdy usytuowane na pograniczu Bytomia (44,48 ha) i Chorzowa (181,76 ha).

Rewitalizacja oficyny pałacu Tiele-Wincklerów

Jedną z wizytówek Bytomia jest Park Ludowy w Miechowicach, ukształtowany na początku XIX wieku jako park pałacowy dla rodu Tiele-Wincklerów. Dzięki realizowanym tam projektom park nie jest już tym samym miejscem. W zeszłym roku oddano do użytku wyremontowane alejki, pergole i oczko wodne, dla których punktem odniesienia stała się wyremontowana bryła oficyny pałacu Tiele-Wincklerów.

Trwają prace remontowe oficyny neogotyckiego pałacu Tiele-Wincklerów,



Żabie Doły

gdzie swoje dzieciństwo spędziła Ewa von Tiele-Winckler, znana jako Matka Ewa. Dzięki pozyskanej dotacji z Obszaru Strategicznej Interwencji, zachowany fragment budowli będzie nie tylko udostępniony turystom do zwiedzania, ale również stanie się ośrodkiem kulturalnym, w którym odbywać się będą wystawy, koncerty czy warsztaty edukacyjno-kulturalne.

Remont pałacu obejmuje odbudowę oficyny, jej historycznej bryły i detali – na przykład krenelaży (zębatach zwieńczeń murów obronnych i baszt). Z kilku stron prowadzić będą do niej ścieżki, a wokół rumowiska powstają place. Po renowacji wzdłuż dawnych murów zewnętrznych zostanie posadzony żywopłot, a obrys dawnych murów pałacu będzie widoczny z tarasu widokowego. Pojawią się także tablice informacyjne ze zdjęciami i historią budynku, który wraz z terenem będzie oświetlony.

Park Ludowy to wyjątkowe miejsce. Spacerując zacisznymi alejkami zobaczyć tu można nie tylko wyremontowany fragment posiadłości znamienitego rodu, ale też sąsiadujący z nimi pomnik przyrody, czyli liczącego ok. 250 lat monumentalnego platana klonolistnego.

W ramach prac w Parku Ludowym zostało posadzonych prawie 13 500 sztuk bylin, ponad 8500 krzewów i prawie 50 drzew. Odnowienia doczekało się 4 198,86 m² alejek oraz 9391 m² trawników. Powstało też oczko wodne, wokół którego stworzona została ścieżka dydaktyczna. Co ciekawe, wzdłuż niej powstały ogrody roślinne złożone z roślin cieniulubnych, paprociowych, sensorycznych – zapachowych, wabiących motyle czy ptaki. Wybudowana została też drewniana pergola otoczona ogrodem. Ekipy zieleniarskie przeprowadziły też niezbędne zabiegi pielęgnacyjne w koronach drzew oraz usunęły drzewa stwarzające zagrożenie. Prace w zabytkowym Parku Ludowym w Miechowicach realizowane w ramach projektu „Odnowa zieleni w parkach miejskich w Bytomiu” kosztowały ponad 1 mln 740 tys. zł.

Projekt „Rewaloryzacji zespołu pałacowego Tiele-Wincklerów zlokalizowanego w Parku Ludowym” dofinansowany jest z Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Śląskiego na lata 2014–2020 (Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego) dla osi priorytetowej: V. Ochrona środowiska i efektywne wykorzystywanie zasobów dla działania: 5.3. Dziedzictwo kulturowe dla poddziałania: 5.3.2. Dziedzictwo kulturowe – OSI. Koszt inwestycji to ponad 11 mln zł.

Historia pałacu Tiele-Wincklerów w Miechowicach

Zachowane ruiny miechowickiego pałacu przy ul. Dzierżonia to pozostałości po



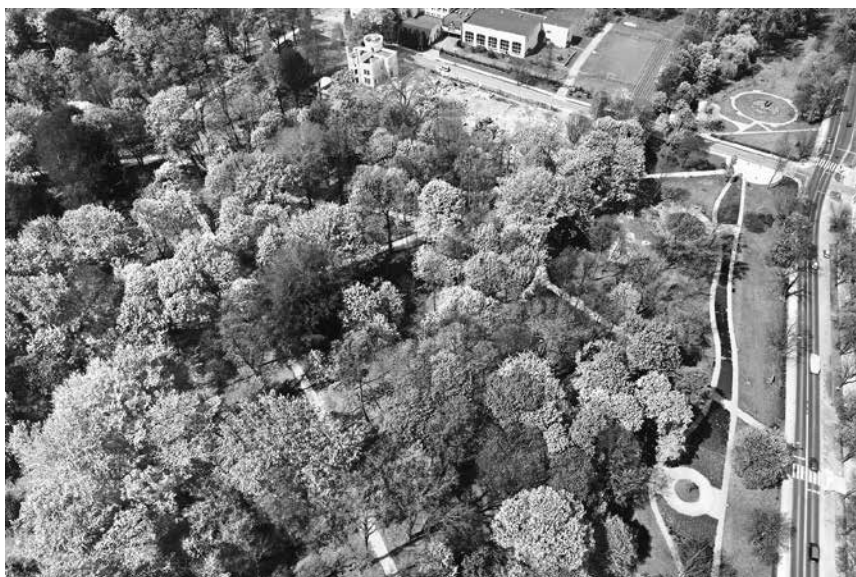
Oficyna pałacu Tiele-Wincklerów

posiadłości rodu Tiele-Wicklerów, którzy w drugiej połowie XIX wieku przebudowali obiekt na XVI-wieczny, angielski styl Tudorów. Historia pałacu sięga jednak początku XIX wieku, a dokładnie 1812 roku, kiedy wieś Miechowice kupił Ignacy Domes. Nowy właściciel zdecydował się tam wybudować w latach 1812–1817 klasycystyczny pałac, który po przebudowie stał się środkową częścią neogotyckiej budowli.

Kolejna przebudowa pałacu rozpoczęła się w 1850 roku. Autorem wstępnego projektu przebudowy był znany w Niemczech architekt Richard Lucae, jednak ostatecznie modernizację obiektu prowadzono według pomysłu Maurycyego Augusta Nottebohma. Przebudowa trwała blisko dziewięć lat od 1850 do 1859 roku. Wówczas dobudowano dwa skrzydła – w zachodnim mieściła się sala obrazów i kwiatowa, zaś przy wschodnim skrzydle znajdowała się najwyższa z wież „Jaskółcza”, mająca wysokość 110 stóp (ponad 33 metry). Dwie pozostałe wieże nosiły na-

zwę „Prochowej” i „Wodnej”. W tej ostatniej mieścił się zbiornik wody dostarczanej pompami z podziemi kopalni „Maria”. Pałac w posiadaniu rodziny Tiele-Wincklerów pozostał aż do 1925 roku, kiedy odsprzedali go spółce akcyjnej Preussen-grube AG. Wkroczenie Armii Czerwonej do Miechowic w styczniu 1945 roku miało tragiczne skutki. Pałac został nie tylko splądrowany, ale również podpalony przez żołnierzy. Wypalone doszczętnie mury zamku zostały na przełomie 1954 i 1955 roku wysadzone przez saperów z Ludowego Wojska Polskiego.

Pałac jest jednym z najważniejszych obiektów kulturalnych i turystycznych nie tylko w Miechowicach, ale również w Bytomiu. Zespół pałacowo-parkowy Tiele-Wincklerów został 30 czerwca 1995 roku wpisany do rejestru zabytków województwa śląskiego. W skład zespołu pałacowo-parkowego, oprócz oficyny pałacu i pozostałości pałacu Tiele-Wincklerów, wchodzi również: park i zespół dendrologiczny. ■



Park Ludowy

święty spokój

wspominając Tadeusza Różewicza

Katowice i Saarlouis.
Dwa spotkania i ledwie kilka zdań.
Bez komentarzy, bez osądzania
i prób naprawiania świata.
Bez podniosłego stylu.

Pierwsze miesiące po wojnie
spędzone w Krakowie.
Wspominał pokój na Krupniczej,
a właściwie tylko jeden z mebli,
tapczan na sprężynach,
na którym mógł się wyspać do woli.
Podczas okupacji w partyzantce
musiał spać krótko,
na byle czym i byle gdzie.

Stare pudło z materacem
zalegałoby dzisiaj w graciarni
albo na śmietniku,
ale wówczas Staruszka
z sąsiedniego pokoju
zazdrościła młodemu poecie.
Cierpliwie oczekiwała
aż wyrzuci ją z Domu Literatów
i będzie mogła zabrać
ten wymarzony tapczan.

Na odgłos kroków lokatora
wyglądała przez uchylone drzwi,
z nadzieją, że wreszcie odejdzie
z opuszczoną głową i walizką w dłoni.
Tamtego dnia jak zwykle
z książkami pod pachą
powracał z wykładów.
I nagle ujrzał na schodach
zastygłą twarz.
Tragarze zamiast tapczanu
znosili ją w otwartej trumnie.
Na więcej wspomnień
nie było już czasu.

W Saarlouis siedzieliśmy
do rana w irlandzkim pubie.
W środku było duszno
od smrodu papierosów
i oparów gotowanej kapusty.

Po kilku chwilach
już go z nami nie było,
zmęczony poszedł spać do pensjonatu.
Wspominaliśmy Konfraternię Poetów.
Czas upływał szybko jak whisky z lodem
i cierpki Guinness
o smaku palonej kawy.

Przed wieczorem autorskim
poprosił o butelkę niegazowanej wody,
bo w pokoju była tylko gazowana,
a po niej dokuczają gazy
i jak wtedy czytać wiersze
kiedy autorowi burczy w brzuchu.

W miejskiej hali tłum
jak na koncercie rockowym
słuchał w skupieniu wierszy poetów.
Pierwszy Gulden z Saarlandu.
Po nim Irlandczyk ze strofami
nocnej podróży do chorych na granicy.
Kiedy mówili w ojczystych językach
na wielkim ekranie przesuwaly się
wersy przekładów.

Ostatni wszedł na scenę
starszy pan z Wrocławia.
Wiersz „Warkoczyk”
czytał przed widownią
pogrążoną w ciszy.
Powoli, bez emocji,
wers po wersie.

Tak, w Auschwitz panował porządek.
Nic nie mogło się zmarnować,
nawet mysi ogonek ze wstążeczką,
rzucony na stertę włosów do skrzyni,
co była jak trumna staruszki,
znoszona schodami kamienicy,
przy Krupniczej w Krakowie

Już po wszystkim
brzydka dziennikarka
uśmiechała się w holu
kiedy stał zmęczony
przed obiektywem kamery.
Szeptał do mnie:
– *dlaczego ona ma takie wielkie zęby*
jakby chciała mnie zaraz zjeść.
Z trudem wytrzymał do końca.

Zanim odjechał na lotnisko
powiedział, żebym zadzwonił za rok
o tej samej porze.
Pewnie chciał dać mi do zrozumienia
– chcę wreszcie mieć święty spokój
dajcie mi zasnąć na moim tapczanie.

Brzeg, 21 października 2018 r.

AVE MYRIAM

(spoglądając na obraz „Ave Myriam” Sándora Nagya)

pamięci Feliksa Netza

Ten który mnie posyła
z białą lilią w lewej dłoni
dał mi człowieczą postać
a szatę utkaną z przędzy światła
zamienił w odzienie śmiertelnika
tylko skrzydła musiałem zakryć
aby przekupki nie rozgadały gawiedzi
że przybywam z Królestwa nie z tej ziemi

gdy słońce rozpostarło bramy
nieostrzeżony przez strażników
zatopiłem się w tłumie
zmierzającym pośpiesznie na targ
miałem wkrótce przybyć
na dziedziniec wskazanego domostwa
ale ujrzałem dziewczynę
niosącą dzban świeżej wody
spojrzała na mnie a ja zdumiony
zapomniałem słów pozdrowienia
Ave Myriam Ave !
serce przyspieszyło a krew w żyłach
popłynęła jak rwący potok
nigdy wcześniej nie znałem tego uczucia

chciałem uklęknąć przed Tobą
i całować Twoje dłonie
zapominając że jestem Aniołem
ale zniknęłaś niespodzianie
w labiryncie uliczek białego miasta
a ja zapominając o posłannictwie
stoję teraz wśród przekupniów
targujących się o kozy gołębie i barany
i nie wiem gdzie szukać Ciebie – Myriam!

snułem się ulicami miasta
łudząc się że znowu spotkam
dziewczynę niosącą dzban wody
szukałem pocieszenia
pijąc miejscowe wino
słusznie zwane po tysiącokroć dobrym
ale nawet ono nie dało mi ukojenia

kolejny raz wytoczyłem się z gospody
i przechodząc wzdłuż straganów
ujrzałem moją piękną Madonnę
wyrzeźbioną z lipowego drewna
przez Mistrza z Siedmiogrodu
chciałem kupić cudowną figurę
ale wcześniej przepiłem pieniądze
dlatego pobiegłem do lichwiarzy
a kiedy powróciłem z brzękiem monet
nie było już straganu rzeźbiarza
ani figury mojej pięknej Pani – dlaczego?!
Miłość niebiańska ważniejsza jest
od ziemskiej miłości
a przeznaczeniem Myriam
było wydać na świat Dziecko
które zbawi świat pogrążony w ciemności
i zbawi grzesznika zapominającego
o misji posłańca niosącego słowa tajemnicy
z przestrzeni której nikt z was
nie zdoła ogarnąć zmysłami ani zrozumieć

tęsknię za moją Ojczyzną
ale nie mogę już do niej powrócić
i nie ma już dla mnie lazurowego nieba
ani widoku oblicza pięknej Dziewicy
muszę za karę tak jak śmiertelni
poznać co to smutek głód i cierpienie
których nigdy wcześniej nie znałem

teraz ciągnę po bruku połamane skrzydła
spoglądając w gwiazdy nad Alba Regia

ja Gabriel

nieszczęśliwie zakochany anioł

DO ŚLĄSKIEGO FARORZA*

Za jakie grzechy
wdziałeś włosiennicę
i nakazałeś w testamencie
aby po śmierci ludzie po mnie deptali.

tym zapisem przypominasz
przypadki litewskiego hetmana
Michała Kazimierza Paca.

Pochowany pod schodami
świętych Piotra i Pawła,
przykazał łacińskim napisem
Hic jacet peccator
upamiętnić miejsce spoczynku
fundatora kościoła na Antokolu.

Zapewne grzechy magnata
zostały odpuszczone
pół wieku po śmierci Paca
piorun roztrzaskał łacińską inskrypcję.

Pozostała bajeczna świątynia
z tysiącami stiukowych rzeźb
skrywająca pod schodami
doczesne szczątki
Jaśnie Wielmożnego mecenasa,
lecz skąd podobny pomysł
u skromnego proboszcza
z małej wioski na Śląsku?

Twoje grzechy Farorzu
przywołują zaledwie uśmiech,
zamiłowanie do świętego Hubertusa,
gdy idąc z postugą przez lasy i pola
zabierałeś na drogę dubeltówkę,
aby huknąć do ptaszków, do koziołka.

Błaha skarga żonkosia
do miejscowego Biskupa
za to żeś zaniedbał obowiązków
podczas nauk przedślubnych
gwarząc z jego narzeczoną
zamiast udzielać przykazań
o powinnościach małżeńskich.

Zamyśliłem się na ścieżce
do kościoła w Śląskim Kamieniu,
za jakie grzechy dobry Farorzu
przywdziałeś włosiennicę?

* Joachim Szoltysek – dawny proboszcz z XIX w.
parafii w Kamieniu Śląskim.

Co rysował Karlik z „Kocyndra”?

PIOTR SKOWRONEK

Obchody 100-lecia powstań śląskich są doskonałą okazją do przypomnienia luminarzy tamtych wydarzeń. Jednym z nich był Stanisław Ligoń, popularnie zwany Karlikiem „Kocyndra”. Wydawnictwo Biblioteki Śląskiej sukcesywnie przypomina nam jego twórczość. Ukazały się dotychczas reprinty *Wesela na Górnym Śląsku* oraz *Berów i bojek śląskich* (w wersji uchodźczej, publikowanej w Jerozolimie w 1944 roku) oraz album fotograficzny w opracowaniu Henryka Grzonki zatytułowany *Stanisław Ligoń 1979-1954. Ziemia Święta w obiektywie Karlika z „Kocyndra”*. Do owego zbioru dołącza publikacja *Stanisława Ligonia opowieści obrazkowe* autorstwa Barbary Maresz i Anny Musialik. Książka, a właściwie album z obszernym wstępem jest w zasadzie pierwszą próbą publikacji wyboru ilustracji i rysunków tego autora. Co dziwne, właśnie szeroko pojęte sztuki plastyczne były najbliższe sercu wnuka Juliusza Ligonia. Był w tej dziedzinie samorodkiem, bowiem nikt z bliższej i dalszej rodziny nie był obdarzony tego rodzaju talentem. Jak wyznał w rozmowie wnuk Karlika Andrzej Sas-Jaworski – dziadek od dzie-

ka czuł silną inklinację w tym kierunku. Zaraz po szkole podstawowej terminował, bo nie była to nauka sensu stricto, w Bytomiu w zakładzie malarskim majstra Zygmunta Majchrzakowskiego, najczęściej mieszając farby. Potem uczył się i pracował w znanym w całej Polsce poznańskim zakładzie malarstwa dekoracyjnego i kościelnego Józefa Szpetkowskiego. Zarobione w ten sposób pieniądze postanowił przeznaczyć na edukację w średniej Szkole Artystyczno-Przemysłowej w Krakowie. Nie starczyło ich jednak na długo. Przynaglony studencką biedą wraca do domu, by z wykorzystaniem koneksji rodzinnych wyjechać na studia malarskie do Berlina. Tam nie tylko się uczy malarstwa, ale i pracuje. Ślady tamtego pobytu odnajdziemy w jednej z humoresek, w której Ligoń podaje adres swojej „skromnej pracowni” na piątym piętrze kamienicy czynszowej przy Oranienstrasse (143). Prawdopodobnie obok malarstwa sztalugowego, które znamy z zachowanych fotografii, Ligoń próbował wówczas grafiki prasowej dla licznej berlińskiej Polonii.

Zdobyte doświadczenie pozwoli



Karlik z „Kocyndra”, ok. 1923 rok.

mu wkrótce utrzymać rodzinę z posady ilustratora w mikołowskim wydawnictwie Karola Miarki (syn), w którym pracował na pełnym etacie do wybuchu I wojny światowej. Zbiór ilustracji i opraw plastycznych przeznaczonych do książek i kalendarzy śląskich ze zbiorów Biblioteki Śląskiej stanowi chronologicznie pierwszy wybór prac Ligonia. Autorki podkreśliły, że choć zwykle tego typu rysunki ukazywały się anonimowo, Ligoń miał zwyczaj sygnowania niektórych ze swoich prac inicjałami lub nazwiskiem. Ryciny w publikacjach literackich ukazują konkretne sceny z powieści opatrzone cytatem. Odmienną rolę mają rysunki w wydawnictwach religijnych. *Żywoty świętych pańskich* czy *Prawidła życia religijnego dla każdego wieku i stanu* miały piękną szatę graficzną podkreślać sakralny charakter, wartość i powagę dzieła, nie stroniąc od walorów dydaktycznych. Przewodnik religijny Ottona Bitschnau w bardzo estetycznych o nieco młodopolskim wyrazie, najczęściej kwietnych bordiurach pokazuje powagę i przymioty różnorodnych stanów społecznych od kapłańskiego, zakonnego, czy bezżennego, na nauczycielskim czy robotniczym kończąc.

Zupełnie odmienny charakter mają ilustracje prasowe, które znalazły się w założonym przez Stanisława Ligonia i Jana Przybyłę satyrycznym piśmie „Kocynder”, które opatrzone podtytułem „Wychodzi kiedy chce i kiedy może”. Nowoczesny w swoim kształ-



Satyryczny rysunek Ligonia z okresu przedplebiscytowego, podpisany „Karlik”, który ukazał się w numerze 25 „Kocyndra” z 13 marca 1921 roku.

cie periodyk był organem propagandowym Polskiego Komisariatu Plebiscytowego w Bytomiu. Ukazując się od czerwca 1920 roku pilnie służył krzewieniu polskiej świadomości narodowej wśród Ślązaków zarówno kreślącą, jak i piórem. Autorki z przepastnego archiwum „Kocyndra” wybrały nowoczesne historyjki obrazkowe jako przykłady gazetowej grafiki satyrycznej, będącej prekursorem współczesnego komiksu. Ligoń projektując kolejne numery pisma powierzał im ostrze swojej satyry, zanim jednak do tego doszło wczesne próby w tym zakresie pojawiły się w *Kalendarzu Mariąńskim* w postaci zabawnej historyjki, której bohaterem był Wicek. Ilustracje do „Kocyndra” miały jednak zupełnie inny ciężar gatunkowy. Ligoń napiętnował nimi w czasopiśmie „wesołym-górnośląskim” pruskie przywary, oszustwa i nadużycia. Posługując się zasadami klasycznej karykatury wyolbrzymiał wady wroga, deprecjonował jego obietnice i obnażał przywary, operując kontrastem i przejawskrawieniem, a także atrybutami z arsenału bestiariusz czy skatologii. Autorki wypracowały nie tylko „Kocyndrowe” historyjki i portrety bohaterów, których na łamach pisma powołał do życia Ligoń z tytułowym Hanysem Kocyndrem, Gustlikiem, Różlą Pysyczką czy Fyrtokiem (tak nazwiska są tu zawsze znaczące), ale przywołały rysunki z *Albumu Karykatur plebiscytowych „Kocyndra”* i zbioru *Karykatur wyborczych*. Często ilustracje owe otwierały poszczególne, zwykle tematyczne, bo odnoszące się do aktualnych wydarzeń społeczno-politycznych numery periodyku. Czytelnik może więc podziwiać pierwotną wersję rysunku o odmiennych często barwach i formie oraz jego funkcjonowanie w konkretnej publikacji prasowej, kiedy towarzyszy mu



W namiocie Jemenitów, Stanisław Ligoń

tekst i oprawa graficzna całej szpalty. Co interesujące, rysunki Ligonina, podobnie do stworzonych przez niego fantazmatów postaci, wędrowały po różnych pismach, stając się także odrębnymi plakatami lub wklejkami, zyskując przy tym znaczną popularność. Barbara Maresz i Anna Musialik zadały sobie wiele trudu interpretacyjnego wyjaśniając historyczne okoliczności powstania poszczególnych rysunków, ich bohaterów, problematykę i okoliczności ich funkcjonowania.

Myliliby się ten, kto przygodę z szeroko rozumianą twórczością plastyczną Karlika z „Kocyndra” na książce Barbary Maresz i Anny Musialik chciałby zakończyć. Ligoń obok ilustracji książkowych, historyjek obrazkowych i świetnych karykatur politycznych był również autorem strony plastycznej rozmaitych dokumentów, w tym słynnego *Aktu pamiątkowego połączenia*

Górnego Śląska z Rzeczypospolitą, znajdującego się w Archiwum Państwowym w Katowicach. Projektował również witraże czy banknoty oraz ilustrował pierwsze dwutomowe wydanie własnych *Berów i bojek śląskich* wydanych nakładem Księgarni i Drukarni Katolickiej w Katowicach w 1931 roku. Piękny edytorsko album posiadał również promocyjną obudowę. Towarzyszy mu osiem kart z rysunkami Ligonina, zeszyt z Kocyndrową rodziną na okładce i lniana torba, z której Hany Kocynder z zawadiacką miną i nieodłączną fajfką będzie mógł po kilkudziesięciu latach przerwy popatrzeć na swój ukochany Śląsk. ■



Nowy Dom Polski, fot. Stanisław Ligoń



Barbara Maresz, Anna Musialik: *Stanisława Ligonina opowieści obrazkowe*. Biblioteka Śląska, Katowice 2019, 190 s.

Park Cegielnia jest prawdziwą zieloną wyspą w centrum Żor, miejscem bardzo chętnie odwiedzanym przez mieszkańców naszego miasta i nie tylko. To wyjątkowa przestrzeń, gdzie można zarówno odpocząć w otoczeniu zieleni, jak i aktywnie spędzić czas z całą rodziną. Plac zabaw, park linowy, miasteczko ruchu drogowego, skatepark, street workout park, siłownia pod chmurką i profesjonalny tor rolkowy z możliwością wypożyczenia sprzętu sprawiają, że w Parku Cegielnia nie można się nudzić!

Obecnie siłownię pod chmurką możemy spotkać w wielu miejscach w Polsce – cieszą się one ogromnym uznaniem i zainteresowaniem. Żory mogą jednak poszczycić się tym, że tworząc siłownię w Parku Cegielnia należały do prekursorów w udostępnianiu mieszkańcom bezpłatnych miejsc do ćwiczeń na wolnym powietrzu. W Parku Cegielnia znajduje się kilkadziesiąt różnorodnych urządzeń, które ustawione są w taki sposób, by korzystający z nich miłośnicy gimnastyki, zaczynając od rozgrzewki mogli przechodzić do coraz trudniejszych ćwiczeń. Każdy przyrząd jest dokładnie opisany – możemy się dowiedzieć do jakich ćwiczeń służy i jakie partie mięśni wzmacnia. Można korzystać m. in. z kół Tai Chi, narciarza/surfera, stepów oraz ławeczki do brzusków. Wszystkie urządzenia są zbudowane ze stalowych rur odpornych na warunki atmosferyczne i próby zniszczenia. Z przyrządów można korzystać bezpłatnie przez 7 dni w tygodniu, a dzięki temu, że teren jest oświetlony – także po zmroku. O sukcesie żorskiej siłowni może świadczyć fakt, że uznano ją za „Najlepszą Przeszłość Publiczną Województwa Śląskiego 2011” podczas głosowania internetowego.

Park Cegielnia to idealne miejsce zabaw dla dzieci. Znajdziemy tam nie tylko nowoczesny i bezpieczny plac zabaw, ale też dostarczający emocji park linowy o powierzchni 400 metrów kwadratowych, gdzie dzieci i młodzież w wieku od 5 do 14 lat mogą ciekawie i aktywnie spędzić czas i sprawdzić swoją sprawność fizyczną. Tworząc miejsca atrakcyjne dla dzieci zwracano szczególną uwagę nie tylko na przyciągający uwagę wygląd, ale też na bezpieczeństwo osób korzystających z tych urządzeń. Warto podkreślić, że z żorskiego parku linowego można skorzystać bezpłatnie.

Na terenie parku powstało również profesjonalne Miasteczko Ruchu Drogowego, gdzie dzieci mogą nauczyć się jazdy na rowerze i zdać egzamin na kartę rowerową. W kontrolowanych warunkach młodzi adepci jazdy na rowerze mogą poznać zasady zachowania się na skrzyżowaniach i rondach oraz przećwiczyć różne sytuacje, z którymi można spotkać się na co dzień na drogach. W głównej części Miasteczka stworzono skrzyżowanie z ruchem okrężnym, skrzyżowanie czte-



Park Cegielnia, czyli żorski Central Park

ADRIAN LUBSZCZYK

rowlotowe z sygnalizacją świetlną i skrzyżowanie równorzędne, a także 5 skrzyżowań trójwlotowych, odcinek drogi jednokierunkowej, oznakowaną strefę zamieszkania z dwoma progami zwalniającymi, wysepkę kanalizującą ruch i przejazd kolejowy. Na skrzyżowaniu z sygnalizacją świetlną na jednym wlocie zaprojektowano osobny pas do jazdy w lewo i na wprost i osobny do skrętu w prawo z zieloną strzałką. W południowej części Miasteczka wydzielono fragment ścieżki rowerowej, stworzono też 7 przejść dla pieszych – 4 z sygnalizacją świetlną i 3 bez sygnalizacji, w tym jedno oznaczone jako przejście dla dzieci. Przejścia z sygnalizacją świetlną zostały wyposażone w sygnalizatory dźwiękowe.

Tuż obok Miasteczka Ruchu Drogowego znajdziemy atrakcję skierowaną do starszych dzieci oraz młodzieży, czyli profesjonalny skate park. To otwarty i powszechnie dostępny obiekt, a jednocześnie jeden z najlepiej wyposażonych skate parków w Polsce południowej. Miłośnicy jazdy na rolkach, wrotkach i rowerach BMX mają tam do dyspozycji kilka ramp i innych urządzeń o różnym stopniu trudności, a także tzw. „bowl”, dzięki czemu obiekt spełnia oczekiwania nawet najbardziej wymagających miłośników ekstremalnej jazdy na rolkach oraz deskorolce. O tym, że to miejsce atrakcyjne nie tylko dla amatorów, ale i profesjonalistów świadczy fakt, że w Żorach rozgrywane są zawody w ramach prestiżowej Polish Rolling League.

W przeszłości Spartanie trenowali kalendarzyk przygotowując się do bitwy pod

Termopilami, a współcześnie wykorzystywana jest ona w ramach treningów wojskowych. W Żorach można ją uprawiać w Parku Cegielnia, gdzie mieszkańcom udostępniono tzw. street workout park. Inwestycja objęła montaż sześciu drążków do podciągania, pięciu poręczy równoległych i drabinek o różnej wysokości i długości, a także skośnej ławki do ćwiczeń mięśni brzucha i słupów kwadratowych z obręczami na linach do podciągania się. Dla zwiększenia bezpieczeństwa nawierzchnia wykonana została z perforowanych mat gumowych.

Cały teren żorskiego Parku Cegielnia otacza tor rolkowy. Można go pokonać na rolkach lub wrotkach w dwóch wariantach – łatwiejszym lub trudniejszym – w zależności od naszych umiejętności. Każda z tras ma około kilometra długości. Po trasie można też przejść w spacerze nordic walking czy pobiegać. Co ważne, tor jest oświetlony, a co za tym idzie dostępny przez całą dobę. Dla tych, którzy chcieliby pojeździć na rolkach, a nie mają własnego sprzętu, w sąsiadującej z parkiem hali MOŚiR uruchomiono wypożyczalnię sprzętu rolkarskiego. Jest ona czynna codziennie, w godzinach 6–21. Do dyspozycji miłośników sportu jest kilkadziesiąt par rolek różnych typów i rozmiarów oraz komplety ochronne – kaski, nakolietniki i nakolanniki.

Park Cegielnia to nie tylko sportowo-rekreacyjne centrum miasta, ale też miejsce, gdzie można wybrać się na spacer, czy odpocząć na ławce. By mieszkańcom nie było za gorąco w letnie dni, mogą schłodzić się dzięki kurtynom wodnym. ■

Ponad 200 hektarów – tyle zajmują parki, skwery i zieleńce w Gliwicach. W otoczeniu zieleni można odpocząć od zgiełku, albo zażyć trochę ruchu. Do dyspozycji mieszkańców są place zabaw i siłownie na świeżym powietrzu, a także jedyna w swoim rodzaju egzotyczna atrakcja – Palmiarnia Miejska w przepięknym parku Chopina.

Oaza zieleni w ścisłym centrum

Przez wielu Gliwiczank park Chopina uważany jest za najprzyjemniejsze miejsce na spacer. Zlokalizowany w Śródmieściu, tuż przy Drogowej Trasie Średnicowej, jest doskonałym miejscem na chwilę wytchnienia od zgiełku. W parku Chopina często organizowane są plenerowe imprezy – Majówka, Dzień Dziecka, koncerty z cyklu „Parkowe Lato”. To tam odbyły się także dwie edycje Festiwalu Miasta. Na scenie w parku nie brakowało atrakcji. Były występy artystyczne – muzyczne, taneczne i teatralne – oraz pokazy mody. W centrum wydarzeń – oczywiście Gliwice i znani mieszkańcy miasta. Będąc w parku Chopina, koniecznie trzeba odwiedzić Palmiarnię Miejską. Można w niej zobaczyć ponad 6 tys. tropikalnych roślin z różnych stron świata oraz wiele gatunków ryb słodkowodnych. Dla najmłodszych przygotowano w parku plac zabaw. Są na nim zadane domki z tunelami, niskie i wyższe zjeżdżalnie, karuzele, instalacje do wspinaczki z elementami linowymi, bujane koniki i piaskownica.

Chrobry to niezła frajda

Park Chrobrego to największy miejski park o charakterze krajobrazowym. W centralnej części parku znajduje się wyjątkowy plac zabaw wyposażony w bujaki, różnego rodzaju huśtawki, karuzele i główną atrakcję – wielkie linarium. W pobliżu znajduje się też bulodrom, czyli boisko do gry w bule oraz dziewięć koszy do gry w disc golfa. Jest też siłownia plenerowa, podniebna deskorolka, rodeo i karuzele. Na parkowej ścieżce zdrowia znajduje się ławeczka, sztanga, liny, stępy, poręcze, drążki, obręcze i drabinki. W całym parku są też wygodne leżaki i podesty, na których można odpocząć, a także bajeczne rośliny: byliny, rośliny cebulowe, drzewa, krzewy i trawniki. W parku Chrobrego organizowane są także imprezy, takie jak Noc Kupały.

Kolejny miejski park znajduje się w dzielnicy Stare Gliwice. Jest pozostałością po przedwojennym kompleksie rekreacyjnym. Kilka lat temu został kompleksowo zrewitalizowany. Znajdują się w nim dwa stawy połączone mostkiem, pośrodku jednego z nich jest urocza wysepka. W Szwajcarii zachowano także starodrzew, a dawny stok saneczkowy przerobiono na trasę zjazdową dla rowerów górskich, które startują z wybudowanej na szczycie platformy. W parku znajduje się także siłownia plenerowa oraz restauracja.



Park Chrobrego

for. R. Neumann

Gliwice stawiają na zieleń

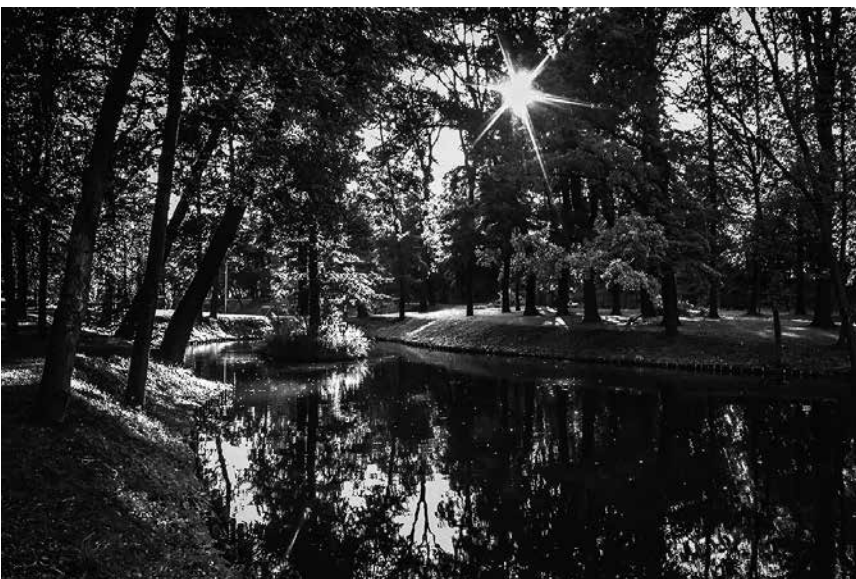
MAGDALENA MICKIELEWICZ

Zielone ostoje pamięci

W dwóch z gliwickich parków – na placu Grunwaldzkim i w parku Starokozielskim – oprócz dającego wytchnienie starodrzewu znajdują się także cmentarze wojenne. W placu Grunwaldzkim możemy podziwiać takie gatunki, jak dąb szypułkowy czy jesion pensylwański. Od strony ulicy Sobieskiego umiejscowiony jest także cmentarz radzieckich żołnierzy poległych podczas II wojny światowej. Na placu Grunwaldzkim latem często są organizowane seanse kina plenerowego. W parku Starokozielskim jest natomiast cmentarz żołnierzy francuskich. Stoi tam także prawdziwa perełka architektury drewnianej, do której trzeba koniecznie zajrzeć, będąc w pobliżu. Kościół Wniebowzięcia Najświętszej Maryi

Panny został wybudowany w 1493 roku w Zębowicach, a do Gliwic został przeniesiony w 1925 roku. Do dziś jest jednym z najlepiej zachowanych drewnianych kościołków na Górnym Śląsku. Posiada gotyckie i barokowe cechy.

Kolejną wizytówką miasta to Gliwicka Radiostacja. Przy historycznej wieży z drewna gliwiczanie mogą odpocząć w zadbanym parku. Jego częścią jest sensoryczny park doświadczeń. Są tam gigantyczne instrumenty – szumiące rury, armata powietrzna, organy rurowe, anteny paraboliczne, gongi i inne sensoryczne urządzenia, które emitują dźwięki. Wszystkie te grzmiące, świszczące, stukające, dzwoniące, dudniące i szeleszczące sprzęty są dostępne dla odwiedzających przez cały rok.



Park Szwajcaria

for. A. Skwarek

Tonle sap

Tego dnia poranek przybrał barwę fioletu. Woda, niebo, łódź, spoczywające na drewnianych wiosłach dłonie – wszystko tonęło w jego odcieniach. Jezioro było najjaśniejsze, a jego gładka powierzchnia przywodziła na myśl kolorowe szkło. Gdy Sokeun zanurzał w nim wiosła, zdawało mu się, że tafła wody rozbija się na tysiące odłamków.

Z jednej strony niebo wciąż spowijał mrok, a jego barwa przypominała świeże sińce na ciele. Sokeun odwracał od niego wzrok, spoglądał przed siebie – gdzie daleko, już na linii horyzontu zarysowywały się, jak nakreślone piórkami na pergaminie, kontury wioski. Zatrzymał łódź i odwrócił się w stronę wschodzącego słońca. Unosiło się nad horyzontem, dając niewiele światła, a jego bladą tarczę skrywały mgły i popielato-fioletowe obłoki. Z daleka dobiegło nawoływanie pelikanów. Wtórował mu trzepot skrzydeł, który stawał się coraz bliższy. Po chwili całe ich stado przeleciało tuż nad łodzią.

Rozejrzał się – gdzieniegdzie po powierzchni jeziora rozchodziły się niewielkie okręgi. Niektóre oddalały się od łodzi, a inne zbliżały. Sięgnął po sieci i zarzucił je. Przymocował je starannie, uważając, by nie poplątały się linki i żeby zadna nie była zbyt mocno naciągnięta. Jeśli połów będzie obfity, sieć mogłaby się zerwać. Skąd wziąłby drugą?

Gdy wyprostował się, usłyszał chłupot wody. Od strony wioski nadpływała łódź. Znajdowała się na tyle blisko, że bez trudu rozpoznał, kto ją prowadził. Ratanak też go zauważył. W szarej, wypłowiałej i pocerowanej koszuli oraz szerokich, sięgających połowy łydki spodniach, jego sylwetka wydawała się drobna i krucha, niczym wyrzucony na brzeg patyk. Sokeun wiedział, że to tylko złudzenie, a Ratanak w pięści mógłby zmiażdżyć czaszkę psa. Przynajmniej kiedyś tak było.

Ratanak wyprostował się, na chwilę przerwał wiosłowanie i spojrzał w oczy Sokeunowi. Skinął głową. Sokeun odwrócił wzrok.

...

Gdy Sokeun wracał do wioski, słońce stało już wysoko na niebie zalewając świat falami gorąca, a jezioro przybrało ziemisty kolor. Minął wybudowane na palach i pomalowane na zielono oraz turkusowo drewniane domy, po czym dotarł na płyciznę. Wyskoczył z łodzi i pociągnął ją za sobą na brzeg. Taplające się w wodzie dzieci przywitały go śmiechem. Wszędzie było ich pełno: oblewały się wodą, nurkowały i próbowały złapać biegające nieopodal kury i gęsi. Ptaki uciekały strosząc pióra, a ich gdakanie i gęganie niesło się daleko nad jeziorem. Sokeun uśmiechał się wciągając łódź na rdzawy piasek.

Sięgnął do wnętrza łodzi, skąd wyjął sandały oraz dwa wiadra wypełnione wodą i rybami. Zawsze zostawiał je żywe,

żeby sprzedać świeże na targu. Rozłożył sieci do wyschnięcia, następnie zawiesił wiadra na bambusowym nosidle, założył je na ramiona i ruszył w kierunku domu. Za kilka miesięcy, gdy poziom wody podniesie się, będzie mógł podплыnąć pod sam dom, gdzie przycumuje łódź do jednego z podtrzymujących go pali.

W wiosce życie toczyło się swoim rytmem. Kilka starszych kobiet zebrało się na schodach jednego z domów. Pomarszczone, o niemal bezzębnych ustach, siedziały w kucki obierając warzywa, a przed słońcem chroniły je jedynie słomkowe kapelusze. W cieniu wylegiwały się psy, a część z nich kręciła się w poszukiwaniu resztek jedzenia. Dziewczyny wracały ze strumienia niosąc na głowach dzbany z wodą lub misy z praniem. O tej porze dnia wiosce obca była cisza – powietrze wypełniały toczące się rozmowy, nawoływania, a co jakiś czas rozbrzmiewał głośny śmiech. W rozwieszonych między palami hamakach wylegiwali się starcy i kobiety z małymi dziećmi.

Gdy dotarł do domu, zdjął wiadra z ramion i umieścił je w wykopanych między palami dołach, które przykrył kilkoma deskami. Wspiął się po schodach i wszedł do środka. Wewnątrz panował półmrok, gdyż okna były przysłonięte. Sokeun zdjął sandały i rozejrzał się. Biały obłok podwiązanej moskitiery unosił się nad przykrytym ręcznie tkaną kapą materacem. Niski, drewniany stolik został nakryty – stały na nim dwie bambusowe miski i kubeczki z wodą. Ze znajdującej się w niewielkiej wnęce kuchni, dochodził zapach ugotowanego ryżu z warzywami. Zaburczało mu w brzuchu.

– Srey Na?

– Tu jestem! – odpowiedziała zza wielobarwnej zasłonki.

Sokeun podszedł, odchylił materiał i zajrzał do niewielkiego, przylegającego do głównej izby pomieszczenia.

Srey Na, naga, siedziała w misce z wodą z podkulonymi pod brodę nogami. Czarne, przetykane pierwszymi pasemkami siwizny włosy upięła w kok na czubku głowy. Odwróciła się stroną Sokeuna i roześmiała ukazując usta z kilkoma brakującymi zębami. Jej policzki przybrały nieco ciemniejszy odcień skóry – minęło tyle lat od ich ślubu, a ona wciąż niechętnie pokazywała mu się nago.

– Jeszcze się nie wykąpałaś?

– Przysnęłam po twoim wyjściu. Obudziły mnie promienie słońca na twarzy.

Roześmiał się. Zawsze, gdy jechali na targ, Srey Na myślała i zakładała najlepsze ubrania. Twierdziła, że przynosiło im to szczęście i przyciągało klientów. Coś w tym musiało być, bo wokół ich stoiska zazwyczaj ustawiali się właściciele restauracji szukający świeżych ryb na kolację.

– Jak już jesteś, to umyj mi plecy.

Wyciągnęła w jego stronę namydloną szmatkę. W jej oczach igrały wesołe iskierki.

Odwzajemnił spojrzenie i uśmiechając się podszedł do niej. Ukłękł koło miski spuszczać wzrok. Nigdy nie wpatrywał się w oczy Srey Na długo i głęboko. Mógłby ujrzeć czające się na ich dnie cienie i obrazy z przeszłości, które osaczyły by go i wciągnęły w najciemniejszy mrok.

Z bliska widział każdy por i włoszek na złocistej skórze Srey Na. Na niektórych zaczęły się błyszczące w świetle, przypominające niewielkie odłamki kryształów, kropelki wody, ale nie mogły ukryć sieci blizn i zmarszczek pokrywających plecy, ramiona i piersi Srey Na. Przesunął po nich dłonią – zupełnie jakby dotykał nieoszlifowaną łódź. Zadrzał. Zanurzył szmatkę w wodzie i zaczął myć plecy Srey Na. Z jej ust wydobył się cichy śpiew, a Sokeun od razu rozpoznał melodię –



dziecięcą kołysankę. Odwróciła się w jego stronę, zmierzwiła mu włosy wilgotną dłonią.

- Jeszcze trzy dni i go zobaczymy.
- Tak, jeszcze trzy dni.

...

Lyvann wydorosła od jego ostatniej wizyty pół roku wcześniej – schudł, ale mimo to wydawał się wyższy, a ramiona i plecy trzymał sztywno wyprostowane. Nad górną wargą siniał zarost, którego spiesząc się rano na autobus nie zdążył ogolić. Włosy ścinał teraz bardzo krótko, niemal po żołniersku, a paznokcie miał zadbane. Biała koszula z kołnierzykiem i ciemne spodnie nie wyglądały na nowe, jednak wszystkie przetarcia były zacerowane. Sokeun i Srey Na na próżno szukali w nim chłopięcej niedbałości, za którą często ganili go w przeszłości. Teraz nie mieli żadnego pretekstu, by wymówkami i upomnieniami wyrazić swoją troskę i tęsknotę.

Siedzieli na poduszkach przy stole, jedząc gotowaną rybę i smażony ryż z warzywami.

- Takiej kuchni, jak u ciebie nie ma w całym Phnom Penh! - Lyvann zwrócił się do Srey Na sięgając po dokładkę.

- Widać, że bez matczynej kuchni schudłeś!

- Między studiami a pracą jem byle co. Głównie gotowany ryż. - Umoczył kawałek pieczywa w tłustym sosie. - Tylko wtedy, gdy goszczą mnie rodzice Thiari jem porządny posiłek.

- Czyli nadal się spotykacie?

- Tak. - Lyvann przełknął ślinę i spuścił wzrok.

- Czy źle się dzieje między wami? - zapytała Srey Na.

- Nie, nie... - Westchnął i popatrzył na nich oboje z powagą i determinacją. - Właśnie dlatego przyjechałem, żeby powiedzieć wam coś ważnego.

Zapadła cisza, a powietrze zdawało się gęstnieć, jak przed nadchodzącą burzą. Gdy z zewnątrz dobiegł ich kobiecy, nawałujący głos, Sokeun potrząsnął głową.

- Co takiego? Mówże!

Lyvann schował dłonie pod stołem, zgarbił się.

- Thiari spodziewa się dziecka i chcemy się pobrać.

- Wspaniale! Będziemy dziadkami! - Srey Na roześmiała się.

Lyvann rozluźnił się, a w jego wzroku pojawiła się ulga. Jednak, gdy spojrzał na ojca, uśmiech zgasł na jego twarzy.

- Ojczy? Czy też podzielasz radość matki?

Sokeun nie podnosił głowy, czując na sobie ciężar spojrzeń Srey Na i Lyvanna. Zrobiło mu się gorąco, a jego oddech stał się ciężki. Zaciśnął pięści, wbijając paznokcie we wnętrza dłoni, by powstrzymać narastający gniew. Jednak gdy w końcu popatrzył na Lyvanna, w jego oczach ujrzał własne odbicie - wykrzywione usta i zwężone oczy.

- Nie mogliście uważać? Macie jeszcze czas na dziecko! - Pokręcił głową, w ustach zbierała mu się ślina o gorzkim posmaku. - Jak chcesz utrzymać rodzinę studiując?

Lyvann wytrzymał jego spojrzenie i odpowiedział spokojnym tonem:

- Muszę porzucić na razie studia. Moja pensja nie wystarczy dla trojga, zwłaszcza że w domu Thiari nie będzie dla nas miejsca.

- Nie wolno ci! - Sokeun uderzył pięścią w stół.

Jedna z czarek z wodą przewróciła się. Srey Na zerwała się i wyszła z pokoju. Po chwili wróciła i, chowając głowę w ramionach, szmatką wytarła rozlaną wodę.

- Ojczy, przykro mi. Wiedziałem, że nie będziesz zadowolony, ale nie mam wyjścia.

- Nie rozumiesz, że wykształceni ludzie są nam potrzebni? Od dziecka tłumaczyłem ci, że musisz się uczyć. Zostać inżynierem, nauczyć się języków... Żeby w razie czego uciec za granicę! Zachowałeś się jak szczenię, a nie jak dorosły mężczyzna!

Lyvann zbladł. Przygryzł wargi i odwrócił wzrok w stronę przysłoniętego okna.

- Teraz już za późno. Nie zostawię Thiari i dziecka.

- Nie, oczywiście, że nie zostawisz! Ale studia i pieniądze, które zbieraliśmy całe życie na twoją naukę poszły na marne! - Sokeun zerwał się i chodząc po pomieszczeniu głośno oddy-



foto: Aleksandra Król,
<http://trawelbylustofas.photolier.com>

chając i kręcąc głową. - Miałeś mieć więcej niż my! Szansę, by w razie czego uciec, nie dać się im... Bez edukacji nasz kraj nigdy się nie odrodzi! A może znowu ludzie staną przeciwko sobie, gdy ktoś pomiesza im w głowach! Nie znasz polityków?

- Tato, to się nie powtórzy... Nie może się powtórzyć.

- Skąd wiesz? Spotkałeś mnicha, który miał wizję przyszłości? - roześmiał się gorzko.

- Nie, ale ja tam byłem. Pamięć o tym jest żywa...

- Gdzie byłeś? - Sokeun stanął nad nim. Dzielił ich tylko wąski, drewniany blat. Srey Na siedziała skulona przy jednym z jego końców.

- W Tuol Sleng. I na Polach Śmierci.

Srey Na ukryła twarz w dłoniach. Sokeun odwrócił się i utkwilił wzrok w ścianie. Jednak zamiast desek ujrzał kraty i surowe cegły. Z daleka, jakby z sąsiedniej celi, dobiegł go łamiący się głos.

- Tam wiszą zdjęcia ofiar. Chyba setki, sam nie wiem.

Srey Na rozszlochała się. Sokeun wyszedł z domu nie patrząc na nią i na Lyvanna.

...

Krażył po wiosce, ale nieustannie ktoś go zaczepiał i zagadywał. Sokeun odpowiadał na pytania, ale z trudem hamował niecierpliwość i złość. Nie chciał nikogo obrazić - to nie wina sąsiadów, że jego syn zmarnował sobie życie. Jak on mógł być tak głupi?

W końcu wsiadł na łódź i wypłynął na jezioro. Z nieba lał się żar. Sokeunowi kręciło się w głowie, ale nie był pewien czy to przez upał, czy od natłoku myśli. W jego umyśle przewijały się strzępki wspomnień, które na próżno próbował odgonić - nagie, wychudzone ciała leżące jedno obok drugiego w sali wypełnionej brzęczeniem much. Wąbił je zapach zaschniętej krwi na ranach przy kostkach i nadgarstkach powstałych od kajdan oraz większych - na plecach, brzuchach, ramionach i udach... Piekących żywym ogniem bólu pamiętkach ciosów zadanych podczas przesłuchań. Gdy rozglądał się wkoło dostrzegł wielkie, ropiejące oczy o spojrzeniu, w którym nie zostało już nic poza rezygnacją i przerażeniem. Niczym jeziora, w których trucizna zabiła wszystkie ryby i rośliny.

Nie, nie wolno mu o tym rozmyślać! To już nie miało znaczenia! To było za nimi! Gdyby pozwolił sobie na rozpamiętywanie tamtych chwil, już dawno spocząłby na dnie Tonle Sap z kamieniem uwiązanym u stóp. Teraz miał dobre, spokojne życie i nie pozwoli, by przeszłość rzuciła cień na jego dom!

Potań dłońmi twarz i poczuł, że policzki miał wilgotne. Westchnął i wychylił się z łodzi, by nabrać wody w dłonie i zmyć ślady łez. Gdy zobaczył swoje odbicie w tafli jeziora, zdawało mu się, że z jego dna dochodzą do niego odgłosy wystrzałów i zropaczony krzyk kobiet.

Nie, nie wolno tego rozpamiętywać!

Usiadł ciężko na drewnianej ławce w łodzi i zapatrzył się w trzciny rosnące wzdłuż brzegów jeziora. Wyblakłe od słońca, skrywały między łodygami ptasie gniazda. Dochodziło stamtąd popiskiwanie młodych, gdakanie i krzyki dorosłych ptaków. On też powinien myśleć o rodzinie. Musi się skupić na Lyvannie, na jego przyszłości. Głupiec! Tak zawieźć jego i Srey



Na...! Odkąd tylko Lyvann dorósł na tyle, by rozumieć, co do niego mówiono, tłumaczyli mu, że nie wolno mu zostać w ich wiosce. Miał być ambitny, zaradny. Nawet trochę egoistyczny. Przede wszystkim musiał zdobyć wykształcenie. Nie brali pod uwagę, że jakaś dziewczyna namiesza mu w głowie. Co teraz będzie? Nie może przecież spędzić życia jako riksarz w Phnom Penh, albo sprzedawca pamiątek!

Po jakimś czasie Sokeun zorientował się, że niebo nabrało różowo-fioletowych barw, a słońce zbliżyło się do tafli jeziora przy zachodnim brzegu. Było teraz ogromne i pomarańczowe jak kwiaty kanny. Jeszcze trochę i utopi się w jeziorze, by następnego dnia rozjaśnić horyzont po wschodniej stronie. Minie kolejny dzień, a potem noc i znowu nastanie poranek. Natura odradzała się każdego dnia i Sokeun też się tak odrodził. Wydostał z mroku. I chociaż jego wspomnienie już na zawsze miał nosić w sobie, Sokeun wiedział jedno – nie pozwoli, by cień padł na Lyvanna i jego przyszłość.

...

W domu powitały go cisza i ciemność.

– Srey Na? Lyvann?

Nikt nie odpowiedział na jego wołanie. Usiadł na trzcinowej poduszce przy stole i zapalił świecę. Przez chwilę wpatrywał się w rozedrgany, ciepły płomień. Kątem oka dostrzegł, jak odbija się on w leżącym na blacie przedmiocie. Spojrzał na niego – było to zdjęcie. Przysunął je do siebie odkrywając, że pod nim leżało jeszcze jedno. Pochylił się i mrużąc oczy przyjrzał się im. Nagle zrobiło mu się chłodno, a szczęki zacisnęły się – obie fotografie uwieczniały zagranicznych turystów w kolorowych koszulkach i krótkich spodenkach. Odwróceniem plecami do fotografującej ich osoby, przyglądali się rzędowi czarno-białych zdjęć wieszonych na dużej tablicy. Porterom więźniów z Tuol Sleng.

Sokeun zamknął oczy i oparł czoło na złożonych dłoniach. Czy Lyvann zrobił te zdjęcia? Czy ktoś mu je dał? Po co je przywiózł?

Gdy ponownie spojrzął na zdjęcia, dostrzegł leżące na stole szkło powiększające. Chciał je złapać, ale jego dłoń drżała i szkło wysliznęło mu się między palcami. Wziął głęboki oddech, przygryzł wargi i spróbował uchwycić je jeszcze raz. Potem skierował je nad pierwszą fotografię.

Twarze, twarze, tyle twarzy... Czy kogoś rozpozna? Czy ten ogolony na łyso chłopiec to Chanreth, który po dwóch miesiącach więzienia zmarł, bo w jego rany wdała się infekcja? A tamten, ze spuchniętymi jakby po uderzeniu korbą karabinu wargami to Sothun, który pewnego dnia nie wrócił z przesłuchania?

Obie fotografie wypadły mu z drżących dłoni. Przyłożył je do twarzy, chcąc się uspokoić i odgrodzić od tego, co go otaczało. Wciągnął głęboko powietrze, ale zatrzymało się w nim gdzieś po drodze, jakby napotkało na przeszkodę. Jego oddech stał się urywany, jak wtedy, gdy jego głowę zanurzano w wodzie akurat na tak długo, by mógł spojrzeć śmierci w oczy, ale by nie zdążyła go uwolnić i zabrać ze sobą. W klatce piersio-

wej poczuł ból – stalowa obręcz ścisnęła jego serce. Za chwilę je zmiążdży, a krew zaleje jego wnętrze i utopi się w niej.

Usłyszał tupot ciężkich butów, rozległy się głosy. Ktoś wszedł do domu? Oderwał dłonie od twarzy i otworzył oczy. Nie był sam. Otaczali go mężczyźni w wojskowych bluzach i spodniach. Ich szyje i ramiona okręcały szale w czerwono-białą kratę. Materiał znaczyły poślōłke od potu plamy i krwawe zacieki. Przysłonięte kawałkiem szmaty okno wpuszczało do wnętrza szare, jakby zakurzone światło. W pokoju było duszno, śmierdziało, wypełniało go buczenie latających chmar much.

Coś musieli mu zrobić, bo całe jego ciało pulsowało bólem, ale nie mógł opuścić głowy by się sobie przyjrzeć – znajdowała się w metalowej konstrukcji uniemożliwiającej mu jakikolwiek ruch szyją. Ręce miał wykręcone do tyłu tak, że mięśnie i ścięgna barków zdawały się rozrywać na strzępy. Dłonie związane mu w nadgarstkach i stracił w nich czucie.

Mignął flesz i Sokeun przymrużył oczy porażone nagłym rozblaskiem.

– Przyznaj się, zdrajco! Szpiegujesz dla Amerykańców! – Głos dochodził z oddalenia, a osoba do której należał, była poza zasięgiem wzroku Sokeuna.

– Nie, nie... – Gardło miał suche i obolałe, a każde wypowiedziane słowo przypominało wypluwanie jeżowca. – Już mówiłem, jestem tylko mechanikiem.

– Łżesz! Ale skoro nasze dotychczasowe metody nie działają, spróbujemy inaczej zmusić cię do gadania.

Przy drzwiach zakotłowało się, ktoś został przez nie wciągnięty i usadzony na krześle naprzeciwko Sokeuna. Zmrużył oczy, chcąc zobaczyć kto to, ale coś lało mu się z brwi do oczu i ogarniała go słabość. Ludzie przypominali rozmyte plamy, we wnętrzu robiło się coraz ciemniej.

– Traci przytomność!

Uderzenie w brzuch odebrało mu oddech. Coś zacisnęło się na jego przedramieniu, które za chwilę zapłonęło bólem, jakby poparzone. Wrzasnął. Nagła, trzeźwa myśl ocuciła go – zdarli mu kawał skóry. I wtedy dostrzegł, kogo wprowadzili do pomieszczenia. Srey Na. Wrzasnął i próbował się wyrwać, ale spadł na niego grad ciosów i czyjeś ręce przytrzymały go.

– Zobacz.

Tak bardzo nie chciał patrzeć, ale widział wszystko. Widział, jak zerwali jej paznokcie u stóp i dłoni, a ona zaciskała wargi nie chcąc krzyczeć. Jak wykręcali jej ręce coraz bardziej. Znowu wrzeszczał i wyrwał się, a za plecami słyszał śmiech.

– Przyznaj się. Przyznaj się, że jesteś szpiegiem!

– Jestem mechanikiem, nie jestem szpiegiem! – Czy ten wysoki głos wciąż należał do niego?

Rozwiązali ją i osunęła się na podłogę. Kopali ją, a ona tylko zwinęła się w kłębek. Chciał krzyczeć – chroń głowę, ale zanim to zrobił zobaczył, jak jej ręce i kolana zaciskają się wokół brzucha. Wtedy zrozumiał.

– Powiem wszystko! Powiem! Wszystko, co chcecie!

– Oczywiście, że powiesz. – Jeden z kopiących Srey Na mężczyzn podszedł do niego i nachylił się nad nim tak blisko, że Sokeun mógł dostrzec ropę w kąciakach jego oczu. Tak ciemnych, jak niebo w bezksiężycową noc.

– Ratanak! – Mężczyzna wyprostował się i spojrzął w stronę, z którego dobiegło wołanie. – Odprowadź ją do celi.

– Tak jest. – Podszedł do leżącej na podłodze Srey Na i spróbował ją podnieść. Nogi uginały się pod nią, wyglądała jak stara, szmaciana lalka.

– Pomóż mu Savath!

Podnieśli Srey Na i wywlekli ją z pomieszczenia. Jej bezwładne ciało zostawiło za sobą ślad krwi. Przez resztę przesłuchania Sokeun wpatrywał się w niego, bezmyślnie powtarzając stawiane mu zarzuty. Czy krew pochodziła z powierzchownych ran? A może coś pękło w środku Srey Na? Najgorstszego pytania nie dopuścił do swoich myśli.

...

Świeca wypaliła się i Sokeun siedział w ciemnościach. Wokół

niego tańczyły upiory z przeszłości, ale był zbyt zdrętwiały, by zapalić drugą świecę i próbować je odgonić. Drzwi wejściowe otwarły się, a do środka wpadł powiew nocnego, chłodniejszego powietrza. Sokeun zaczerpnął tchu i odwrócił się.

– Co tak siedzisz po ciemku? – Srey Na podeszła do niego, usiadła obok i zapaliła świecę. Gdy zwróciła ku niemu twarz, jej oczy rozszerzyły się, jakby zamiast jego twarzy ujrzała postać z koszmarów.

Zmusił się do uśmiechu.

Lyvann stał w progę ze spuszczoną głową.

– Synu?

Na dźwięk głosu ojca, Lyvann poderwał głowę. W bladym świetle świecy, Sokeun dostrzegł w jego twarzy wyzwanie.

– Nie możesz porzucić studiów...

– Mówiłem już, że nie mam wyjścia – podniósł głos.

– Nie przerywaj mi. Usiądź tu.

Lyvann zajął miejsce przy stole. Skupił spojrzenie na świecy, a po chwili wystawił dłoń nad jej płomień. Powoli zniżał ją i przesuwając ją w lewo i w prawo.

– Przeprowadzimy się do Phnom Penh, zamieszkamy z tobą i twoją żoną.

Lyvann poderwał głowę i zabrał dłoń znad świecy.

– Przecież nienawidzisz Phnom Penh! Mówiłeś, że już nigdy tam nie pojedziesz!

Skinął głową.

– Nie zostaniemy tam całe życie. Będziemy pracować i możemy wam, aż skończysz studia. Potem wrócimy do wioski.

– Ojczy, przecież nie możecie tego dla mnie zrobić!

– Oczywiście, że możemy. – Srey Na uśmiechała się.

Lyvann pokręcił głową i roześmiał się. Sokeun czuł ciepło siedzącej obok Srey Na. Pachniała rozgrzanym w słońcu piaskiem.

...

Musiała być już bardzo późno, gdy Sokeun zbudził się słysząc dochodzące z zewnątrz głosy. Ryk silnika, krzyk. Chyba płacz. Rozległy się kroki najpierw jednej osoby, a potem grupy.

Lyvann wyszedł zza kotary, gdzie spał na rozłożonej na podłodze macie.

– Coś się stało. Pójdę zobaczyć.

– Czekaj, idziemy z tobą. – Srey Na podniosła się, a Sokeun poszedł w jej ślady.

Na zewnątrz otoczyło ich rześkie powietrze wypełnione nocnymi dźwiękami – nawoływaniem wodnego ptactwa, cykaniem świerszczy i cykad. Z domów wychodzili sąsiedzi i rozglądali się szukając źródła hałasu.

Nagle usłyszeli wycie – przypominało krzyk i lament, jakby samica jakiegoś drapieznika odkryła, że jej dzieci zniknęły z legowiska. Pospieszili w tamtą stronę.

U stóp schodów prowadzących do domu Ratanaka zebrała się grupa osób. Rozmawiali ze sobą ściszonymi głosami, pokazywali na budynek, w oknach którego paliło się światło. Ze środka dochodziły podniesione głosy.

– Co się stało? – Lyvann zwrócił się do jednej ze starszych kobiet, Borany.

– Mówią, że najmłodszą córkę Ratanaka, Srei Vi, zgwałcili.

– Jak to? Przecież ona ma ile, dwanaście? Jedenaście lat? – Srey Na pokręciła głową i otuliła się ramionami, jakby zrobiło jej się zimno.

Borany przez chwilę patrzyła jej głęboko w oczy, po czym odwróciła wzrok w stronę domu Ratanaka.

– Ano, wiecie, że Srei Vi z braćmi jeżdżą codziennie do miasta. Chodzą tam po ulicach, sprzedają pamiątki. Dzisiaj Srei Vi zniknęła. Bracia szukali jej kilka godzin. W końcu usłyszeli płacz dochodzący z zarośli nad rzeką. – Borany przełknęła ślinę i odwróciła wzrok. – Mówili, że całe ubranie miała podarte i we krwi. A obok ktoś rzucił kilka dolarów...

Jej spojrzenie przypominało wzrok więźniów Tuol Sleng. Wyzuty z emocji, pełen świadomości mroku, jaki czai się w ludzkiej duszy. Tak mogli patrzeć jedynie ci, którzy widzie-

li i przeżyli zbyt wiele.

Wewnątrz domu ktoś głośno lamentował. Sokeun zamknął oczy, mimo że nie mogło to stanowić żadnej ochrony ani pociechy.

...

Tej nocy Sokeun już nie zasnął. Czuł pustkę. Pustkę, która zdawała się go przygniatać i dusić. Jakby znalazł się w ogromnym, pogrążonym w ciemności pomieszczeniu, gdzie brakowało powietrza.

Gdy zbliżał się wschód słońca, Sokeun podniósł się i ubrał, starając się nie obudzić Srey Na i Lyvanna. Tego ranka nie planował wypływać na jezioro, ale zmienił zdanie i postanowił złowić świeżą rybę na śniadanie. Wyszedł z domu i w półmroku udał się nad jezioro. Otaczała go cisza i spokój. Rześkie powietrze napelniło go radością. Jeszcze kilka godzin wcześniej, usłyszawszy opowieść Borany, sądził, że już nigdy się tak nie poczuje.

Wypłynął na jezioro skupiając się na prostych, znanych czynnościach – sterowaniu łodzią, równomiernym wiosłowaniu. Wioska malała na horyzoncie, a ciemność rzedła. Tego dnia poranek nabierał szaro-różowych barw, przypominających pokryte kurzem kwiaty lotosu.

Wsluchiwał się w swój oddech i miarowe uderzanie wiosł o wodę. Zamknął oczy, wiedząc że Tonle Sap go nie zwiedzie i nie wyprowadzi na mieliznę lub w trzciny. Tyle lat żył z sobą w zgodzie, jak najlepsi przyjaciele.

Nagle Sokeun usłyszał dziwny dźwięk – nie przypominał głosów wodnych ptaków, ale wydawał się znajomy. Przerwał wiosłowanie i wsluchiwał się w niego. Ktoś niedaleko płakał.

Rozejrzał się i kilkanaście metrów od siebie ujrzał łódź. Zbliżył się do niej i po chwili rozpoznał ją – należała do Ratanaka. Chciał zawrócić, ale płacz stał się głośniejszy. Podjął wiosłowanie, i gdy podpłynął bliżej zobaczył pochyloną, trzęsącą się jak w konwulsjach postać.

Ratanak jeszcze go nie zauważył. Wydawał się taki drobny z pochylonymi plecami i głową, w luźnej połatanej bluzie. Próbował rozplątać sieć, ale jego dłonie za bardzo drżały. Sokeun znalazł się tak blisko, że jego łódź uderzyła o kadłub łodzi Ratanaka, który dopiero teraz zwrócił uwagę, że ktoś do niego przypłynął. Sokeun rzucił okiem na jego twarz i ujrzał w niej coś nieoczekiwanego – strach. Zupełnie jakby Ratanak spodziewał się, że Sokeun złapie go za ramiona i zanurzy jego głowę w wodzie.

Sokeun złączył obie łodzie i przedostał się do Ratanaka. Wyjął sieć z jego palców i rozplątał ją. Unikał patrzenia na Ratanaka, który zakrył twarz i skulił się na ławce. Wyglądał jak stos starych ubrań.

Rozplątawszy sieć, Sokeun zarzucił ją i umocował, po czym wrócił na swoją łódź. Gdy chciał odpłynąć, Ratanak podniósł głowę i spojrzał mu w oczy. Przez chwilę przyglądali się sobie, a w ich myślach pojawiły się te same obrazy. Przeszłość, teraźniejszość i mglista wizja przyszłości wymieszały się ze sobą.

Sokeun skinął głową. Chwycił wiosła i powoli odpłynął. ■



Od 64 lat, czyli od 3218 numerów „Nowiny Gliwickie” współtworzą historię miasta, o którym wiedzą prawie wszystko. Z kart tygodnika korzystają historycy, specjaliści różnych dziedzin i mieszkańcy, a każda z tych grup czerpie w innym zakresie, choć wszystkie poszukują jednego: informacji. Nasze motto zawiera się w krótkich słowach: warto i trzeba pisać. O miejscach, w których wielu z nas urodziło się i wychowało, uczy oraz pracuje, o historii, mającej dla teraźniejszości niebagatelne znaczenie, o sprawach małych i wielkich, od przysłowiowej dziury w jezdni, po kluczowe dla regionu i państwa inwestycje. Wreszcie, a może przede wszystkim o ludziach, bo to Czytelnicy są naszymi najważniejszymi odbiorcami i najsurowszymi recenzentami.

Dzisiejsze „Nowiny Gliwickie” są liczącą się firmą wydawniczą, z uwagą śledzącą i elastycznie reagującą na zmiany rynkowe oraz ekonomiczne. Od 64 lat, co tydzień, wydajemy gazetę, od 22 lat redagujemy portal internetowy, przez osiem lat realizowaliśmy programy telewizji internetowej, a od dekady dynamicznie i z sukcesem rozwijamy social media (FB, Twitter, Instagram). Postawiliśmy na multimedialność, która w dzisiejszej dobie oznacza wyťažoną pracę całego zespołu. Ale lubimy to, podobnie jak stan podniecenia towarzyszący każdemu wydaniu gazety.

Od organu do tygodnika obywatelskiego
Pierwszy numer „Nowin Gliwickich” pojawił się na wydawniczym rynku z datą 15–31 stycznia 1956 r. jako organ Komitetu Powiatowego PZPR, Powiatowej Rady Narodowej i Powiatowego Komitetu Frontu Narodowego w Gliwicach. Jak pisze w swoich wspomnieniach jeden z jej pierwszych dziennikarzy, później wieloletni redaktor naczelny, nieżyjący już Marian Załęga, gazeta zrodziła się z potrzeby społecznej. Niestety, jej sytuacja w pierwszych latach istnienia nie była łatwa: nie miała osobowości prawnej, borykała się z ogromnymi trudnościami zaopatrzeniowymi, brakowało pieniędzy i papieru.

Start był wprawdzie entuzjastyczny, lecz trudny. Na pierwszej stronie pierwszego numeru ukazał się wstępniak, w którym zdefiniowano najważniejsze cele pisma. I choć były to lata pięćdziesiąte, okres w którym można było tylko pomarzyć o nieskrępowanej wolności słowa, owa definicja naszej działalności brzmi wciąż aktualnie. Oto ona: „(...) rozpoczynamy wydawanie pisma, którego celem i zadaniem jest służyć szerokim rzeszom mieszkańców naszego powiatu poprzez informowanie ich o naszych obecnych osiągnięciach we wszystkich dziedzinach stale rozwijającego się życia. (...) Pisać będziemy także o przeszłości tej ziemi. Nie będziemy zapominać również o zdrowej krytyce, która winna pomóc nam przezwyciężyć trudności”.



Małgorzata Lichecka

„Nowiny Gliwickie” – tchnienie miasta

MAŁGORZATA LICHECKA

„Nowiny Gliwickie” były pierwszym – wraz z „Głosem Ziemi Cieszyńskiej” – piśmie terenowym na Śląsku. Tygodnik rozprowadzany był w Gliwicach i w powiecie (osiem gmin), ukazywał się także w Zabrze, dokąd trafiała mutacja „NG”: „Głos Zabrze”.

Do października 1956 wychodziliśmy jako dwutygodnik, od 1960 roku naszym wydawcą był Wojewódzki Zakład Wydawniczy, ale już rok później, w roku 1961, gazetę wydawało Śląskie Wydawnictwo Prasowe, wchodzące w skład koncernu RSW. Dziś spółdzielnia ta nie istnieje, a gazeta przeszła gruntowne zamiany własnościowe. „Nowiny Gliwickie” mieściły się pod trzema adresami. Zaczynaliśmy od pokoju na III piętrze w budynku Powiatowej Rady Narodowej przy ul. Zygmunta Starego, w 1957 roku redakcja przeniosła się do lokalu przy ul. Sienkiewicza 9, by rok później znaleźć się przy Zwycięstwa 3. I od 62 lat jest to nasz stały adres.

Historia odcisnęła silne piętno na losach gazety. Jej charakter i oblicze w różnych okresach minionego 64-lecia były wiernym odbiciem powikłań dziejów kraju. Wizerunek „Nowin” w ogromnym stopniu zależał od wydawcy, który określał linię polityczną pisma. Przeglądając najstarsze numery, natrafiamy na teksty, które mogą wywołać rumieniec wstydu. Tygodnik był bowiem przez wiele lat jednym z trybików potężnej maszyny wydawniczej, ale i propagandowej, jaką było Śląskie Wydawnictwo Prasowe, nie mógł więc nie ulegać politycznym wpływom. Taka zależność dała o sobie znać np. w czasach stanu wojennego. Wydawanie

„Nowin Gliwickich” zawieszono na trzy miesiące, by wznowić je w marcu 1982.

Przełomowym momentem w półwiecznej historii był ten związany z wydarzeniami 1989 roku. Słowa „tygodnik obywatelski” pojawiły się w winiecie gazety w sierpniu 1990 roku. Dla pisma jakościovio najważniejszą zmianą była prywatyzacja. I tak w 1992 roku „Nowiny Gliwickie” stały się jednostką organizacyjną spółki M&S, by dwa lata później, w 1994 roku, uzyskać samodzielność jako odrębny podmiot gospodarczy. Nowa sytuacja polityczna – narodziny samorządu i wolnego rynku umożliwiły takie działania. Pismo uniezależniło się od nacisków politycznych. To jedno. Jednak taka sytuacja niosła nowe wyzwania, przede wszystkim poddyktowane ekonomią. Ilość stron i nakład przestały być głównym wyznacznikiem kondycji, a stały się nim zawartość merytoryczna, cena, wyniki finansowe, bilansowanie dochodów i wydatków.

Gliwice to my

Tygodnik obywatelski jest dziś marką Gliwic. Potwierdzają to badania przeprowadzone przez Centrum Badania Opinii Społecznej: 85 procent gliwiczian informacje o mieście czerpie z „Nowin Gliwickich”. Co nas wyróżnia? Autorskie teksty i zdjęcia, dziennikarstwo śledcze i interwencyjne, rozbudowane działy – miejski, kryminalny, kulturalny, sportowy, gospodarczy i edukacyjny, fotoreportaże, artykuły.

Lokalny rynek wydawniczy z jednej strony jest wysyceny, mamy bowiem kilka portali lokalnych, więc konkurencja spora. Z drugiej, niezaprzeczanym i unikal-

Grozi nam wzrost zakażeń
Od momentu wprowadzenia maseczek pokazał się szary

Ogólna liczba zakażeń w województwie śląskim w tym czasie wzrosła o 100 proc. W województwie śląskim w tym czasie wzrosła o 100 proc. W województwie śląskim w tym czasie wzrosła o 100 proc.

Ognisko epidemiczne w KWK Sośnica. Badani górnicy i ich rodziny

Pracownicy KWK Sośnica w województwie śląskim w tym czasie wzrosła o 100 proc. W województwie śląskim w tym czasie wzrosła o 100 proc.

Biurokracja zadusi wsparcie?

Pracownicy KWK Sośnica w województwie śląskim w tym czasie wzrosła o 100 proc. W województwie śląskim w tym czasie wzrosła o 100 proc.

Trwa budowa obwodnicy. Prace mocno zaawansowane

Pracownicy KWK Sośnica w województwie śląskim w tym czasie wzrosła o 100 proc. W województwie śląskim w tym czasie wzrosła o 100 proc.

Wydanie cyfrowe

Pracownicy KWK Sośnica w województwie śląskim w tym czasie wzrosła o 100 proc. W województwie śląskim w tym czasie wzrosła o 100 proc.

to on generuje dość znaczne przychody firmy, jest także bezpośrednim źródłem weryfikacji treści. Teksty z papierowego wydania publikowane na stronie i linkowane na profilach FB i Twitterze pokazują, w czasie rzeczywistym, skalę czytelnictwa, mierzoną poprzez Google Analytics oraz statystyki FB.

To niezwykle dynamiczna i czuła na błędy strefa działania lokalnej gazety, dlatego „Nowiny Gliwickie” stawiają na odpowiedzialne i profesjonalne dziennikarstwo, kształtujące opinię lokalnej społeczności, a nie na clickbaitową info rozrywkę. Strona nowiny.gliwice.pl zmienia także regularnie szatę graficzną, dostosowując ją do wymagań użytkowników i reklamodawców. Nowe media wymusiły również inny sposób pracy dziennikarzy „Nowin” (choć dotyczy to ogólnego trendu w mediach lokalnych w ogóle). Redakcja pracuje w trybie 24/7, to z kolei powoduje dość istotną zmianę pracy dziennikarzy – już nie tylko przygotowywanie tekstów w trybie tygodniowym, ale w pierwszej kolejności na stronie internetowej i dla social media. Nasza praca stała się multimedialna: piszemy, nagrywamy filmy, robimy zdjęcia, obsługujemy panele CMS.

Społeczna twarz gazety
Pomagamy, rozdajemy, interweniuujemy, wybieramy, edukujemy. Wiele naszych działań i akcji prowadzimy od lat i stały się już nie tylko naszym znakiem firmowym, ale wydarzeniami na skalę miasta i Śląska. Czasami to jednodniowa akcja, jak sprzedaż choinek – dochód zawsze przeznaczamy na świetlice PCK, czy wolontariat hospicyjny – nasi dziennikarze od lat kwestują w listopadzie na rzecz gliwickiego Hospicjum Miłosierdzia Bożego. W większości są to jednak działania długofalowe i cykliczne.

Wspólnie z Marianem Jabłońskim, pasjonatem historii, zorganizowaliśmy 100 „Wędrówek z Nowinami”. W ten sposób

poznawaliśmy historię Gliwic, Śląska i innych regionów Polski. Pierwsza wyprawa miała miejsce w maju 2009 roku, a penetrowaliśmy schrony w Nieborowicach, ostatnia – w grudniu 2014 roku, kiedy zwiedzaliśmy będzińskie podziemia.

W 2005 roku po raz pierwszy, wspólnie ze stowarzyszeniem Forum Kobiet Ziemi Gliwickiej, zorganizowaliśmy plebiscyt Diana, honorując w ten sposób kobiety aktywne w działalności publicznej. W plebiscycie wzięło udział prawie 700 kobiet z Gliwic i powiatu.

Konkurs „Znam Gliwice i Ziemię Gliwicką” ogłosiliśmy 1997 roku. Od 23 lat naszymi partnerami są: gliwickie Muzeum, Miejska Biblioteka Publiczna, Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej, gliwicki samorząd, Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Gliwickiej. W konkursie wzięło udział ponad 500 uczniów gimnazjów, liceów i techników, a w gronie laureatów znalazło się ponad 50 pasjonatów historii regionalnej i lokalnej.

Gliwiczysz się pnie
Plebiscyt Człowiek Ziemi Gliwickiej od 1997 roku był symbolem pracy u podstaw na rzecz lokalnej społeczności. W ten sposób chcieliśmy (i czynimy to od 23 lat) wyróżnić osoby, które działają – ponadprzeciętnie. Tak, by z tych działań, często wieloletnich, wylądował efekt. Laureaci spełniają się w różnych dziedzinach: od biznesu po kulturę i sport, zaś pokłosie tego spełnienia jest bardzo wymierne: zbudowanie liczącej się w świecie firmy, stworzenie i prowadzenie festiwalu muzycznych, osiągnięcia sportowe czy udane akcje społeczne.

Znakiem rozpoznawczym Człowieka Ziemi Gliwickiej była do niedawna mała forma rzeźbiarska przedstawiająca sylwetkę człowieka wspinającego się po schodach. To osoba w drodze, której finał bywa różny, ale wspinaczka na szczyt zawsze wiąże się z wyzwaniem. A nam, pomysłodawcom plebiscytu, zależało na uhonorowa-

nym walorem „Nowin Gliwickich” jest ścisła współpraca z Czytelnikami i Czytelniczkami oraz wpływ na kształtowanie miejskiej polityki: mowa tu o wielu publicystycznych cyklach, ukazujących ważne problemy społeczne, interwencje – skuteczne, czy też akcje społeczne prowadzone przez gazetę i jej redaktorów. Jesteśmy też, a może przede wszystkim, recenzentem lokalnej władzy, obojętne w jakich barwach politycznych się objawia. Jej działania są pod naszym stałym reporterskim nadzorem, bo tak pojmujemy naszą dziennikarską powinność.

Przez 64 lata wydawania tygodnika redaktorzy naczelni wraz z zespołem redakcyjnym zabiegali o to, by tematyka była jak najbardziej atrakcyjna dla czytelników – mieszkańców powiatu gliwickiego. Zawsze dokładaliśmy starań, by każdy, kto sięgnął po naszą gazetę, znalazł w niej coś interesującego. Tygodnik, taki jak „Nowiny”, żyje przecież życiem lokalnych społeczności. Wraz z naszymi czytelnikami cieszyliśmy się kiedy w latach 70. powstawały nowe osiedla, oddawano szkoły czy przedszkola. Byliśmy przy narodzinach gliwickiego samorządu, otwieraliśmy nowe zakłady, budowaliśmy – symbolicznie – fabrykę Opla, autostrady A4 i A1, Drogową Trasę Średnicową.

Nowe media, czyli statystyki rządzą
W związku ze zmianami na rynku wydawniczym oraz rozwojem internetu, „Nowiny Gliwickie” zmieniły profil wydawniczy. Od 2004 roku stawiamy nie tylko na papierowe wydanie. Coraz większą rolę, także w dochodzie wydawnictwa, odgrywa strona internetowa oraz media społecznościowe. I choć lokalne gazety wciąż uważają papierowe wydania za swój najważniejszy produkt, lekceważenie internetu oraz nowych mediów może drogo kosztować. Dlatego „Nowiny Gliwickie” od ponad dekady systematycznie wzmocniają zespół internetowy –



Akcja Nowin – Dom przedpogrzebowy

foto: Krzysztof Summa

niu tych, którzy takie wyzwania podejmują. Statuetka jest dziełem prof. Krzysztofa Nitscha, uznanego w Polsce i świecie artysty rzeźbiarza i medaliera, profesora krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. W 2017 roku małą formę rzeźbiarską zastąpiła szklana statuetka.

Organizacja plebiscytu całkowicie spoczywa na barkach zespołu redakcyjnego. Wszyscy angażują się w przygotowania, a funkcje są precyzyjnie rozdzielone: część zajmuje się promocją i robotą dziennikarską, część sponsoringiem i pozyskiwaniem partnerów, inni pracują nad logistyką. Każdy element plebiscytowej układanki jest ważny, bowiem to od naszej sprawności zależy powodzenie całości. Z każdym rokiem nabieraliśmy doświadczenia, choć pojawiły się nowe wyzwania. Na przykład miejsca, w których organizowaliśmy galę. Trzeba je było bardzo dokładnie poznać, by wyeliminować jak najwięcej „słabych” punktów. Od początku trwania plebiscytu prezentujemy na łamach tygodnika sylwetki kandydatów do tytułu Człowiek Ziemi Gliwickiej. To znakomita okazja do bliższego poznania tych ludzi i odkrycia ich pasji. Od 2009 roku przygotowujemy także prezentację filmową dziesięciorga finalistów plebiscytu.

Przez 23 lata trwania plebiscytu w nim udział ponad 770 osób, zaś w finałowej dziesiątce znalazło się 229. Wśród dotychczasowych Gliwiczuszy są trzy kobiety i 20 mężczyzn. Najmłodszy Człowiek Ziemi Gliwickiej miał, w chwili odbierania statuetki, 41 lat (prof. Adam Maciejewski), najstarszy – 91 (prof. Mieczysław Chorąży). W gronie Gliwiczuszy jest 10 profesorów i 6 doktorów.

Zabytki to nasza specjalność

Walczyliśmy, często skutecznie, o ratowanie bezcennego dziedzictwa kulturowego Gliwic. Dzięki bezprecedensowej akcji „Nowin Gliwickich” udało się uratować dawny żydowski dom przedpogrzebowy – dziś Dom Pamięci Żydów Górnośląskich. To „Nowiny” w listopadzie 2012 roku zorganizowały akcję społeczną, w której uczestniczyło prawie 800 osób, ukazującą walory budowli i prezentującą jej bogatą historię i znaczenie dla europejskiego dziedzictwa. Po tej akcji, decyzją władz miasta, rozpoczęto remont obiektu. W styczniu 2017 roku otwarto filię Muzeum w Gliwicach, która cieszy się niesłabnącym zainteresowaniem zwiedzających.

W maju 2015 roku, podczas prac archeologicznych na gliwickiej starówce, odsłonięto doskonale zachowane XIV-wieczne wrota miasta – jedną z dwóch najważniejszych bram – Bramę Białą, zwaną też Bramą Bytomską. Z archeologicznego i historycznego punktu widzenia to odkrycie bez precedensu, zarówno w skali Śląska, jak i Polski: niewiele miast, szczególnie na południu kraju, może się bowiem poszczycić znaleziskiem o tak kapitalnym dla lokalnej historii znaczeniu.

Zachwyciliśmy się Bramą i dostrześliśmy, jako redakcja, wielką szansę, by uczynić z niej nasz gliwicki „towar eksportowy”. Miejsce, w którym Brama się znajduje, to serce miasta – śródmieście. Byłaby więc nasza Brama atrakcją turystyczną. Ale także, oczywiście odpowiednio wyeksponowana, świetną lekcją historii. Urzędnicy mieli swój pomysł na ekspozycję – marny i kompletnie dla mieszkańców nieczytelny.

Dlatego redakcja postanowiła się o Bramę upomnieć. Przygotowaliśmy petycję do prezydenta i przewodniczącego Rady Miasta. Można ją było podpisać elektronicznie oraz w siedzibie redakcji. W ciągu miesiąca naszą akcję poprało ponad 800 osób. Mieszkańcy w mailach, na FB oraz stronie internetowej twierdzili, że Bramę należy się szacunek. Spodobał im się także nasz sposób upamiętnienia zabytku.

Petycja z podpisami trafiła na biurka urzędników. Jednocześnie intensywnie zabiegaliśmy o bardziej zdecydowane działania Śląskiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Sprawa Bramy była tematem posiedzeń komisji Rady Miasta, a petycja miała przekształcić się w uchwałę i stanąć na sesji. Tak się jednak nie stało, bo radni stchórzyli, bojąc się gniewu prezydenta. Wykazali się także nikłą znajomością historii własnego miasta. Obiecali jedynie, że będą „bacznie się przyglądać” działaniom władz.

Dzięki akcji gazety, do Gliwic zjeżdżały komisje konserwatorskie. Społeczna kontrola nie pozwoliła na działania powierzchowne: konserwator zobowiązał władze do specjalnego oznakowania odkrycia, wprowadzenia zakazu parkowania oraz wykonania specjalnej makiety miejskich fortyfikacji.

Efekt akcji społecznej to zainteresowanie mieszkańców historią i pobudzenie do aktywnego bronięcia bezcennych zabyt-

ków, napiętnowanie złych nawyków urzędu konserwatorskiego, co m.in. przyczyniło się do odwołania z funkcji Śląskiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków.

„Nowiny Gliwickie” angażują się w sprawę ratowania wieży ciśnien z ul. Sobieskiego – to z kolei bezcenny zabytek industrialny. O akcji można było przeczytać w tegorocznym kwietniowym numerze Śląska. Redakcja patronuje i wspiera inicjatywę społeczną „Gliwice dla Schabika”, o której „Śląsk” pisał szeroko w październiku 2019 roku. Stanowimy zgraną drużynę, mamy swoje wady i zalety, ale łączy nas jedno: kochamy „Nowiny Gliwickie” i naszą pracę, której większość z nas oddała wiele lat swojego życia. ■

Małgorzata Lichecka – dziennikarka, ukończyła studia na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, studia podyplomowe z zarządzania kulturą na Uniwersytecie Jagiellońskim. W redakcji „Nowin Gliwickich” od 1994. Laureatka wielu ogólnopolskich konkursów dziennikarskich: „Obywatel reporter” (1999 – III nagroda), „Dziennikarz z naszych stron” (2000 – II nagroda), Ogólnopolski Konkurs Dziennikarski SGL Local Press (2012 i 2013 – główna nagroda w kategorii publicystyka historyczna), nominacje w latach 2009, 2014, 2015, 2017 i 2018, w kategoriach wywiad, dziennikarstwo interwencyjne i śledcze. Zdobywczyni pierwszej nagrody w Międzynarodowym Konkursie Dziennikarskim Visegrad Local Press w kategorii społeczeństwo oraz Grand Prix ogólnopolskiego konkursu Filary Demokracji Lokalnej (2013 r.) za cykl tekstów o gliwickim domu przedpogrzebowym.



Wędrówki z Nowinami

fol. Zdzisław Daniec

O nowe spojrzenie na Górny Śląsk

ZYGMUNT WOŹNICZKA we współpracy z KAROLEM MAKLESEM

Górny Śląsk spoznaje się zwykle jako obszar pogranicza państwowego, narodowego i kulturowego. Zatem miejsca znajdującego się na styku, w którym spotykają się, współistnieją, krzyżując się odrębności, tworzące jedną w swoim rodzaju przestrzeń w Polsce.

Ujął to esencjonalnie w swej pracy zatytułowanej *Pochwała różnorodności* – dwudziestowieczny mikrobiolog i humanista nagrodzony Pulitzerem – René Dubos. Zwrócił on uwagę na unikalność podobnych terenów, pisząc że: *każde miejsce posiada jakiś zbiór atrybutów, decydujących o niepowtarzalnym charakterze jego krajobrazu i mieszkańców.*

Swą specyfikę Górny Śląsk wytworzył przez wieki znajdując się od średniowiecza w orbicie: Państwa Wielkomorawskiego, Polski, Czech, Monarchii Habsburskiej, Prus (od 1871 r. zjednoczone Niemcy) czy Austrii. Zmieniając swą przynależność państwową, region ten ulegał wpływowi wielu różnych systemów politycznych, gospodarczych oraz różnicowanych działań społeczno-kulturowych.

Nie zapominając o tym, że od średniowiecza Śląsk, w tym Górny Śląsk, należał w Europie do terenów rozwiniętych gospodarczo i kulturowo oraz przyniósł Polsce wielu światłych, wykształconych i odnoszących sukcesy w całej Europie obywateli. Wymieńmy tylko dominikanów św. Jaczka i bł. Czesława Odrowążów, o których mówiono w Krakowie *Ex Silesia Lux* (światło ze Śląska). Mimo że Śląsk odpadł od Polski w średniowieczu to jednak nadal lud śląski mówił po polsku i żył pod wpływem polskiej kultury.

W XIX wieku na Górnym Śląsku w wyniku rewolucji przemysłowej doszło do rozwoju przemysłu, forsownej industrializacji i napływu do pracy tysięcy ludzi zarówno z Niemiec, jak i z Wielkopolski czy Małopolski. Wszystko to wpłynęło na wielopłaszczyznową zmianę panoramy Górnego Śląska. Wytworzone wtedy specyficzne zjawiska etnograficzne i kulturowe, związane np. z wytyczonymi przez zaborców sztucznie granicami prusko (niemiecko)-rosyjsko-austriackimi (au-

stro-węgierskimi), zachowały swoje znaczenie do dnia dzisiejszego. Nie da się też pominąć faktu, że skupiska robotnicze ulokowane głównie w pobliżu zakładów pracy nie były ukierunkowane na rozwój innych sfer życia, jak chociażby naukowego i kulturalnego. Przyniosło to w efekcie deficyt wykształconej śląskiej, klasy średniej.

Powstania śląskie i plebiscyt były nie tylko strajkami robotników, ale kulminacją polskiego odrodzenia narodowego na Górnym Śląsku, który po wiekach wracał do Macierzy. Siła tego zjawiska była dla Niemców zaskoczeniem. Wojciech Korfanty od młodości aż do śmierci był orędownikiem międzykulturowego, ale też polskiego, europejskiego, Górnego Śląska. Był symbolem tego regionu i tak jak jego Górny Śląsk, on sam również był: europejski, polski, i śląski. Nie widział w tym sprzeczności. W przynależności do reszty ziem polskich widział dla Śląska szansę, a nie zagrożenie.

W okresie międzywojennym w województwie śląskim wydatnie wzmocniono podwaliny pod rozwój kultury polskiej na Górnym Śląsku. Wrazem tego było skupienie działań na wspieraniu szkolnictwa (Śląskie Zakłady Techniczne), w tym szkolnictwa wyższego, a także powstania i rozwoju ważnych ośrodków jak choćby: Muzeum Śląskie, Instytut Śląski, czy Radio Katowice.

Po drugiej wojnie światowej prawie cały Górny Śląsk znalazł się w granicach Polski, pozostał ziemią wielostronnego i różnorodnego dialogu narodowego i kulturowego, różnych historycznych już wówczas, funkcjonujących w świadomości Ślązaków odwołań do kultury czeskiej lub niemieckiej. Funkcjonowała na tym terenie kultura plebejska, tak wyrażona chociażby w twórczości pisarskiej Janoscha, czy w filmach Kazimierza Kuca. Wielu widziało niej kwintesencję śląskości.

Przesunięcia granic po 1945 roku, stały się dla Górnego Śląska wielkim impulsem do rozwoju kultury wysokiej, elitarnej, m. in. za sprawą przybycia wysiedleńców ze wschodnich terenów Polski, w tym ze Lwowa. Kresowa inteligencja stała się

fundamentem powstania ośrodków akademickich takich jak Politechniki Śląskiej i Śląskiej Akademii Medycznej, kulturalnych, jak Opery Śląskiej, Teatru Śląskiego oraz rozbudowy szkolnictwa średniego i zawodowego. Od wczesnych lat powojennych planowano ponadto powołanie uniwersytetu. Ludzie ci przenosząc się z Kresów na Śląsk, obok doświadczeń, wiedzy, kultury i zwyczajów, przywieźli także wiele materialnych rodzinnych pamiątek, stanowiących polskie dziedzictwo wschodnich ziem Rzeczypospolitej Polskiej. To m. in. postawiło Górny Śląsk w rzędzie ważnych ośrodków naukowych i kulturowych w kraju. Miał więc miejsce swoisty fenomen, spotkania „kresowości zachodniej i wschodniej”, który przyniósł na terenie Górnego Śląska zrodzenie nowej wartości wzbogaconej o „kresowość wschodnią”.

Powstał więc swoisty fenomen: z jednej strony dominujący w kraju ośrodek przemysłowy, największe skupisko klasy robotniczej, ale też ośrodek, gdzie dochodziło do ważnych i ciekawych przemian społecznych i kulturowych.

Dzisiaj w miarę jak przemysł ciężki coraz bardziej przechodzi na dalszy plan, przeobrażający się szybko Górny Śląsk, posiadając niezwykle wszechstronny potencjał – pozostaje w dalszym ciągu – ważnym, nowoczesnym ośrodkiem przemysłu, lecz stanowi także znaczący ośrodek nauki oraz kultury, staje się równorzędnym partnerem dla Krakowa i Wrocławia.

Należy zerwać z patrzeniem na Górny Śląsk jedynie przez pryzmat prowincjonalnego regionu istniejącego między Krakowem a Wrocławiem. Swoistego skansenu kulturowego, którego znakiem rozpoznawczym były kopalnie, folklor i śląska godka. Należy – zachowując i pielęgnując piękne śląskie tradycje i bogatą kulturę – pokazać przede wszystkim nowoczesny region, silny nadal przemysłem, ale też nauką, szkolnictwem, w których rozwój fundamentalny wkład wnieśli Ślązacy i przybysze z innych regionów Polski, w tym Kresowianie.



Gliwice mają takie same media, jak inne miasta. Ale gliwiczanie mają swoje własne, oryginalne medium – wszędobylskiego badacza miasta i reportera, który wchodzi w każdą dziurę i wydobywa niezwyczajne informacje. Organizuje eksploracje najdziwniejszych miejsc, opowiada osobiście, publikuje, nagrywa. Dzięki niemu mieszkańcy żyją nie tylko sprawami bieżącymi, ale wiedzą „wszystko” o sprawach swoich poprzedników. Poprosiliśmy Mariana Jabłońskiego o krótką charakterystykę jego tak odbieranej działalności (Redakcja).

Medium między miastem a mieszkańcami

MARIAN JABŁOŃSKI

Medium między miastem a mieszkańcami? To bardzo pochlebna dla mnie opinia, dziękuję bardzo. Szkoda jednak, że całe swoje dorosłe życie wiążąc z tego typu edukacją historyczną gliwiczanie, nie dorobiłem się poparcia ze strony gliwickich elit rządzących. Byłoby mi zapewne łatwiej dotrzeć do mieszkańców zagubionych w chaosie informacyjnym, tym z czasów PRL-u, jak i współczesnym.

Śmieje się do mnie z półki „Gliwiczus” z roku 2012 przyznawany przez *Nowiny Gliwickie*, śmieje się „Chłopiec z łabędziem” przyznawany przez Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Gliwickiej, śmieje się dyplom przyznany przez Marszałka Województwa Śląskiego, jak również kilka innych „wyrzów uznania”. Satysfakcję mam ogromną z posiadania tych wyróżnień, bo jestem jedynym gliwiczanie, który – w różnych latach – skompletował te statuetki.

Za co? Za popularyzację wiedzy o Gliwicach, za teksty historyczne w mediach, za organizację turystyki historycznej na terenie całego Śląska. Ta turystyka historyczna szczególnie mi przypadła do gustu, polega bowiem nie tylko na merytorycznym opisywaniu historii miasta, ale również na dosłownym dotknięciu Śląska i Gliwic przez uczestników wycieczek. Ile było tych wędrówek? Około 160, dla prawie 10000 uczestników.

Media gliwickie poprzez gonitwę za pieniędzmi na swoje utrzymanie, nie zawsze „gonią” zgodnie z ludzką moralnością. Takie jednak nastąpiły czasy i trzeba mi w tym się jakoś odnaleźć. Ostatnie lata to przede wszystkim praca w lokalnej stacji telewizyjnej, gdzie dla mieszkańców Gliwic, tych obecnych jak i tych dawnych, zrealizowałem ponad 160 półgodzinnych filmów o tematyce historycznej miasta. Około tygodnia zajęłoby oglądanie tych produkcji po 12 godzin dziennie. Co z nimi się stało teraz? Proszę nie pytać, bo to moja osobista porażka. Dopadł je lokalny kapitalizm.

Po zamknięciu emisji filmów dla maso-

wych odbiorców gliwickich i światowych, utworzony został portal, kącik, grupa historyczna na Facebooku. Pomógł mi w tym... 11-letni chłopiec, Oliwier Kielar, miłośnik moich filmów, pasjonat dziennikarstwa i znawca technik internetowych. Początkowo mało kto wiedział, że można tu pisać o swoich historycznych wątpliwościach, mało kto pytał o dzieje miasta, mało kto w ogóle wiedział o istnieniu grupy „Fanów Detektywa Historii” na Facebooku.

Z upływem jednak lat grupa zyskała ponad 600 użytkowników. Nie jest to wiele jak na stuśsześćdziesięciotysięczne miasto, ale proszę pamiętać, że użytkownikami są wyłącznie prawdziwi pasjonaci historii swojego miasta, regionu i kraju. W propagowaniu historii Gliwic biorą udział nie tylko domorośli historycy, ale także uznane osobistości miasta i regionu. To się liczy, tym bardziej że odbiorcami przesyłanej internetem wiedzy są osoby naprawdę chcące wiedzieć więcej niż inni.

Jak się tworzy taką grupę historyczną? To proste. Trzeba mieć wiedzę, prywatne zbiory dziesiątków map, zbiory setek książek o mieście, a co najważniejsze – dziesiątki tysięcy zdjęć, zbieranych i tworzonych przez całe życie. Zdjęcia bowiem w dzisiej-

szym świecie najlepiej docierają do odbiorcy. Oczywiście tekst też jest potrzebny, ale w bardzo skróconej formie. Długie „epopeje” nie są w ogóle czytane. Zdjęcia, zdjęcia, zdjęcia – to podstawa współczesnej edukacji historycznej na poziomie wyższym niż ogólny. Oczywiście każdy dostaje możliwość dotarcia do materiałów źródłowych poprzez podawanie tytułów pozycji książkowych, ale nie należy oczekiwać, iż jest to masowa grupa czytelników.

Zwykle fotograficy, zbieracze archiwaliów chronią zjadale swe zbiory, by nikt inny ich nie miał u siebie. Działam inaczej – rozdaję swoje zdjęcia, setki, tysiące zdjęć miasta z lat dawnych i lat współczesnych. Nawet nie podpisuję ich, bo po co? Wiecznie żyć nie będę; zgromadzone zbiory mogą trafić na śmietnik, czego świadkiem byłem już nieraz, a tak przynajmniej pożyją dłużej w cudzej szufladzie, na cudzym dysku. Mało kto zdaje sobie sprawę, że współczesna technika, choć potężna w środku i możliwości przechowywania danych, jest tylko kupą drucików i uporządkowanych przepływów prądu w procesorach. Prąd jednak łatwo wyłączyć, łatwo też nacisnąć w komputerze przycisk „Delete”. Szkoda tak głupio przeminąć. ■



Tenor na różne sposoby dba o drogo-cenny głos. Czy najlepszy spiker Ekstraklasy też to robi?

Z przymiotnikiem „najlepszy” byłbym ostrożny. Sprawiedliwiej będzie „jeden z lepszych” (śmiej). O głos w zasadzie nie dbam, czasami trzeba sobie jednak radzić z chrypką, która oczywiście przytrafia się każdemu, nie wyłączając spikerów stadionowych. Najgorzej, kiedy dopada cię przed meczem. I to takim wielkiego kalibru. Tak było przed spotkaniem Polski z Finlandią w 2016 roku, wygranym przez nasz zespół 5:0. Zostałem wytypowany przez PZPN do spikerowania. W hotelu, dzień przed tym pojedynkiem, poczułem, że z głosem nie najlepiej. Nie wiem czy to dobrze zabrzmiał, ale wiesz czym się poratowałem? Szklaneczką Jacka Danielśa! Pomogło na tyle, że na drugi dzień byłem już w normalnej dyspozycji głosowej. Czasem odczuwam dyskomfort po weekendzie, szczególnie wtedy, kiedy prowadzę z mikrofonem kilka wydarzeń sportowych.

Żadnych mikstur z surowych jajek i szalików nie stosujesz?

Nie. Kiedyś, gdy namiętnie się odchudzałem, moja żona przygotowywała mi miksturę zaleconą przez dietetyczkę: mieszankę aloesu, cytryny i wody, dość intensywną w smaku. Wypijałem ją codziennie rano i o dziwo, bardzo dobrze robiła na gardło i struny głosowe.

Wspominałeś, że na stadion zabierasz termos.

Rozgrywki piłkarskie nie toczą się wyłącznie latem, bywają miesiące kiedy temperatura spada grubo poniżej zera. Moje miejsce na stadionie jest praktycznie nieosłonięte, stoję bowiem na balkonie nad trybunami. Na Okrzei mamy specjalne pomieszczenie, ale ciasne, w dodatku nie można otworzyć okna, nie słychać też co dzieje się na zewnątrz. Z moim stadionowym partnerem, Piotrem Nagelem, uznaliśmy, że nie będziemy z niego korzystać. I na każdym meczu jesteśmy na zewnątrz, na wspomnianym balkonie. W ekstremalnych sytuacjach, kiedy jest mróz, jesteśmy opatuleni jak na wysokogórską wyprawę, a i to czasem nie pomaga. Pamiętam, kiedyś przytaszczyliśmy na stadion farelkę i dogrzewaliśmy się. Uwieczniłem ją nawet na jednym ze zdjęć na moim profilu FB. Bohaterem tej fotki był też termos z gorącą herbatą z miodem i cytrusami. Dodam, że napój był bez „prądu”. To taki mój przysmak, bo z rąk żony, Ewy.

Jak zostałeś spikerem i od kogo się uczyłeś?

Mikrofon pierwszy raz do ręki wzięłem jeszcze w podstawówce, zaczynałem od akademii i innych szkolnych uroczystości. Moi koledzy chyba wstydzieli się takich rzeczy, w każdym razie unikali tych akademii jak zarazy. Ja nigdy takich oporów nie miałem. W szkole średniej występowałem w kółku teatralnym prowadzonym przez Janinę Dudek i to też ugruntowało moją śmiałość do występów publicznych. A ze spikerką stadionową to był przypadek, związany oczywiście z piłką nożną i Piastem. Zaczęło się od kobiecej drużyny piłkarskiej Piastunek, w której pracowa-



Andrzej Sługocki

Mistrz mediów stadionowych

Z ANDRZEJEM SŁUGOCKIM, spikerem Piasta Gliwice, dziennikarzem „Nowin Gliwickich”, rozmawia MAŁGORZATA LICHECKA

łem jako asystent trenerów Henryka Rogożka i Józefa Drabickiego. Notabene grała tam moja żona, Ewa. Potem prowadziłem w Piastcie trampkarzy. Wtedy poznałem ludzi, którzy w połowie lat 90. wzięli się za odbudowę drużyny seniorów Piasta. Przypomnę, że ten zespół kilka lat wcześniej zniknął ze sportowej mapy Polski. Pojawił się na niej w roku 1997, startując od najniższej klasy rozgrywkowej w Polsce. Pracowałem już wtedy w „Nowinach”. Widząc moją otwartość i dziennikarską łatwość w nawiązywaniu kontaktów, ówczesny dyrektor klubu Andrzej Tarachulski zaproponował mi spikerowanie meczów. Wtedy poznałem Piotra Nagela, który przygotowywał na stadionie nagłośnienie. I obaj zostaliśmy przy Okrzei. W tym roku minęły 22 lata. Jako jedyni spikerzy w Polsce, a może i na świecie, przeszliśmy z jednym klubem piłkarskim od najniższej klasy rozgrywkowej do najwyższej. Dla nas nagrodą za te wszystkie lata był ubiegłoroczny tytuł mistrzowski. Cieszyliśmy się jak dzieci.

Jednak z klubem jesteście związani od pół wieku.

Prawie całe życie. Przez większość czasu jako spiker, ale nie tylko. Jak już wspominałem, na przełomie lat 80. i 90. prowadziłem zespoły młodzieżowe Piasta. Z grających w nich chłopaków stworzono trzon pierwszej drużyny po reaktywacji. Było w niej kilku mo-

ich wychowanków. Z ciekawostek: królem strzelców w A klasie został śp. Tomasz Stępień, zaś rekord tysiąca minut bez straconej bramki wyśrubował Aleksander Ryń. Piłkarskiego abecadła uczyli się pod moim okiem. **Czy jest spikerski styl Andrzeja Sługockiego?**

Pewnie tak. Moim znakiem rozpoznawczym są celebracje bramek. Nie robię tego w standardowy sposób, wymieniając jedynie imię i nazwisko piłkarza, i jego numer. Ubarwiam anegdotą, czasami nawet dwuznaczną, ale jeszcze nikt się nie obraził. Prawie po każdym meczu docierają do mnie głosy, że wszyscy mają ciary na plecach, kiedy: „pytam tych wszystkich, w których płynie niebiesko-czerwona krew: kto dzisiaj wygra mecz?” a z tyśięcy gardeł płynie „Piast GKS!!!”. Ten sposób interakcji z publicznością jest dla mnie niezwykle motywujący. Wracając do stylu Sługockiego: Rubena Jurado, pochodzącego z Hiszpanii byłego piłkarza Piasta, nazywałem kiedyś gollreadorem, a po tym, jak Czech Tomas Doczekal strzelił w końcu przy Okrzei bramkę, wykrzyczałem: „Czekal, czekał aż się doczekał”. Jeśli trafia się jakiś niecodzienny mecz, przygotowuję się, układając coś na kształt scenariusza. Kiedy parę lat temu graliśmy z Lechem Poznań, ściągnąłem nagranie peronowego dzwonka i na meczu, po голу zawodnika Piasta, uruchomiłem go,

dodając oczywiście komentarz: „uwaga, uwaga, tu stacja Okrzei, poznańska lokomotywa zatrzymana, gola dla niebiesko-czerwonych strzelił...”. Jeden z dziennikarzy napisał kiedyś, że warto przychodzić na stadion przy Okrzei choćby dlatego, żeby posłuchać spikera Piasta. To dla mnie komplement, ale przecież wszyscy wiemy, że nie ja jestem najważniejszy na stadionie

Skąd wzięło się zawołanie „jeszcze siedem!”?

Nie powiem. Po prostu fajnie zagrało mi w głowie i tej wersji się trzymajmy (śmiech). Tym powiedzonkiem drażnię przeciwnika, ale nie należy tego traktować jako negatywnej formy doping. Zresztą nikt mi z tego „jeszcze siedem” nie zrobił wyrzutu, no może poza naszym byłym bramkarzem Darkiem Trelą, który, kiedy broniał w GKS Bełchatów, musiał przy Okrzei wyciągać piłkę z siatki aż pięciokrotnie. Wkurzył się chłopak i za wynik obwiniał m.in. spikera.

A kiedy prosisz o kulturalny doping młyn stadionowy przejmują się tym?

Rozliczany jestem z reakcji na negatywne zachowania na stadionie, a są nimi wulgaryzmy.

Mecz bez nich to nie mecz.

Są jednak granice. Niekiedy fani potrafią bluźnić bez opamiętania. Na tę okoliczność wymyśliłem powiedzonko, które przekazuję kibicom: „stadion to nie opera, ale podstawowe zasady dobrego wychowania wszystkich nas obowiązują”. Kiedy kibice ponownie wchodzi na niebezpieczne tony i na przemian krzyczą np. „gola, gola, gola, strzelcie kurwom gola”, wtedy wkraczam do akcji i rzucam dyscyplinującą frazę: „Panowie, wymieniliście się już wizytówkami, zatem czas na dobry, sportowy doping”. Zazwyczaj działa. „Proszę o kulturalny i sportowy doping” jest taką bezosobową formułą. Oczywiście jej też używam, ale ja koхам emocje i jestem żywiołowy, dlatego próbuję różnych sposobów. O wymianie wizytówek już było, ale chętnie też używam sformułowania: „z benedyktyńską cierpliwością proszę o zmianę repertuaru i kulturalny doping”. Ta wersja podoba się mojemu proboszczowi z parafii Chrystusa Króla.

Kto ocenia pracę spikera Ekstraklasy?

Każdy spiker musi mieć uprawnienia potwierdzone zdaniem egzaminem. Na mecze Ekstraklasy Polski Związek Piłki Nożnej wysła delegatów, zwykle działaczy okręgowych związków. Interesuje ich wszystko, co dotyczy organizacji wydarzenia: od stanu toalety, po ilość ochroniarzy. Odnotowują incydenty, na przykład wyzwiska padające z trybun, podejmują decyzję o przerwaniu spotkania. Po każdym meczu domowym, czyli przy Okrzei, wystawiają mi cenzurkę. Szczerze mówiąc nie do końca wiem, jakie kryteria biorą pod uwagę, jest ich bardzo dużo i są szczegółowe. Na zakończenie sezonu powstaje ranking, zbudowany na podstawie informacji od delegatów. Dwa razy go wygrałem, a od kilku lat nie schodzę ze spikerskiego podium. Potwierdzeniem jest sześć statuetek, które stoją na komodzie w mojej sypialni.

Jesteś z wykształcenia socjologiem, a to pewnie pomaga w obserwacjach stadionowej społeczności.

Jako jeden z pierwszych w Polsce w 1989 roku napisałem pracę magisterską na temat zachowań kibiców na stadionie (*Agresywne zachowania kibiców na stadionie. Psychosocjologiczna analiza zjawiska*). Temat wciąż aktualny, a dla mnie swego rodzaju poligon doświadczalny. Kibic sportowy podlega emocjom grupy, o czym już pod koniec XIX w. pisał Gustave Le Bone (*Psychologia tłumy*) oraz na początku XX w. Gabriel Tarde (*Opinia i tłum*). Obaj podkreślali, że w tłumie następuje dyzindywidualizacja jednostki. Minęło ponad 100 lat, a spostrzeżenia obu naukowców są wciąż aktualne.

Co zatem widzisz na stadionie?

Ludzie przychodzą tu po rozrywkę, przychodzą rodzinnie. Cały dzień przygotowują się do tego wydarzenia: szykują koszulki w barwach Piasta, wyciągają z szaf i toreb szaliki, malują twarze. Żyją meczem, bo to ich święto. Jako socjolog i człowiek mediów lubię obserwować i bardzo interesują mnie wszelkiego rodzaju interakcje: pomiędzy kibicami, pomiędzy mną a kibicami. W tych pierwszych można się nawet doszukać historycznych analogii.

Bo przecież dawni wojowie przed walką także budowali strategię na odstraszenie czy zażegnanie do walki.

Często obserwuję twoje przygotowania do meczu. Szczególnie interesujące są te do międzynarodowych spotkań. Po trafisz zaskoczyć.

Do większości podchodzę spontanicznie, nie potrzebuję scenariusza, ale zdarzają się wyjątki. Tak było ze wspomnianym już Lechem Poznań. Ale zaskoczyłem też Górnika Zabrze, którego wierny kibic, Stanisław Sętowski, każdą udaną akcją lub gola swojej drużyny oznajmiał specjalnym dzwonkiem. Ściągnąłem ten dźwięk i na meczu z Górnikiem przy Okrzei, po голу Piasta, użyłem go. Na stadionie zapanała konsternacja. Podczas spotkań międzynarodowych zawsze staram się powiedzieć kilka słów w języku rywala. I do tego starannie się przygotowuję. Na przykład postanowiłem zmierzyć się z czeskim i wygłosić w tym języku kilka komunikatów podczas meczu Polska-Czechy. Skorzystałem z pomocy naszego byłego redakcyjnego kolegi Krzyska Surmy, a raczej jego żony, sławistki. Najpierw wysłałem jej informacje otrzymane z PZPN, czyli moją sekundową rozpiskę. Nauczyłem się tekstów fonetycznie i nawet parę razy przeczytałem je pani Beacie Surmie. Byłem dumny, bo pochwaliła mój akcent. Na meczu gładko „mówiłem” więc po czesku, a jeden z blogerów sportowych napisał o tym tak: „Co było na meczu ogromnym zaskoczeniem na plus? Spiker. Jest wiele przepisów ograniczających mu pole manewru. Spiker musi być bezstronny, nie może mówić, co chce, musi zwracać uwagę kibicom, przez co często zachowuje się jak syntezytor mowy. Bez emocji i bez życia. Tu było inaczej. Niby wszystko jak należy, ale facet rzeczywiście emocjonował się meczem, przeżywał, czytając składy zarażał entuzjazmem kibiców, a oprócz tego, a może i przede wszystkim biegle mówił po czesku. Potem okazało się, że to spiker Piasta Gliwice, najlepszy w polskiej lidze. Szczerze? Nie dziwi mnie to. Z chęcią wybiorę się do Gliwic żeby zobaczyć, jak tam prowadzi mecz”.

A jak było na meczu z Finlandią? Kto pomógł?

Ambasada. W tym przypadku już nie starałem się czytać czy wygłaszać komunikatów po fińsku, bo nie umiem. Ale mogłem przywitać kibiców i drużynę gości. Podobnie było ze szwedzkiem, kiedy Piast grał u siebie mecz pucharowy z IFK Göteborg. Wtedy pomógł mi Łukasz Zimnoch, były rzecznik prasowy Vattenfalla, teraz firmy Tauron. No i wreszcie mecz z BATE Borysów, mistrzem Białorusi. Wszyscy byli przekonani, że komunikaty przeczytam w języku rosyjskim, ale nie zrobiłem tego. Kuzyn mojej żony mieszka w Białymstoku, biegle włada białoruskim. Zadzwoiłem do niego i poprosiłem o wskazówki.

Czy masz jakieś swoje spikerskie talizmany?

Na pewno mikrofon. Ten najbardziej obdarty na stadionie jest mój, zawsze przez niego gadam. Staram się też ubierać w kolory niebiesko-czerwone. W torbie zawsze mam szalik i czapkę w barwach mojego ukochanego klubu.

fot. arch.





Andrzej Sługocki – tuż po zdobyciu mistrzostwa Polski przez Piasta Gliwice



XIX-wieczna żeliwna prasa introligatorska



Zjazd Rycerski na zamku w Będzinie (2018)

Papier ręcznie czerpany? Dziś, gdy wszystko produkuje się maszynowo?

Nie wszystko. Nawet gdyby możliwa była maszynowa podróbka papieru ręcznie czerpanego, ważna jest świadomość, że oferujemy coś naprawdę oryginalnego i cennego. Stąd też jeździmy na pokazy, warsztaty i różne imprezy, by ludzie nie tylko uwierzyli w autentyczność naszego rzemiosła, ale sami spróbowali wytworzyć własną kartkę papieru. Dzieci bardzo to lubią, a wiedza pozostaje na całe życie.

Jak Pan trafił do tak niszowego zawodu?

Przede wszystkim – chciałem żyć z pracy własnych rąk i nie na etacie. Pasjonowały mnie dawne rzemiosła, zanikające zawody. W roku 1995 zająłem się produkcją świec z naturalnego wosku pszczelego, ale rynek tego nie zaakceptował. Pojawiły się markety, oferujące tanie świeceki zapachowe i z tym nie dało się konkurować w Polsce, a o eksporcie jeszcze wtedy tak drobne firmy nawet nie marzyły.

Przechodzi więc Pan od świec do papieru.

– Pierwsza własna firma rzadko okazuje się sukcesem. Pieniądze się traci, ale zdobywa się doświadczenie. Dwie rzeczy postanowiłem kontynuować: oryginalność i rzemiosło. Rozglądałem się za inną dziedziną. Trudno dziś powiedzieć, co w roku 1996 przechyliło szalę na rzecz czerpalni papieru. Zamiłowanie do antyku? Na pewno znaczenie miał drobny z pozoru fakt, że produkcja świeczek mogła wprawdzie trwać cały rok, ale przychody ze sprzedaży pojawiały się sezonowo i niezbyt pewnie. Szukałem czegoś bardziej stabilnego, a jednocześnie wyrafinowanego i jakoś zgodnego z moim... imieniem.

I wtedy trafił Pan na ślad... Gombrowicza?

O tym, że moja rodzina miała przed wojną jakiś związek z produkcją papieru, dowiedziałem się dopiero w roku 1997, gdy moja czerpalnia już powoli zaczynała prosperować. Dowiedziałem się wtedy, że kilka osób z mojej rodziny pracowało w wytwórni tektury „Witulini”, założonej w roku 1914 przez rodzinę Gombrowiczów (tak, tych od Witolda stąd nazwa „Witulini”). Kto pamięta brązowe kartoniki drukowane na stacjach w małych prasach drukarskich, ten dotykał wyrobów fabryki tektury Gombrowiczów! Brat mojej babci, Jan Jeżewski, pracował przy holendrze (taka maszyna papiernicza). Także bracia mojego ojca, Mirosław, Stanisław i Michał Pietrzykowie, pracowali w Witulinie już po II wojnie. To nadal była bardzo solidna fabryka. Produkowała m.in. tekturę na bilety kolejowe. Tak więc nieświadomie powróciłem na szlaki przetarte przez moich przodków. Mój ojciec, Marek Pietrzyk, wyjechał na Śląsk, mając 14 lat. Chciał zmienić swoją przyszłość i został górnikiem.

Co za niespodziewane gombrowiczana! Pańskie imię przestaje dziwić.

Urodziłem się w roku 1972. Gdy wchodziłem w dorosłość, już byłem zainteresowany szlachetnym rzemiosłem. Produkcja maszynowa mi nie imponowała. Podjąłem więc studia w Wyższej Szkole Rzemiosł Artystycznych we Wrocławiu. To pozwoliło mi rozszerzyć horyzonty rzemiosła i poznać ciekawych ludzi z różnych branż.

Na zdjęciach widzę jakieś zabytkowe urządzenia...



Od papieru zaczęły się media

z FLAWIUSZEM PIETRZYKIEM,
właścicielem Czerpalni Papieru ART–PAPIER, rozmawia
ANDRZEJ JARCZEWSKI

Korzystam ze starych maszyn żeliwnych, takich „z duszą”. Są to między innymi prasy firmy Karl Krause, pamiętające przełom XIX i XX wieku – maszyny doskonale zaprojektowane i nadające pracy radość i profesjonalizm. Ostatnio, ostrząc nóż do gilotyny z roku 1882, dowiedziałem się że jest on oryginalnym, pierwszym nożem w tej maszynie.

Widzę też rycerzy i damy w strojach z różnych epok...

Dużą popularność w ostatnich latach zdobyły rekonstrukcje historyczne, zwłaszcza w rocznice ważniejszych bitew, ślubów czy koronacji królów. Bywam na takich spotkaniach, organizowanych przez bractwa rycerskie. Atmosfera jak sprzed wieków. Odbывают się rekonstrukcje zmagañ wojennych, a także pojedynki według rycerskich kodeksów. Towarzyszą temu kiermasze, gdzie swoimi wyrobami szczycą się rekonstruktorzy dawnych rzemiosł. Na piknikach jestem rzemieślnikiem prezentującym czerpanie papieru, odciskam pieczęci lakowe i zapowiadam warsztaty, które prowadzę w szkołach (pokazyedukacyjne.pl). Uczestnicy czerpią papier, piszą gęsiami piórami, odciskają lakowe pieczęci...

Czy ten lak jest prawdziwy?

Wszystko jest prawdziwe. Moje rzemiosło to nie tylko czerpanie papieru, ale również wytwarzanie laku do pieczęci, stempli pieczętnych i specjalnych tub metalowych, które obecnie – starym zwyczajem – znów zamurowuje się

w nowo wznoszonych budynkach lub remontowanych wieżach kościelnych i ratuszowych. To właśnie podczas działalności pokazowo-edukacyjnej poznałem moją żonę Katarzynę. Dzisiaj zamieszkujemy z dwójką dzieci w pięknej okolicy rachowickich lasów. Żona prowadzi swoją małą introligatornię, dopełniającą naszą działalność. Mimo że nasze rzemiosło kojarzone jest z dawnymi czasami, na specjalne życzenie wykonujemy również współczesne dyplomy, ozdobne podziękowania i reprodukcje na papierze ręcznie czerpanym. Nowością są papiery zawierające... nasiona kwiatów, kielkujące po podlaniu wodą.

Chciałoby się zaprezentować więcej zdjęć. Na jednym z nich ma Pan na sobie mundur.

To jest polski mundur legionowy. W tym mundurze prowadzę pokazy drukarni polowej, drukuję ulotki przeciw bolszewikom! Uczestniczyłem m.in. w rekonstrukcji bitwy pod Ossowem, a po bitwie uruchamiałem drukarnię. Przy innych okazjach wykonuję reprodukcje starych druków i rycin. Tego się w sklepie nie kupi.

To jeszcze proszę powiedzieć, jak to było z tą paczką dla Wielkiego Mistrza.

Trzeba było dostarczyć pilnie partię papieru czerpanego na pole bitwy. Zaadresowaliśmy więc: „Ulrich von Jungingen, pola Grunwaldu, 14 lipca”. Kurier przyjął, paczka dotarła.



JAN MIODEK

Józefa Osfyra z narodu Ostrzodka

Od Pani Elżbiety Kowalskiej z Olesna Śląskiego otrzymałem niezwykły tekst z częściowo zachowanego żeliwnego pomnika, znajdującego się na zabytkowym cmentarzu przy tamtejszym kościele św. Anny: „Jezus mówi: Owce moje głosu mego słuchają, a ja żywot wieczny daję im i nie zginą na wieki. Tey owcy podobna żyła tu spoczywająca Józefa Osfyra z narodu Ostrzodka”. „Nigdzie więcej – ani w dokumentach, ani w inskrypcjach nagrobnych – nie spotkałam zapisu z *narodu*. Dziś mówimy *urodzona, z domu lub de domo*” – pisze Korespondentka. Ja też nie spotkałam! – dopowiem, traktuję go więc jak prawdziwą perłę historycznojęzykową.

Jeśli zaś po raz kolejny spojrzeć na ziemię śląską jak na obszar wyjątkowo nasycony leksykalno-gramatycznymi archaizmami, to bez wahania można powiedzieć, że przytoczone epitafium z Olesna jest tego potwierdzeniem. Oto rzeczownik *naród* – dziś „ogół mieszkańców pewnego terytorium mówiących jednym językiem, związanych wspólną przeszłością oraz kulturą, mających wspólne interesy polityczne i gospodarcze” (*naród polski, stare narody, historia narodu polskiego*), także – trochę już przestarzałe – „ludzie, ludność, lud, tłum” (*na targ zjechało dużo narodu*) – użyte tu zostało w pradawnym znaczeniu „ród, rodowe nazwisko”: „Józefa Osfyra z narodu Ostrzodka”, czyli „Józefa Osfyra z rodu, z nazwiska rodowego Ostrzodka”.

Słowniki staropolskie rejestrują te pierwotne znaczenia *narodu*: 1. „ród” („Zadnego nie masz w narodzie twym,

co by go zwano Jezus” Piotr Skarga 1536–1612), 2. „rodzaj” („Naród psów trojaki najdujemy” Piotr Krescenty: „Księgi o gospodarstwie”, Kraków 1549), 3. „rodzina” Mikołaj Rej 1505–1569, 4. „płeć” („Kaźde dziecko, które się urodzi w męski naród, zabili” Marcin Bielski 1495–1575; „Okolo dzieweczek powinny pilność mieć, gdyż jest to naród mdły” Mikołaj Rej), 5. „genealogia” („Opisanie genealogii albo narodu Pana Krystusowego” Grzegorz z Żarnowca ok. 1528 – po 1601).

Jezus z epitafium oleskiego mówi: „Żywot wieczny daję im”. Dziś powiedzielibyśmy „żywot wieczny daję im”. W dawnej polszczyźnie można także było *dawać komuś łacinę*, czyli „łajać, wymyślać” („Tyś mi dawał łacinę, aż mi się łeb kurzył” Mikołaj Rej), *dawać się* – „poddawać się” („Gdy się obłężeni dobrowolnie dawali, puścił ich” Marcin Bielski) oraz *dawać się winnym z czegoś* – „kajając się z czegoś, przyznawać się do czegoś” („Dawam się też winna z trzeciego grzechu” – Przewodnik do spowiedzi królowej Jadwigi z pocz. XVI w., Dawam się winien ze wszystkich grzechów moich” – Formuły kazań z XIV/XV w.). W ostatnich dwu przykładach mamy *dawam* – takie jak na nagrobku oleskim.

Warto przy okazji dopowiedzieć, że przed *dawcą* i *dawczynią* funkcjonowały w naszym języku formy *dawcz* oraz *dawczyzna*: „Dawacz, ten który co dawa” (Słownik Jana Mączyńskiego, Królewiec 1564), „Dawczyzna żywota” (Wespazjan Kochowski 1633–1700).

Wracajmy do tekstu epitafium.

Mamy w nim również zasługujące na uwagę wyrażenie *podobna owcy*. Współcześni użytkownicy polszczyzny powiedzieliby *podobna do owcy*, zastępując celownik *owcy* wyrażeniem przyimkowym z dopełniaczem *do owcy*. To przykład typowej dla polszczyzny ewolucji polegającej na zamienieniu bezpośrednich połączeń z przypadkami gramatycznymi na związki z wyrazistymi przyimkami: *podobny owcy* – dziś *podobny do owcy*, tak jak dawniej *modlić się Bogu, wierzyć Syna Bożego, gniewać się synowi, bojować chłopów, spowiadać się grzechów, płakać nędzę, zgrzeszyć przykazaniu, weselić się złemu, użalić się stworzenia, wyciągnąć mu rękę na powitanie*, a obecnie *modlić się do Boga, wierzyć w Syna Bożego, gniewać się na syna, bojować przeciw chłopom, spowiadać się z grzechów, płakać nad nędzą, zgrzeszyć przeciw przykazaniu, weselić się ze złego, użalić się nad stworzeniem, wyciągnąć do niego rękę na powitanie*.

I wreszcie nazwisko *Ostrzodka* – z jakże typowym śląskim *-strz-*, a nie *-śr-* (*Ośrodka, Ośródka*), do którego dołączyć można takie postacie gwarowe, jak *strzoda* „środa”, *strzódka* „śródka – miękisz chleba, środek” czy *strzybny* „srybrny – srebrny”: *We strzoda mómy zawsze próby choru. Te m(ł)ode to ani dzisiej niy wiedzóm, że nazwisko Strzoda łoznaczó środa. Zjodo ino strzódka, a skórki łostawio. Żofija miała strzybne zausznicze* („kolczyki”) – można przeczytać na str. 236 „Małego słownika gwary Górnego Śląska” z roku 2000 Bożeny Cząstki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowiec. ■



MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

O zakłamywaniu przeszłości i otchłaniach niepamięci

W naszym regionie na szczęście coraz częściej mówimy o konieczności przywrócenia godności wielu odrzuconym postaciom i faktom z przeszłości, które są dla nas – współczesnych żyjących coraz częściej w mirażach i niezrozumieniu terażniejszości – zapomniane. W efekcie „spoczywają” gdzieś w przestrzeni nieistotnej, zlekceważonej. Nie jest to tylko domena tylko naszego regionu.

To przecież proces uniwersalny. Wiesław Myśliwski dowodzi nadto, że „*Pamięć czy niepamięć to (...) różne odmiany tej samej udręki*”. Są bowiem udręki zarówno w wymiarze każdej jednostki, jak i w wymiarze społecznym.

Skoncentrujmy się tylko na dramacie „piekła zapomnienia”. Czyli przestrzeni do której nieświadomie – lub przeciwnie – świadomie, spychane są konkretne wydarzenia, wartości, czy postaci.

Te trzy – jak powiada Umberto Eco – „podmioty” pozostają w układzie komplementarnym, dochodzi do ich intensywnego stygmatyzowania, którego dokonują dyżurni ideolodzy. To, co wartościowe chcą zniszczyć i brutalnie skazać na społeczne zapomnienie. Już samo mówienie o nich staje się niebezpieczne. Tak było w tragicznym wieku poprzednim, w realiach i nazizmu, i komunizmu. Ale tak było także w okresach wcześniejszych, a przykładów możemy z historii wydobyć sporo. A przecież współczesna doba globalizmu – i owej „płynnej ponowoczesności”, chorobliwego niszczenia autorytetów kosztem promocji modnych celebrytów lub promocji fałszywych proroków – ukazuje ogrom tego rodzaju zniszczenia.

Dziś z fenomenem czasu posługujemy się jak – na co wskazuje niemiecki socjolog – Hartmut Rosa – „z pilotem do komputera”. Dlatego, że przy-

spieszenie życia staje się dla człowieka „plajtą temporalną”. Tak było zawsze. A używając pojęcia „anomia” użytego przez Josepha Glanvilla w XVII wieku dochodzimy do problemu zachwiania panującego systemu wartości znanego z analiz Emila Durheima.

A jak było i jest z problemem otchłani zapomnienia w górnośląskim regionie? Na pewno trzeba rozpocząć trudną pracę, aby jej nie było.

W tej przestrzeni to, co własne, co zawarte w pamięci zbiorowej, było w różnych okresach brutalnie lub ewentualnie machiawelistycznie niszczone przez różne siły. Ten proces nabrał swojego nowego znaczenia wraz z rodzącą się tu świadomością ponadregionalną.

W czasach cesarstwa niemieckiego już Kulturkampf miał wywołać określone skutki, ale zamysł germanizatorów nie przyniósł oczekiwanego przez nich efektu. A kiedy owa, jak powiadał Stanisław Staszic, „*najstarsza oderwana od Korony*” częściowo została włączona do Polski, też pojawiło się wiele nowych problemów. Przykładem choćby stosunek sanacji do postaci Wojciecha Korfanteo – trybuna lokalnego ludu, dyktatora III powstania, tego, który ziścił przepowiednie „śląskiego Wernyhory”, Wawrzyńca Hajdy głoszącego, iż „*Polska wespół ze Śląskiem zmartwychwstanie*”.

Gdzie więc mamy do dyspozycji prace ukazujące skomplikowaną sytuację tożsamościową, kulturową, etniczną tego terenu.

Pojawia się w efekcie straszliwa pusta otchłań, gdzie panoszą się stereotypy i uproszczenia. Prawdziwy dramat nastąpił w czasach II wojny światowej, kiedy to włączenie tej ziemi do III Rzeszy, spowodowało, że młodzież została przymusowo wcielana do niemieckich sił zbrojnych. Było także

wiele innych problemów tego okresu. I one tkwią w mrokach zapomnienia.

Dopiero po transformacji ustrojowej sytuacja zaczęła ulegać zmianie. Chwała w tym zakresie wydawnictwu „Śląsk” za inicjatywę wydania serii książek Alojzego Lysko „*Duchy wojny*” o dramacie młodych Górnoślązaków w latach II wojny światowej. A po 1945 roku kłamstwo i brak prawdy o śląskiej rzeczywistości pojawiły się z całą mocą. Symptodem „nowych czasów” była „tragedia górnośląska”. Nie tylko „obóz w Zgodzie”, ale i „wózeki górników”, skomplikowana polityka wobec tego regionu, pomijany problem ateizacji, wreszcie specyficzne zabiegi wokół owych zadekretowanych – „przodujących oddziałów klasy robotniczej Śląska i Zagłębia”. Do tego wszystkiego należy dodać umiejętnie podsycanie antagonizmów regionalnych, ciągle spychanie ludności rodzimej na pozycje społecznie peryferyjne, etc.

O tym Górnoślązacy wiedzieli, lecz nigdy o tym głośno nie mówili, bo to były tematy objęte „socjalistycznym tabu”.

W efekcie w realiach społecznych narastało poczucie niesprawiedliwości, czyli „*śląska krzywda*”. To wszystko sprawiło, że wiele wydarzeń, wartości i sylwetek znalazło się w piekle zapomnienia, ideologia zastąpiła prawdę. Dotyczy to też wielu problemów i zjawisk po 1989 roku.

Warto przeciwstawić się skutkom polityki kłamstwa, przywrócić godność postaciom, wartościom, wydarzeniom tej ziemi. Nadzieja tkwi też w myśli etnologa, Lecha Mroza, iż „*Niepamięć nie jest zapomnieniem*”. Ma też rację dr Andrzej Sznajder pisząc na łamach „Śląska”, że „*wciąż*” zbyt mało wiemy o naszej ziemi i jej ludziach. ■

Ustrońska „Książeczka o sadach i owocu”

JAN MALICKI

Było to dla mnie najdziwniejsze spotkanie z dawną książką i miało nieoczekiwany, zaskakujący przebieg. Jest rok 1976. Słoneczny maj w Milanówku. Otwarte okno w pokoju, przez które wchodziła ogromna kwitnąca gałąź jabłoni. Nagle za sobą słyszę głos gospodarza: – Zna Pan tę książeczkę? Biorę do ręki; czytam: „*Książeczka o sadach i owocu względem nabywania, wychowania z pożytkiem: z baczeniem osobliwym na położenie klimatu Szląskiego*”. Autor: Karol Kotschy. Rok wydania 1844. **Rozdział I, Wartość owocu.** „*Między dobrami, ktoremi Bóg ubogacił tą ziemię naszą, owoc pewnie liczymy w poczet prawdziwie znacznych i zacnych (...) Spojrzysz wokoło, czybyś raczej przebywał, gdzie próżno, pusto; czybyc sie lepiej podobało mieszkanie, ktore owocem jako wieńcem ślicznym obilonione? Alboś widział na tej ziemi naszej co wdzięczniejszego na wejrzeniu, jako jest jabłoń w kwiecie, lub owocowe drzewo, gdy się na nim czasem jesiennym na tysiące liczarumieniło? Kraj tym piękniejszy, czym obficie sadem wystrojony*”.

Samej książeczki nie znałem, aleostać jej autora już tak. Ba, w swoich zbiorach

mam nawet jego druczek kupiony w Ustroniu. I zacząłem opowiadać, że Karol Kotschy urodził się w trudnym dla Europy roku; gdy we Francji szalała wielka rewolucja, która zmiotła władzę królewską, a w jego rodzinnym mieście Cieszynie, w kilka miesięcy po przyjeździe na świat, wybuchnie bodaj czy nie największy w jego dziejach pożar. Przypadek sprawił, że w tymże roku przyszedł na świat wielki pruski ogrodnik i architekt krajobrazu Peter Joseph Lenne, kojarzony głównie z parkiem pałacowym Sanssouci w Poczdamie. Zresztą przełom XVIII i XIX wieku stanie się czasem niezwykle intensywnych poczynań porządkujących przestrzeń otaczającą rezydencje i zwykle miejsca zamieszkania ludzi. Nie dziwi więc to, iż w roku 1805 ukaże się we Wrocławiu dzieło Izabelli Czartoryskiej „*Myśli różne o sposobie zakładania ogrodów*”, zresztą miłośniczki ogrodów angielskich. Porządkowanie przestrzeni nie było nowością, wszak czyniono to przecież zawsze.

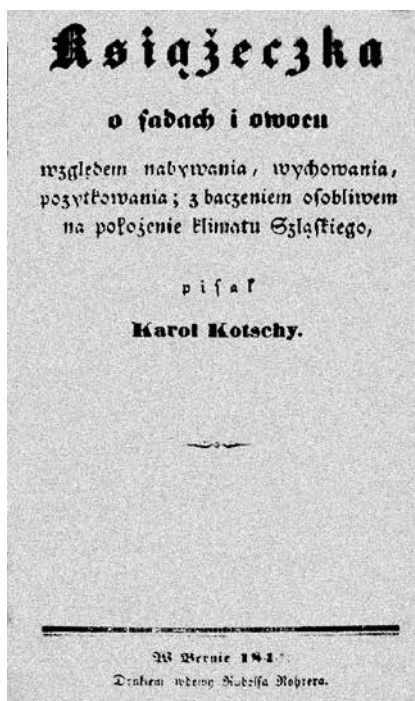
W swojej opowieści przypominałem też, iż ten wybitny pastor luterański, proboszcz w Ustroniu i w Goleszowie, wybudował kościół, poświęcony 25 lipca 1838 roku, nową szkołę i słynny ogród. Był – jak przypominał cztery lata temu Michał Pilch, wieloletni ustroński proboszcz, cytując „*Gwiazdkę Cieszyńską*” – „jednym z najznakomitszych w uczo-nym świecie mężów naszej krainy”. Tylko bowiem w roku 1833 opublikuje, i „*Katechizm doktora Marcina Luthe-ra*”, i „*Słowa nabożne*”, i „*Gorzkie kapki ale zdrowe*, kazanie na półwiekowy jubileusz zboru w Wiśle” – jedno z kazań skierowane przeciwko bodaj największej z plag, jakie gnębiły cały Śląsk, a sądzę, że nie tylko. Duchowieństwo i katolickie, i ewangelickie, bardzo ostro je zwalczało, organizując wspólnoty trzeźwości we wszystkich częściach Śląska. Tak też się stało w Ustroniu.

Jednak bezsprzecznie ważne miejsce w dorobku pisarskim ks. Kotsche-go odegrała „*Książeczka o sadach*” wydana po 11 latach od poprzednich publikacjach. Tematyka oczywiście nie zaskakuje; w owym czasie bowiem ukazuje się szereg podręczników popularyzujących wiedzę praktyczną. Również w ślą-

skich czasopismach, chociażby w naszym najstarszym w języku polskim, pszczyńskim „*Tygodniku Polskim dla Włościan*”, wydawanym przez Krystiana Schemela. Znalazły się tam teksty takie jak: „*O ogrodach wiejskich*”, „*Opis kwiatów, ziół i roślin...*”, „*Użytek jałowca*”, czy też „*Klimat i właściwości fizyczne różnych krajów*” lub „*O zakładaniu ogrodzeń trwałych*”. Były też artykuły o tworzeniu pszczelich pasiek Jana Dzierżona.

Przy tej okazji warto przypomnieć, iż w dawnych czasach wyraźnie różniano ogród i sad. „*Ogrodem albo zagrodą nazywano miejsce ogrodzone, gdzie zasiewano warzywa; sadem – część ogrodu obsadzoną drzewami owocowymi*”. Takie też różniczenie występuje u autora „*Książeczki*”. Dalej następuje w niej szereg rad dla tych, którzy chcą uprawiać sad. „*Jabłonki kochają się najbardziej w gruncie ślimnatym owszem, marglistym, trochę wilgotnym – ale i w ligawicy mętnej, w gruncie gliniasto piaszczystym dobrze tyją. Gruszki zaś podłogi jak najgłębiej żądają, lubiąc grunt nie wilgotny, wapniasty, sypki*”. Są też rady o kolejności, etapach sadzenia oraz jak się ratować przed „*napadami chorobnymi*”. W sumie mieszkańcy Ustronia otrzymali bardzo ciekawy, użyteczny i zgrabnie napisany podręcznik. Nie ma w nim warstwy historycznej, o św. Jadwidzie Śląskiej i jej „*wybornych jabłkach rozdawanych po szpitalach*”, królu Kazimierzowi Wielkiemu, co „*nadużywał owoców*”, czy o biskupie Wawrzyńcu z Wrocławia, który ustawnie wachał kwiaty, aż zmarł. Inny świat, inna kultura. Na koniec zapamiętajmy tekst dedykacji: „*Nie mów,*

*że już masz
wyprawiony
grunt twój,
póki jeszcze
na nim jest
jedno miej-
sce próż-
ne, gdzieby
mogło sta-
nąć drze-
wo owoco-
we*”. Sadźmy
więc drze-
wa. ■



Stanisław Wachowiak, *Czasy, które przeżyłem. Wspomnienia z lat 1890-1939*

MARIAN SWORZEŃ

Bywa, że po latach wracamy do tych samych książek. Wspomnienia Wachowiaka przeczytałem krótko po wydaniu. Zapamiętałem z nich dwa epizody. Bohaterem pierwszego był Tomasz Mann – podczas pobytu w Polsce w latach dwudziestych, na powitalnym bankiecie w PEN Clubie spytał: „A co się dzieje z Przybyszewskim?” („despekt był duży”, bowiem niedgdyśszą sławę bohemy organizatorzy usadzili na końcu sali). Drugi wydarzył się we Francji, jeszcze przez wojnę, podczas urlopu autora – przygodny rozmowca zapoznał go z artykułem, wedle którego armia nie będzie walczyć z Niemcami, gdyż francuska młodzież jest uczona przez nauczycieli należących do partii komunistycznej. Wachowiak, kawaler Legii Honorowej, poczuł się wtedy zawstydzony, ale zamknął opis konkluzją, że warto nieraz słuchać pesymistów. Tyle zostało z tamtych odczytań. Po ponownej lekturze książki pomyślałem, że od niej zacznę cykl poświęcony dzielnym, dużym i małym, w których Śląsk pojawia się nieoczekiwanie, nagle, bez zapowiedzi. . .

Stanisław Wachowiak urodził się w 1890 r. w wielkopolskich Smolicach, rodzice byli robotnikami rolnymi. W 1897 r. cała rodzina wyciągnęła najpierw do Hamburga, gdzie ojciec pracował w porcie, zaś potem, na długie lata, do Westfalii, gdzie został górnikiem. Stanisław ukończył gimnazjum w Berlinie, swoje studia prawnicze i ekonomiczne uwińczył doktoratem w Monachium w 1915 r. Po powrocie do Wielkopolski, podjął pracę w banku spółdzielczym w Kościanie. W okresie powstania wielkopolskiego stał na czele rady miejskiej w Inowrocławiu. Zwiąawszy się z Narodowym Stronnictwem Robotników (późniejszą Narodową Partią Robotniczą), zdobył mandat sejmowy. Był też sekretarzem stanu w ministerstwie ziem b. zaboru pruskiego. Uczestniczył w uchwalaniu konstytucji marcowej, a po kolejnych wyborach został przewodniczącym sejmowego klubu swej partii. Zdrucgotany zabójstwem prezydenta Narutowicza, myślał o wycofaniu się z polityki. Negocjował z Niemcami należne Polsce kwoty z tytułu ubezpieczeń społecznych i brał udział w rozmowach o złagodzeniu sytuacji polskich robotników w Zagłębiu Ruhry, okupowanym przez Francuzów. Doskonale wywiązanie się z tych zadań przysporzyło mu uznanie – został wojewodą pomorskim. Sprawował urząd przez dwa lata, do jesieni 1926 r. (dymisja nie wynikała z opozycji wobec zamachu Piłsudskiego, lecz z działań koteryjnych) – od tego czasu rozstał się z czynną polityką. Nowym zadaniem, z zachęty władz Poznania, była organizacja Powszechnej Wystawy Krajowej, gigantycznego przedsięwzięcia, którego finał – otwarcie w obecności najwyższych władz Rzeczypospolitej w maju 1929 r. – umocnił jego pozycję z sferach gospodarczych. Niekojarzony bezpośrednio z sanacją,

utrzymywał dobre stosunki z ważnymi uczestnikami sceny politycznej, od ministra Kwiatkowskiego, odpowiedzialnego za sprawy ekonomiczne, po generała Sikorskiego, odsuniętego wówczas od wpływów. Przygotował polską wystawę gospodarczą w Belgii, szefował Naczelnej Organizacji Przemysłu i Rolnictwa Polski Zachodniej. Spośród wielu firm oferujących mu stanowiska, wybrał katowicki „Robur”, w którym pracował do wybuchu wojny. Po opuszczeniu Katowic, okres okupacji przeżył w Warszawie jako prezes Banku Handlowego i wiceprezes największej polskiej instytucji pomocowej, Rady Głównej Opiekuńczej. Ten dramatyczny okres przedstawił w szczegółowej relacji – każdy z nas, jeśli zechce, ma do niej dostęp poprzez www.kulturaparyska.com („Zeszyty Historyczne” 31/1975 i 77/1986). Po wojnie powrócił do bankowości, ale w lutym 1946 r., wobec wiadomości o niemal pewnym aresztowaniu przez UB, opuścił kraj wraz z żoną i dziećmi. Jego emigracyjna droga to Anglia, po niej Irlandia, zaś od 1952 r. – Brazylia. Osiedlił się w Sao Paulo, uczestniczył w życiu miejscowej Polonii, współpracował z „Wolną Europą”, pisał artykuły i wspomnienia. Zmarł w 1972 r.

Rodzina o Śląsku nie darmo ma tytuł „Nowa stabilizacja” – autor zaznacza, że zalicza te lata do najlepszych w życiu. Rozpoczyna się w 1931 r., gdy „Robur” przekształcał się ze spółki z o.o. w spółkę komandytową. Koncern, z siedzibą przy ulicy Powstańców 49, miał swój węgiel, koksownie i brykietownie, także własny transport morski, był wielką firmą obracającą 1/3 produkcji śląskiego węgla. Wachowiak należał do władz wykonawczych (był dyrektorem naczelnym), zasiadał też w radach nadzorczych filialnych firm – jego sytuacja materialna była doskonała, dzierżawił od Donner-smarczków zameczek myśliwski w Bibieli.

Autor nie tai trudności związanych z zarządzaniem, wynikających najczęściej z konwencji geneńskiej, wykluczającej szybko przejmowanie firm o kapitale niemieckim. Opowiada się za polityką polegającą na stopniowym wykupywaniu niemieckich udziałów i obsadzaniu stanowisk przez polskich członków zarządu – przykładem był „Robur”, który w 1939 r. był już w całości w rękach polskich. Jest przy tym świadomy, że stanowisko wojewody Grazińskiego było w tej kwestii odmienne. Ktoś, kto bada styk polityki i biznesu, znajdzie tu wiele sytuacji o rozmaitych zakończeniach. Wachowiak miał swoich wrogów, miał i przyjaciół – o pierwszych mówi raczej z rezerwą, wobec drugich odrzuca powściągliwość. Wspominając kontakty z marszałkiem Konstantym Wolnym pisze, że „rozmowy z nim dopomogły do zrozumienia, że lud śląski ze skarbami tej ziemi był jednak największym i najcenniejszym klejnotem w koronie narodu”, i dodaje: „Od tych ludzi nauczyłem się więcej niż gdziekolwiek w Pol-

sce – umiaru politycznego”. Pisząc o Grazińskim, nazywa go „niepospolitym człowiekiem”, przyznając zarazem, że trudno mu o obiektywizm z uwagi na zupełną odmienną poglądów. Wybieram cztery fragmenty. Pierwszy: „Z Grazińskim trudno się było zaprzyjaźnić, ba, nawet nawijać jakieś znośne stosunki”. Drugi: „Co za splot rzeczy. Wojewoda ziemi najbardziej w Polsce uprzemysłowionej nie znosił nikogo, kto miał z przemysłem coś do czynienia”. Trzeci (po wzmiance, że wojewoda nie wziął udziału w pogrzebie Korfańtego i wybrał się na wycieczkę z góry): „To wywołało oburzenie i zgorzniecie u wszystkich. Był to pogrzeb jeden z największych, jaki w życiu pamiętam! Był tam cały Śląsk, przyjaciele i wrogowie!”. Czwarty: „Ileż grzechów można mu wybaczyć za to, że stworzył Muzeum Śląskie!”. Kodą niech będą słowa, które Wachowiak usłyszał od biskupa Adamskiego: „Graziński na Śląsku, mimo swego talentu, nie jest człowiekiem właściwym na właściwym miejscu. Nie zna on Niemców, jak my ich znamy, stąd jego metody są fałszywe i katastrofalne”.

Dalece charakterystyczna jest relacja z rozmowy, odbytej z prezesem sądu apelacyjnego, Agenorem Frenoldem. Panowie znali się jeszcze sprzed lat, o spotkanie w warunkach dyskrecji poprosił Frenold, doszło do niej w Bibieli. Ze słów prezesa wynikało, że władze wojewódzkie coraz to próbują ingerować w obsadę składów sędziowskich w sprawach natury politycznej, także przeciw Niemcom. Wachowiak sugerował prezesowi interwencję w ministerstwie, ale widząc lzy w oczach sędziego, zrozumiał, że na nic jego porada.

Osobne miejsce zajmują kontakty z przedstawicielami duchowieństwa. Najwyższa marka została przyznana biskupowi Stanisławowi Adamskiemu, w którego domu przy ul. Francuskiej Wachowiak często bywał. Odwzajemniał się zaproszeniami hierarchy do Bibieli – wtedy biskupowi towarzyszył jego sekretarz, ks. Bolesław Kominiek, wielka postać powojennego Kościoła.

31 sierpnia 1939 r. Wachowiak przyjechał na krótko do Katowic z Warszawy, gdyż nazajutrz miał być znowu w stolicy dla kontynuowania starań o kredyt dla firmy. Na wieść o wybuchu wojny, stanął się w kancelarii Konstantego Wolnego, podpisując w jego obecności pełnomocnictwa dla urzędników. Rozstajemy się z nim 1 września 1939 r., gdy po południu opuszcza autem Katowice. Teraz jednak, gdy piszę te słowa, wraca tu z powrotem. ■

**Stanisław Wachowiak, *Czasy, które przeżyłem. Wspomnienia z lat 1890-1939*, wstęp Andrzeja Garlickiego, Czytelnik, Warszawa 1983.
O Śląsku: str. 221, 229-244, 263-273, 276-279.**

Moja przepastna lub spolegliwa biblioteka

JERZY PASZEK

Można dyskutować, co na początku XXI stulecia, a pod koniec jego drugiej dekady, bywa jeszcze określane jako „przepastna” księżnica. Rekord Henryka Markiewicza (ok. 50000 tomów!) jest trudny do pobicia, a księgozbiór znawcy Oświecenia i edytora dzieł Norwida, Juliusza Wiktora Gomulickiego, wynoszący nieco ponad 10000 woluminów, też przemawia do wyobraźni ludzi, mających jako najważniejsze źródło, dostarczające teksty literackie, odpowiednie domeny Internetu, w tym linki do „Polony”. Bez skrupulatnego podliczania, podejrzewam, iż w trzech pokojach (w tym jedna słuźbówka) mam ok. 5000 tomów i numerów czasopism („Pamiętnik Literacki”, „Rocznik Literacki” z 4 toмами przedwojennymi, „Teksty”, „Teksty Drugie”, „Stylistyka”, „Literatura na Świecie”), z czego woluminy Polskiego słownika biograficznego (komplet tomów na literę „P”!) zajmują półkę 3-metrową! Tak więc epitet „przepastna” należy brać w cudzysłów, bo polonista powinien mieć kilka tysięcy libelli pod ręką!

Inna sprawa wiąże się z przymiotnikiem „spolegliwa” (sens: niezawodna, użyteczna). Chcę przez to powiedzieć, iż miałem szczęście, że pisując o dwu powieściach (chodzi o Popioły Stefana Żeromskiego i Próchno Wacława Berenta), skompletowałem sobie w mojej bibliotece wszystkie istotne dla tekstologii świadectwa pracy obu autorów nad tymi utworami. Są to etapy rękopisów, pierwodruku czasopiśmiennego, pierwszego wydania książkowego, innych edycji za życia tych pisarzy, wydań pośmiertnych, które wносиły coś nowego do badań nad brzmieniem dzieł z roku 1903. Potem już mogłem przygotować wydanie krytyczne powieści napoleońskiej (w ramach Pism zebranych Żeromskiego pod redakcją Zbigniewa Golińskiego są to tutaj numery 9–11, Warszawa 1988) oraz popularnonaukowe (w serii „Biblioteka Narodowa”, numer 289, Wrocław 1996), a także dwie edycje w tejże „Bibliotece Narodowej” powieści o cyganerii artystycznej przełomu XIX i XX wieku (numer 234, Wrocław 1979, 1998).

Zacznę od powieści Żeromskiego, choć – jak wynika z poprzedniego akapitu – najpierw udało mi się opublikować prozę Berenta. Bo też za najważniejszy skarb mych zbiorów uznaję maszynopis, sporządzony przez prof. Golińskiego, brulionów Popio-

łów, które miały się ukazać w planowanej przed rokiem 1980 serii „Bruliony i notatki” w ramach przygotowywanych wówczas początkowych tomów Pism zebranych (nb. pierwsze ukazały się Opowiadania w oprac. Zdzisława Jerzego Adamczyka, Warszawa 1981; na końcu tomu drugiego – „Rozdziobią nas kruki, wrony”). Utwory powieściowe – z roku 1983 widnieje właśnie informacja o dziale „Suplementy”, a w nim o serii „Bruliony i notatki”). Goliński manuskrypt prawie całego tomu II i III, a także końcówki tomu I (od rozdz. 11 do 17) przygotował do druku w taki sposób, iż do ustalonej wersji ostatecznej tekstu rękopisu Żeromskiego dodawał warianty pierwotnego zapisu pomysłów autorskich, czyli tak, jak robiono w całej edycji krytycznej. Opowiadam tu więc o tym, że w moich zbiorach (zamyślałam rzecz przekazać Bibliotece im. Bolesława Lubosza w Tarnowskich Górach) jest **jeden z trzech** zachowanych dokumentów (oryginalny rękopis w Bibliotece Narodowej w Warszawie, maszynopisy Golińskiego w Kielcach i u mnie) pracy Żeromskiego nad jego trójtomową powieścią historyczną. Dodam, że wspomniany maszynopis prof. Golińskiego wyzyskałem w książce pt. *Tekst i styl „Popiołów”* (Wrocław 1992).

Powieść napoleońska była najpierw opublikowana w „Tygodniku Ilustrowanym” w latach 1902–1903. Posiadam fotokopie stronic pisma, zawierających odcińki tego utworu (dostałem je z wydawnictwa „Czytelnik”). Jeszcze w roku 1902 – dla prenumeratorów – firma Gebethnera i Wolffa wydała „księgę pierwszą” Popiołów (mam fotokopie). Nie mam tylko niemieckiej, datowanej na rok 1903, edycji powieści (było to tzw. wydanie okładowe trzech tomów utworu – identyczne z pierwszym polskim nakładem, datowanym na rok 1904; Julian Marchlewski chciał w ten sposób bronić praw autorskich Żeromskiego w Cesarstwie Niemieckim). Pracowałem w latach 1981–1987 na tomach pierwszego wydania (Warszawa–Kraków 1904), wypożyczonych z Biblioteki IBL PAN w Warszawie. W rezultacie moich dociekań tekstologicznych okazało się, że tekst powieści napoleońskiej należy opierać na pierwodruku tomów I i II z roku 1904 oraz na tekście tomu III z roku 1906 (zmiany w carskiej cenzurze

po rewolucji 1905 roku!). To drugie wydanie Popiołów mam we własnej bibliotece, tak samo jak dwa nakłady trylogii sporządzone przez firmę Mortkowicza (Warszawa–Kraków 1919; 1928). Mam również dwie edycje oprac. przez Stanisława Pigońnia (Pisma, t. 9–11, Warszawa 1948; Dzieła, t. 4–6 serii „Powieści”, Warszawa 1956).

Jako wieloletniemu czytelnikowi i edytorowi Żeromskiego (ponad 60 lat, licząc od czasu pracy seminaryjnej z lat 1958–1959!) nie udało mi się zdobyć ani jednego fragmentu rękopisów badanego autora! Mam za to – dzięki wymianie książkowej z prof. Tadeuszem Kłakiem – pierwodruk dramatu o Sułkowskim (Kraków–Warszawa–Lwów 1910) z inicjałami pisarza (S. Z. z kreszczką na środku; nr egz. 821 też wpisany ręką autora) na odwrotnej stronie portretu adiutanta Napoleona, namalowanego przez Kazimierza Młodzianowskiego; portret i inicjały wprowadzono jako zabezpieczenie przed pirackimi powiększeniami nakładu przez nieuczciwych wydawców. Mam też jeszcze większy chyba rarytas: moskiewską edycję z roku 1954 pt. „Izbrannyje proizwiedienija” ze wstępem po rosyjsku; w tych Utworach wybranych (taki jest tytuł na okładce) – opowiadaniach, dramacie „Grzech” i „Promieniu” – po polsku jest tekst Żeromskiego, a przypisy, dotyczące realiów, są częściowo po rosyjsku! Za złotówkę kupiłem w tarnogórskiej Bibliotece drugie wydanie „Wiatru od morza” z roku 1922 (pierwsze było z tegoż roku!). Dzięki temu (i fotokopii pierwszego nakładu owego dzieła) mogłem wysledzić ponad 100 błędów nieszczęsnej edycji krytycznej Wiatru od morza, sponsorowanej, ale niedopilnowanej przez pracowników IBL PAN (Warszawa 2012).

Posiadam też dwa egz. pierwszego wydania „Snobizmu i postępu” (Warszawa–Kraków 1923) i pierwszą oficjalną edycję „O Adamie Żeromskim wspomnienia” (Warszawa–Kraków 1926), ofiarowaną mi przez Stefana Zabierowskiego z biblioteki jego ojca. Aby pisać poważnie o języku trylogii historycznej Żeromskiego musiałem zakupić, oczywiście, „Słownik języka polskiego” Samuela Bogumiła Lindego. Udało mi się w 1966 roku w bytomskim antykwariacie nabyć potężny gabarytowo 6-tomowy reprint (Warszawa 1951) za sumę równą ówczesnej pensji nauczy-

cielskiej; jest to pewnie najdroższa pozycja w moim księgozbiore (Słownik języka polskiego pod redakcją Witolda Doroszewskiego, choć ma 11 tomów, na byłem od prof. Marka Piechoty za cenę o połowę mniejszą! Było to w roku 2000, gdy uzbrojeni w komputery lektorzy mieli „Doroszewskiego” na jednej płycie, ale ja wolę staroświecko czytać dykcjonarze na papierze, by móc na marginesach wpisywać swoje glosy!). Nigdy nie żałowałem zakupu tych cennych pomocy leksykograficznych w pracy badacza stylu (a ponadto skrablisty, autora słowniczka M-szał słówek. Piątki, czyli 24000 słów pięcioliterowych z przedłużeniami <i>i bez nich</i>, tudzież 4000 haseł słownika trudniejszych wyrazów, Katowice 2005). Wystarczy dodać, że mój debiut był wynikiem rozczytywania się w Lindem (Funkcja archaizacyjna metaforyki „Popiołów”. Konferencja naukowa poświęcona prozie polskiej XX wieku. Toruń 1968, ss. 16), a praca doktorska też dotyczyła historii trylogii Żeromskiego.

Kwestie edytorskie dotyczące „Próchna” potoczyły się w inny sposób. Najpierw wydałem w serii „Biblioteki Narodowej” tomik (1979), a dopiero później otrzymałem z rąk Gomulickiego – w drodze wymiany – bezcenny dla mnie okaz sztuki edytorskiej i ilustracyjnej z roku 1903, sporządzony przez firmę Gebethnera i Wolffa (z inicjami Mariana Wawrzynieckiego), a oprawiony w skórę dla „p. Przesmyckiego” (polecenie na karcie przedtytułowej). Nb. na stronie 1 widniała wydrukowana dedykacja: Miriamowi. Pracując nad popularnonaukowym wydaniem, korzystałem z mikrofilmu Biblioteki Narodowej, zawierającego końcową część rękopisu powieści, z pierwodruku w „Chimerze” (mam odpowiednie tomy i zeszyty tego elitarnego pisma w swej bibliotece), z wydania drugiego (Warszawa 1907), na które naniósł sobie brzmienie odmiennych wersji z pierwodruku książkowego. Wydania z lat 1918–1939, zawierające mnóstwo skrótów fabularnych, zostały uwzględnione w edycji Dziej wybranych, w której narracja o modernistycznych artystach wyszła w roku 1956.

BN-owskie opracowanie „Próchna” zostało po latach (bo współczesne tej publikacji były tylko dwa odgłosy recenzyjne: Joachima T. Baera w rzymskim roczniku „Antemurale” z lat 1984–1985 oraz Wojciecha Głowi w „Tekstach” z roku 1980) docenione w jubileuszowej księdze Ossolineum. Andrzej Bart chwalił mnie trybem impli-cytnym, czyli ‘domyślnym’: „To, czego dowiedziałem się, czytając „Próchno” Berenta, o czasach, epoce i o samym autorze [we wstępie], było o wiele bardziej interesujące od powieści. [...] Ci wszyscy profesorowie, **których już dawno nie ma między nami**, a których nazwiska widnieją pod tytułami książek, byłiby ozdobą każdego kraju o zadawnionej kulturze” (A. Bart: „Powrót do Wrocławia”. W: Bi-

blioteka Narodowa. 1919–2019. Księga jubileuszowa serii pod red. S. Beresia, Wrocław 2019, s. 396; podkr. J.P., nb. jeszcze wśród żywych...).

Stanisław Beres eksplicytnie, czyli ‘otwarciem, jasno’ tłumaczy wyjątkowość Berentowskich edycji w serii, której jest naczelnym redaktorem: „Cenne były [...] wydania powieści Berenta ze względu na zaskakujące decyzje opracowujących (Michał Głowiński i Jerzy Paszek), którzy świadomie złamali tradycje serii i podali do druku wersje odrzucone przez autora. Był to [...] dowód niezwykłej niezależności i śmiałości obu badaczy, a zarazem – paradoksalnie – akt potwierdzenia normatywnych aspiracji BN. Seria nie tylko poświadcza istniejące opinie środowiska, ale również narzuca własne” (S. Beres: Historia serii „Biblioteka Narodowa”. W: op. cit., s. 117).

Czytając na nowo tom „Próchna” z roku 1903, widzę różnego rodzaju literówki, opuszczenia tekstu (znanego z „Chimery” i przedrukowanego w aneksach do moich tomików w BN-ce), ale również napotykałem zdania, które kojarzą mi się z innymi moimi lekturami, czyli np. z Proustem! Tak jest z historią miłości aktora Borowskiego do zdjęcia własnej matki oraz do pięknej żony, czyli Zosi. Berent przedstawia całowanie oczu, ale też wzrok całujący bliską osobę. Twarz rodzicielki dla syna „stała się dziwnym widocznym ich [pragnień] kształtem, zagadkowym symbolem matki, życia, kobiety, sztuki... [...] Ani takiego jasnego przejrzystego czoła, ani takich oczu przyczajonych za rzęsami, takich **oczu całujących** [...] ani przedtem, ani potem, nie widziałem” (W. Berent: Próchno, Warszawa 1903, s. 14, podkr. J.P.; dalej skrót: Pr). Zochna „**Całowała oczy**, wypięła łyż wszystkie. Ale trzeźwośći, opamiętania nie dała” (Pr 36, podkr. J.P.).

Jeszcze inne „pieszczoty” zauważam (po latach lektur, tym razem powolnych i ponownych) we fragmencie opisu nastroju wchodzących z wiosennego zimna do ciepłego lokalu gości, którzy zagłębiają się w ciemnych łożach kabaretu. Chodzi mi o zdanie: „rozpiewały się drzące struny harfiane, rozpieszczał i **rozmarzał flet**” (Pr 138, podkr. J.P.). Otóż jest to trzecie „wejście” fletu na tej samej stronie (poprzednio „opowiadał pieściwie flet” oraz „pieścił się flet”), więc czas na niespodziankę. Fraza „rozmarzał flet”, wyszukując homonimiczność czasownika „rozmarzać”, mogła sugerować czytelnikom sens ‘upajał’, ale i ‘rozgrzewał’ gości, wyprowadzał ze stanu zmarznięcia. Nb., w pobliżu mamy wszak wspomnianą demoniczną kobietę, której sylwetka „rysowała się zimno”, a jej dłoń była „nibysniegu biała kiść”. Rację ma prof. Piechota, że „ile lektur, tyle odkryć” (zob. „Śląsk” 2019, nr 10, s. 66)!

Dla porównania takiego stylu ukazania uczuć rodzinnych i towarzyskich mogą wybrać postępowanie Marcela Prousta, który opisując swoją (lub Narrato-

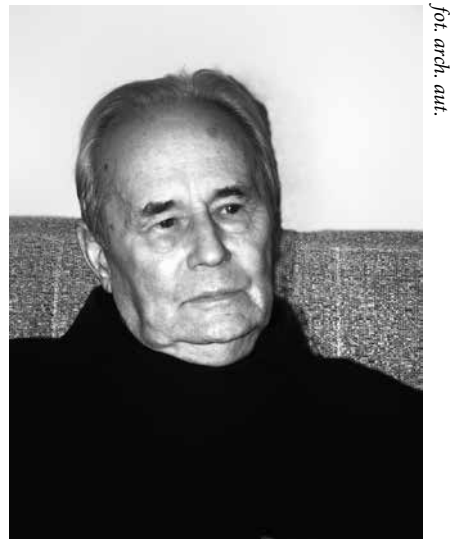
ra) babcią, daje analogiczny obraz całowania oczyma lub pocałunków oczami: „W uśmiechu babci [...] była ironia tylko dla niej samej, a dla nas wszystkich jakby **pocałunek oczu**, niezdolnych widzieć tych, których kochała, bez gorącego ich **upieszczenia wzrokiem**” (M. Proust: W poszukiwaniu straconego czasu, przeł. T. Żeleński-Boy, t. 1, Warszawa 1956, s. 35; podkr. J.P.; w oryginalnej: „un baiser de ses yeux”). Po polsku nie ma takiego idiomu (zob. u Doroszewskiego dziesiątki innych frazeologizmów pod hasłem „Oko!”). Czyli pewnie Berent zaczerpnął te metafory z języka francuskiego lub niemieckiego z epoki początku XX wieku. Kończąc sekwencję o Berencie mogę dodać, iż zdobył się przeze mnie w krakowskim antykwariacie pierwszego wydania „Oziminy” (1911 [1910]) przyczyniło się do powstania studium tekstologicznego, ogłoszonego w „Pamiętniku Literackim”, a wymiana z Jerzym Illgiem kilku moich tomów za pierwszą edycję Żywych kamieni (Poznań 1918) zadecydowała o analitycznym artykule w cyklu „Blask arcydzieł” o tej powieści z życia średnio-wiecznych żaków.

Szczęśliwie dla mnie było otrzymanie z Biblioteki Kongresu w Waszyngtonie, najzasobniejszej w całym świecie, książki Weldona Thorntona pt. Allusions in „Ulysses”. An Annotated List (Chapel Hill 1968). Stała się ona podstawą moich esejów w „Tekstach” od 1973 roku (w numerze 5 z tego roku ukazał się artykuł Aluzje literackie w przekładzie „Ulyssesa”), a także jednej z trzech części dociekań tomu „Sztuka aluzji literackiej. Żeromski – Berent – Joyce” (Katowice 1984). Także przyjaźń z J. T. Baerem (Uniwersytet w Greensboro, Północna Karolina, USA), przejawiająca się długotrwałą wymianą książek, obdarowała mnie całą serią tomów Władimira Nabokowa, o których z satysfakcją pisywałem (m.in. o Lolicie i Adzie; w cyklu „Blask arcydzieł” daję zaś analizę Błędgo płomienia). Ten rusycysta i polonista amerykański recenzował moje książki w kwartalniku „The Polish Review”. Niekiedy były to **jedynie opublikowane** reakcje na wydawane przeze mnie prace naukowe: tak było ze wspomnianą tu książką pt. Tekst i styl „Popiołów”. To pewnie oznacza, że praca prof. Golińskiego poszła na marne i bruliony powieści napoleońskiej nigdy nie znajdują się na półkach księgarskich, a stąd w bibliotekach!

Czy filolog staje się bibliofilem? Jestem przekonany, iż częściej to bibliofil może przemienić się w filologa (na wzór przywoływanego już dwukrotnie prawnika Gomulickiego!). Dowodem jest li tylko jednak zgrabna, bo chiazmatyczna syntaksa (na krańcach księgi i słowo, a w środku zapewne najważniejsza tu miłość: **bibliofil filolog**). Ale mogą być wszak i skrzydlate chiazmy: **filolog bibliofil!** Piękne i płodne apozycje!

Ojciec Damian Henryk Szojda OFM – spowiednik wojewody?

STEFAN GIERLOTKA



fol. arch. aut.

Skromność i pokora cechująca franciszkańskich zakonników często nie pozwala na autoprezentację swych dokonań i osiągnięć. Przykładem jest O. dr Damian Szojda OFM z panewnickiego zgromadzenia zakonnego Braci Mniejszych.

Urodził się 1 stycznia 1932 w Katowicach-Panewnikach i tam dorastał w cieniu klasztoru franciszkańskiego, gdzie był ministrantem. W 1939 roku rozpoczął naukę w szkole podstawowej, okres nauczania przypadła na lata wojennej okupacji niemieckiej. Po wojnie w 1945 roku został wychowankiem Kolegium Serafickiego w Nysie, gdzie w 1949 roku zdał tzw. małą maturę. Do zakonu franciszkanów wstąpił 15 września 1949 odbywając roczny nowicjat w Kobylinie przyjmując zakonne imię Damian. Uroczystą profesję złożył w 1953 roku, święcenia kapłańskie przyjął 6 lutego 1955 roku po ukończeniu studiów filozoficzno-teologicznych w Wyższym Seminarium Duchownym Franciszkanów w Opolu.

Po święceniach kontynuował studia specjalistyczne z zakresu bibliistyki w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, otrzymując stopień naukowy magistra teologii w 1959 roku, a w 1964 roku doktora teologii.

Od roku 1958 przez 15 lat posługiwał na placówce w Starych Panewnikach, gdzie w latach 1965–1968 był gwardianem klasztoru.

W 1959 roku powołany został jako wykła-

dowca do Wyższego Seminarium Duchownego Braci Mniejszych OFM w Katowicach – Panewnikach, w którym nauczał przez 52 lata. Prowadził wykłady z historii i geografii biblijnej, wstępu do Pisma Świętego i listów św. Pawła.

Biegłe władał kilkoma językami obcymi, w tym łaciną i greką. Przetłumaczył w latach siedemdziesiątych z języka greckiego Listy Św. Pawła Apostoła, które zostały w 1975 roku włączone w treść nowego wydania Pisma Świętego, tak zwanej Biblii Poznańskiej. Biblia ta doczekała się wielu wznowień i jest nadal cenioną przez bibliistów. Z relacji najbliższych współpracowników wynika, że w zakonnej celi O. Damiana na stole zawsze leżało Pismo Święte z którego stale korzystał.

Od 1968 roku był wikariuszem Prowincji Wniebowzięcia NMP. Ministrem prowincjalnym Prowincji Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny był w latach 1973–83 oraz 1991–1998. W latach 1983–86 był ojcem duchownym w Seminarium Duchownym Braci Mniejszych. Gwardianem Klasztoru w Katowicach-Panewnikach był w latach 1986–1991 oraz 1998–2001. Był również duszpasterzem sióstr zakonnych.

W okresie pełnienia obowiązków prowincjała oraz gwardiana przebudował i rozbudował klasztor w Panewnikach. Z jego inicjatywy powstały nowe obiekty seminaryjne i go-

spodarcze. Dawne przyklasztorne warsztaty rzemieślnicze przekształcił na pomieszczenia dydaktyczne Wyższego Seminarium Duchownego. Powstała nowa biblioteka, nowy refektarz oraz kapitularz. Zmodernizował prezbiterium bazyliki w oparciu o nowe wytyczne Soboru Watykańskiego II. Jego staraniem u papieża Pawła VI kościół OO. Franciszkanów w Katowicach-Panewnikach uzyskał w 1974 roku tytuł bazyliki mniejszej.

W ramach działalności duszpasterskiej w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, nawiązał kontakty misyjne z innymi zagranicznymi prowincjami zakonnymi. Przyczynił się do rozwoju obecności zakonu franciszkanów na terenie byłego Związku Radzieckiego i Ameryki Południowej.

W latach głębokiego socjalizmu był osobistym kapłanem oraz spowiednikiem wojewody Jerzego Ziętka. O. Damian regularnie, aż do śmierci Jerzego Ziętka w 1985 roku, dojeżdżał do niego do Ustronia, gdzie w przystosowanym pokoju odprawiał mszę świętą i spowiadał wojewodę. Obdarzony zaufaniem pełnił w tamtych latach rolę „ambasadora” pomiędzy stroną kościelną, a administracyjnymi władzami województwa. Z jego inicjatywy i dzięki jemu zaangażowaniu wybudowano w tamtych latach kilka kościołów „na dziko” bez pisemnego zezwolenia. Pozwolenie ustne wydane przez wojewodę Jerzego Ziętka było wystarczające, by wszystkie organy administracyjne decyzję honorowały, a w budowie nie przeszkadzały. Tak w Katowicach powstał kościół św. Antoniego w Starych Panewnikach oraz kaplica Matki Boskiej Częstochowskiej przy klasztorze Sióstr Służebniczek NMP w Katowicach Piotrowicach. W wybudowanej kaplicy przy klasztorze Sióstr Służebniczek NMP w Piotrowicach innych kościołów w diecezji.

Ojciec Damian Szojda wyróżniony został w roku 1998 Honorową Odznaką Katowic przez Radę Miasta, a w 2004 roku przez wojewodę śląskiego Medalem Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej za upamiętnianie historycznych wydarzeń, postaci i obiektów.

Zmarł 6 września 2011 roku i jest pochowany w kwaterze franciszkanów na cmentarzu w Katowicach-Panewnikach. ■

fol. arch. aut.



Bazylika Franciszkańska w Panewnikach

Pamiętam doskonale dyrektora Teatru STUDIO w Warszawie Romana Osadnika z czasów jego działalności w Operze Śląskiej jako kierownika działu imprez, a potem jako zastępcę dyrektora Dariusza Miłkowskiego w chorzowskim Teatrze Rozrywki. Następnie został dyrektorem Teatru Polonia w stolicy, a kolejnym etapem jego kariery stał się Teatr STUDIO w Pałacu Kultury i Nauki. Jego poprzednikami na tym stanowisku byli między innymi Józef Szajna i Jerzy Grzegorzewski. Osadnik jest wielkim miłośnikiem opery, napisał na Uniwersytecie Śląskim pracę magisterską o wielkich inscenizacjach operowych. Wprowadził w teatrze transmisje z Metropolitan Opera, ale jego wielkie marzenie zaczęło się spełniać w 2019 roku. Doprowadził do plenerowej premiery *Madamy Butterfly* Pucciniego na Placu Defilad z udziałem Aleksandry Kurzak w partii Cio-Cio-San. W tym wydarzeniu uczestniczyło ponad 4 tysiące widzów. Było nerwowo w związku z niepewnością pogody i krótkim terminem przygotowań, jednak debiut Kurzak w partii Butterfly okazał się sukcesem, zwłaszcza niezwykle dramatyczne sceny związane z tragicznie zerwaną miłością i śmiercią tytułowej bohaterki. Na scenie plenerowej pojawili się także m.in.: mąż artystki, wybitny tenor Roberto Alagna jako Pinkerton i znakomity baryton Andrzej Dobber jako konsul Sharpless. Inscenizowaną wersję koncertową przygotowała Natalia Korczakowska.

Miałem ogromny zaszczyt wręczenia słynnej śpiewaczce bezpośrednio po zakończeniu spektaklu Nagrody im. Bogusława Kaczyńskiego za wybitne osiągnięcia w dziedzinie wokalistyki operowej i propagowanie najwyższych wartości muzyki poważnej na świecie. Posrebrzaną i pozłacaną statuetkę zaprojektowała prof. ASP w Warszawie Hanna Jelonek. Jako dziecko Aleksandra Kurzak grała na skrzypcach i fortepianie, poznawała też teatr zza kulis, ponieważ jej mama Jolanta Żmurko była primadonną Opery Wrocławskiej. Gdy miała zaledwie 27 lat, wystąpiła w partii Olimpij w *Opowieściach Hoffmanna* w Metropolitan Opera w Nowym Jorku, gdzie krytycy rozpisywali się na temat fantastycznego debiutu. Zaśpiewała w tym samym roku również w Royal Opera House w Londynie. *Oprócz MET i Covent Garden, gdzie jest często zapraszana, występowała m. in. w słynnych teatrach operowych w Mediolanie, Wiedniu, Madrycie, Paryżu, San Francisco czy Los Angeles, ale jednak spełnieniem snu o wielkiej sławie są dla niej występy na deskach MET.*

Kolejną inscenizacją na Placu Defilad miała być 3 czerwca 2020 roku *Tosca* Pucciniego z Kristine Opolais, ale z powodu pandemii koronawirusa wydarzenie zo-



Aleksandra Kurzak, Krzysztof Korwin-Piotrowski. Nagroda Złota Muszka

Aleksandra Kurzak na żywo i online

KRYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

stało odwołane. Chcąc jednak utrzymać kontakt z melomanami dyrektor Roman Osadnik zaproponował nam 10 maja piękny recital live Aleksandry Kurzak z jej domu pod Paryżem. Wybitnej śpiewaczce towarzyszyła utalentowana francuska pianistka Morgan Fauchois-Prado. Na początku Kurzak zaśpiewała cztery pieśni Fryderyka Chopina: nastrojowe *Życzenie*, dowcipny i prościutki utwór w rytmie mazurka *Śliczny chłopiec* na bazie ukraińskiej dumki, przepelnioną głęboką refleksją *Melodi* do słów Zygmunta Krasińskiego i smutną, dramatyczną *Piosnkę litewską*. Następnie usłyszeliśmy w fantastycznym wykonaniu mazurki Chopina w transkrypcji Pauline Viardot, śpiewaczki operowej, pianistki i kompozytorki mieszkającej w Paryżu. Viardot organizowała wieczorki muzyczne, w których uczestniczyli sławni kompozytorzy tacy jak Fryderyk Chopin, Johannes Brahms czy Robert Schumann. Śpiewała pięknie mezzosopranem. Była też wybitną pianistką i grywała w duecie z Fryderykiem Chopinem, który zgodził się na dokonanie przez nią transkrypcji na głos i fortepian jego 12 mazurków. Chopin pozostawił po sobie ponad 200 utworów, które doczekały się około 4000 transkrypcji na różne instrumenty solowe z fortepianem, głos z fortepianem, zespoły kameralne i orkiestry.

Aleksandra Kurzak zaśpiewała w wirtuozowskim stylu *Aime-moi* (Kochaj mnie – mazurek op. 33 nr 2) oraz z finezją i temperamentem *Coquette* (Kokietka, mazurek op. 7 nr 1). Następnie zaproponowała

nam artystyczną ucztę z muzyką Roberta Schumanna. Usłyszeliśmy pieśni z cyklu *Frauen-Liebe und Leben* czyli *Miłość i życie kobiety*. Pieśni skomponowane w 1840 roku przedstawiają obraz idealnej miłości. Powstanie tego dzieła było związane z wielkim uczuciem, jakim Schumann obdarzył piękną kobietę i wybitną, sławną pianistkę Klarę Wieck. Aleksandra Kurzak w intymny wręcz sposób zaprezentowała tu swoje wielkie wycucie muzyki romantycznej, liryzm i głębię emocji, targających duszą kobiety.

Wielu melomanów zapewne czekało na arie operowe. W ostatniej części recitalu Aleksandra Kurzak wykonała nastrojową arię Hrabiny z *Wesela Figara* Mozarta, następnie brawurowo zaśpiewała arię koloraturową Rosiny z *Cyrylika* Sewilskiego Rossiniego i wzruszyła mnie ogromnie arię tytułowej *Adriany Lecouvreur* Cilei. Na koniec zaśpiewała z ogromną wrażliwością i żarem serca arię Toski z opery Pucciniego i nastrojową *Pieśń do księżycy*

z *Rusałki* Dwořáka. To był wspaniały, wyjątkowy wieczór. Mam teraz tylko jedno marzenie, aby ten recital został powtórzony z udziałem publiczności w pięknej sali koncertowej NOSPR w Katowicach. ■



Krzysztof Korwin-Piotrowski – dyrektor artystyczny Fundacji Orfeo im. Bogusława Kaczyńskiego

Pająk nad szafą

Pojawiła się u Henryka pod wieczór. Wcześniej zadzwonili z agroturystyki za łąką, że przyjechała grupa, że źle się dogadali i tamtych jest więcej, niż mają miejsc. Może więc on mógłby kogoś przyjąć? Tylko na jedną noc.

Mógł, od śmierci Maryni ich mały pensjonat stał właściwie pusty. To ona o wszystko dbała – o gości, nowe zdjęcia na Facebooku, ciasto na podwieczorek.

Dziewczyna przyszła sama. Stała na ganku, a Henryk najpierw zwrócił uwagę na jej plecak. Był ogromny, ale ona od razu go zapewniła, że tylko tak groźnie wygląda. Miała na imię Ina i ledwie się przedstawiła, zaczęła go zagadywać. Wspomniała, że następnego dnia ruszają na stanowiska i tu wymieniła łacińskie nazwy kilku rzadkich roślin. Spytała też, czy je zna. Nie znał, więc wytłumaczyła, dlaczego są tak ważne i na czym polegają ich badania. Niewiele z tego rozumiał. Zresztą skupił się bardziej na niej, niż na tym, co mówiła – na sylwetce podświetlonej zachodzącym słońcem, na włosach skręconych od wieczornej rosy i dłoniach, które przy każdym zdaniu zagarniały powietrze.

Marynia też tak robiła.

Gdy Ina poszła się rozpakować, Henryk przeszukał spiżarnię. Miał jeszcze zamrożony gulasz i kilka weków z bigosem. Zdecydował się jednak na zupę z ich własnych pomidorów, bo skoro Ina tyle mówiła o roślinach, to pewnie wolała coś bez mięsa.

Postawił na stole dymiący kociołek i makaron. W dzbanku zaparzył miętę z pomarańczą. Słońce zaszło, więc poszedł napalić w kominku, po czym usiadł i ponownie wstał. Niepokoił się jak przed jakimś egzaminem. Parę razy poprawiał sztućce. Przeszukał kredens, by znaleźć serwetki. Zapalił górne światło, a potem zgasił je i zostawił tylko kinkiety – były bardziej dyskretne.

Nie zauważył, kiedy weszła. Jej obecność zdradził zapach mydła. Rozpoznał w nim różę i wanilię. Marynia nimi pachniała.

Obejrzał się tak gwałtownie, że stracił tyżkę. Przeprósł i pobiegł do kuchni po nową. Gdy wrócił, Ina stała przy oknie i czubkami palców muskała trzykrotki. Ten sam ruch ręką, ta sama sylwetka. Czy we wszystkim musiała być jak Marynia?!

Usiedli. Ina jadła z wdzięcznością. Była pewna, że pójdzie spać głodna. Dopiero przyjechała i tam było już po kolacji, a on przecież nikogo się nie spodziewał.

Dużo mówiła, nie musiał jej zachęcać. Mógł milczeć i pota-

kiwać, jak przy Maryni. Dom znów zapełnił się słowami. Ina tyle gestykulowała, że poruszone jej dłońmi powietrze rozkołysało firanki. Pająk uciekł z pajęczyny nad szafą, tak się wystraszył tego huraganu.

Ogień trząskał w kominku, Ina opowiadała, a Henryk siedział naprzeciw niej i słuchał w zamyśleniu. By przeciągnąć tę chwilę, zaproponował nalewkę. Nalał, a Ina pochwaliła jej kolor – że to taki rubin w kryształach. Wypiła i przymknęła oczy. Potem, z zaróżowionymi policzkami, opowiadała o studiach, o pracy i planowanej wyprawie na Filipiny. Mogłaby tak pewnie długo, ale kukułka z zegara ogłosiła, że już późno.

Ina wstała i podziękowała za kolację, a ledwie wspięła się po schodach, pokój zastygł w bezruchu. Powietrze przestało chwiać firankami, pająk wrócił na miejsce, nawet ogień przysnął i została po nim tylko smużka dymu.

Henryk zaniósł naczynia do kuchni. Zbyt mało ich było, by korzystać ze zmywarki. Odkąd Marynia odeszła, prawie zapomnieli, że ją ma. Po zmywaniu wyrobił ciasto na chleb i postawił je na kredensie. Marynia zawsze potwarzała, że trzeba dać mu kilka godzin, by ładnie wyrosło. Ze spiżarni przyniósł konfitury. Przypomnieli też sobie o serwisie do kawy i herbatnikach w szafce.

Krażył tak od kuchni do pokoju, ustawiał, gładził, poprawiał. Poszedł też do ogrodu po kwiaty. Było ciemno, więc musiał wziąć latarkę. W jej świetle zebrał kilka dzwonków i te białe, chyba margerytki. Rosło ich pełno w ogrodzie i na łące poza nim. Marynia tak je lubiła, że pozwalała im się panoszyć.

W końcu opadł na sofę przy kominku i dopiero wtedy zobaczył pod stołem chustę Iny. Musiała zsunąć jej się z ramion. Podniósł ją, przyłożył do twarzy. Pachniała różą i ciałem rozgrzanym słońcem. Henryk pamiętał ten zapach, zawsze kojarzył mu się z wakacjami nad morzem. Przypomnieli sobie jasne cętki piegów na ramionach Maryni i jej śmiech ginący w szumie fal. Lubiała trzymać go za rękę albo chować się za nim, gdy zbyt mocno wiało. On był wielki, ona taka drobna. Był zapach, a tyle wspomnień.

Ina stanęła przed nim. Nie miał pojęcia, kiedy się pojawiła.

– Coś się stało? Usłyszałam...

– Mogłaby pani tu na chwilę zostać? – przerwał jej i przeraził się drzeniem własnego głosu.

Chciał coś dodać, zagłuszyć niecierpną ciszę albo chociaż wytłumaczyć się z tej chusty ściskanej w dłoni. Gdybyż tylko te łyzy przestały płynąć!

*

Rankiem nastawił kawę. Chleb pachniał już na cały dom, a konfitury czerwiły się na talerzyku. Ina jadła i przymykała oczy. Chwaliła, że takie dobre, że tak tu cicho. Żal będzie wracać do miasta.

Przy drzwiach pomógł jej z plecakiem, a potem patrzył jak ten kołysze się nad polem margerytek. Ina ledwie spod niego wystawała.

Kiedy znikła, wrócił do domu. Pozmywał naczynia, dojadł konfitury i usiadł na sofie przy kominku. Wszystko wokół zdążyło już stężeć w bezruchu – powietrze, firanki w oknie i pająk nad szafą. Henryk także zastygł, jakby i on był w tym domu jeszcze jednym porzuconym sprzętem. ■



Idę. Droga, a właściwie dwie jasne koleiny wyschniętej ziemi przedzielone pasem trawy, zagina się daleko na horyzoncie. Po bokach mam łąny rzepaku. Jeszcze nie rozkwitł do końca, jeszcze się waha. Nocami wstrzymuje go chłód, ale raniem nabiera odwagi. Są dni, że bywa wręcz upalnie, chociaż to wiosenny upał, taki do zniesienia. Gdzieniedzie widać pasma śródpolnych drzew i ich zielen też jest inna niż latem – tylko teraz ma tyle odcieni. Klony są intensywnie limonkowe, dęby oliwkowe, a wiązy, których liście wciąż się nie rozprostowały, świetliście żółtawe. Zielen topoli połyskuje w słońcu jak powoskowana. Zielen lilaków jest ciemna i kojarzy mi się z wnętrzem opustoszałych podwórek, które tak lubią zarastać.

Idę bez celu. Umówiłam się wprawdzie ze sobą, że zawrócę obok tamtej gruszy, ale wzrok już wyszukuje kolejne miejsca poza nią. Mogłabym tak podążać bez końca, wędrować przed siebie w powolnym rytmie pielgrzymek. Zdążać do jakiegoś Santiago albo Lourdes, tyle że nie mam o co prosić i cel nie miałby dla mnie znaczenia. Liczy się droga, więc te miejsca mogłyby mi posłużyć jedynie do tego, by wyznaczyć kierunek.

Trzymam się w bezpiecznej odległości od świata ludzi. Gdzieś tam za polem czerwieni się dachy domów, ceglana wieża kościoła zahacza o błękit nieba. W oddali szumią samochody z pobliskiej autostrady, ale tu zagłusza je byle skowronek.

Towarzyszy mi pies. Nie jest mój, po prostu lubi ze mną chodzić. Akceptuje mój wybór kierunku, ja nie poganiam go, gdy szuka nornic. Idziemy ze sobą, a zarazem osobno, każde wpatrzone w coś innego, każde zafascynowane innym zapachem. Nic nas nie wiąże, żadna smycz, ani linka. On się nie zgubi – jest u siebie. Ja również nie zabłądzę, dobrze znam

to miejsce. Przyjeżdżam tu, by się oddać rytmowi kroków. To mój sposób na skołatane myśli. Teraz mają wolne od galopady i niepokoju. Rozciągają się i snują jak nici pajęczyn. Jedna płynie do wioski na widnokregu, druga w stronę cumulusa na niebie, trzecia szpera przy ziemi na podobieństwo mego towarzysza. Wszystkie rozchodzą się ze mnie jak strugi wody z wywierzyńska. Płyną nieograniczone i tylko raz na jakiś czas przerywam ich tok pełnym zachwytu okrzykiem domorosłego botanika:

– O, jasnota biała! – wołam, po czym milknę na kilka kolejnych kroków, by po chwili znów wpaść w zachwyt nad jakąś kępą, albo rozetą.

Nie jestem przyrodnikiem i pewnie dlatego jeszcze mnie to bawi. Pęcznięję z dumy, bo się znam, bo pamiętam te wszystkie nazwy. Wymawiam je z namaszczeniem, czasem dorzucam łaciński odpowiednik. Oto bylica – *Artemisia*, a tam krwawnik – *Achillea millefolium*. Ten tutaj, ten ze zwieszonymi głowami puchowych pomponów to podbiał – pierwsze pozimowe słońce przydrożnych ugorów. A z tych drobiazgów wyróżnia bodziszki, ale teraz nie wiem jeszcze które. Pewnie łąkowy – *Geranium pratense*, bo na żalobnego zbyt jasno tu i sucho.

Te odkrycia są jak niezapowiedziane fermy w muzycznej frazie. Pomiędzy nimi myśli wznoszą się i opadają w akordach znaczeń. Raz są gęste i splecione, innym razem ciche i harmonijne. Jedno się nie zmienia – zawieszony nad wszystkim świergot skowronków – takie soprano continuo.

Rzepak ustępuje nieużytkom po lewej i zaoranym polom po prawej. Ziemia jest sucha i spierzchnięta. Tam, gdzie pozostawiono ją odłogiem, pokryła się wprawdzie skarłałymi roślinami, ale tu, gdzie człowiek zmienił ją w równie rzadki bruzd, byle podmuch wzbudza wiry. Kręcą się niezdecydowane, w którą pójść stronę. Równie niespodziewanie wstają, co znikają, zmuszając mnie, bym przeczesywała wzrokiem całe pole.

Docieram do gruszy, która z bliska okazuje się kępą trzech drzew – dwóch grusz i jednej czereśni. Wszystkie trzy są stare, splekane i u podstawy okryte pożółkłym mchem – pamiątką po bardziej mokrych wiosnach i dżdżystych jesieniach. Kilka gałęzi uschło, kilka opadło na ziemię. Czereśnia, najmocniej doświadczona przez wiatry, też się o nią opiera. Jeszcze nie leży, ale wygięła się w łuk i konarem wbiła w rów. Pochyliła się tak nisko, że mogę na niej przysiąść.

Obserwuję samochód, który kolebiąc się na boki, przejeżdża nieopodal. Wlecząc za sobą tuman pyłu i zapach przetrwanego paliwa. Po chwili staje i z wnętrza wysiada mężczyzna. Na nogach ma kalosze, absurdalne przy tej pogodzie. Są czarne, ale już po paru krokach pokrywają się jasnym nalotem. Jest pewnie rolnikiem, bo z troską pochyla się nad polem. Nabiera garść ziemi, a ta przesypuje mu się między palcami i znika porwana wiatrem. Mężczyzna prostuje plecy. Ręce bezradnie opadają wzdłuż ciała. Długo patrzy przed siebie, potem unosi wzrok, ale niebo jest nieczułe na zakłęcia.

Gdy mężczyzna odjeżdża, wyciągam butelkę z wodą. Piję i dzielę się z psem. Jego język laskocze mnie w rękę.

Z tego miejsca widzę moje miasto. Poznają je po rysunku wież i kominów na tle nieba. Patrzymy na siebie z niechęcią. Ja nie chcę tam wracać, ono nie ma mi nic do zaoferowania. Woli takich, którzy doceniają jego pośpieszny rytm, a mnie jest dobrze tutaj. Utknęłam w bańce czasu. Wsparta o pień drzewa nie mam żadnego przedtem, ani potem. Białe płatki kwiatów czereśni kręcą się wokół mnie niczym śnieg i chyba przez to czuję się jak zamknięta w szklanej kuli.

Wiem, że muszę tam wrócić, oddać się nielubianym rytuałom codziennosci, ale jak tylko mogę przedłużam tę chwilę. Gładzę szorstką korę, śledzę piaskowe wiry na polu i jestem, zwyczajnie jestem. ■



rys. Bogna Skwara



Arkadiusz Kremza 24 września 1975–24 kwietnia 2020

Pożegnanie

ŁUKASZ BIES

Jeden Arkadiusz Kremza raczył wiedzieć, jakich trzeba językowych talentów, a jakiej wyobraźni i wewnętrznej wolności, by cieszyć się fenomenem nieskrępowanego, wspólnego języka z rozmówcami każdej, bez wyjątku proveniencji, świadomości, wrażliwości i specyfiki komunikacji. Sytuowali się w oni w skrajnie od siebie oddalonych obszarach, od kibiców do krytyków literackich, przy czym wszyscy odnosili się do niego z tą samą atencją i uważali go za swojego. Pytałem czasem Arka, o czym tak zaciekle dyskutuje z tymi, którzy wręcz ostentacyjnie dystansują się od jego upodobań i pasji, w odpowiedzi wzruszał zdziwiony ramionami. Twierdził, że o wszystkim i sędzę, że tak w istocie było.

Kremza był czujnym narratorem, ważnym rozmówcą, który każdą rozmowę najpierw osadzał w relacji; bo rozmowa z Kremzą to było przede wszystkim spotkanie, na wskroś naznaczone personalistycznym napięciem, w którym każdy stawał się duchowo i intelektu-

alnie wolny. Dlatego rozmowa, czasami monolog, a czasem zaledwie fraza zawsze manifestowały autentyczny zachwyty nad życiem, afirmację fenomenu istnienia, a innym razem rozpaczliwą niepewność, albo pełną inwektyw, pogardliwą frustrację i niezgodę.

Arkadiusz Kremza nie potrafił pod tym względem iść drogą znanych i utartych schematów, a jest to domeną tych, którzy widzą i czują więcej. Poszukiwał własnej drogi i wciąż się rozwijał – i jako artysta, i jako rzemieślnik słowa. Szukał własnego, kompletnego narzędzia opisu, zmagania i kreacji.

Na początku było słowo i Kremza-poeta zmagał się z życiem i śmiercią, zmagając się z ich opisem. Pierwszym obiektem refleksji, namysłu, ataku, drwiny, szyderstwa, tak samo jak satysfakcji i spełnienia zawsze było słowo. Czasami czujny narrator usamodzielniał słowo, zastępował nim jego desygnat, zastępował rzeczywistość jej opisem i stawał je obok siebie, a wtedy przyglądałem się nagle ujawnionej niedoskonałości

kosmosu, a może tylko zdemaskowanej ułomności natury człowieka.

Życiowe fascynacje i rozczarowania przyjmował tak samo, zawsze tak samo piętnując wygasłe znaczenia, nietrafność spostrzeżeń, brak właściwej afirmacji życia, a także brak afirmacji śmierci, która była dla niego częścią życia, zatem podlegała właściwym mu rozważaniom.

Rozważał życie i śmierć w słowach, frazach, piosenkach, modlitwach i przekleństwach; sędzę, że podzielał pewną propozycję egzystencjalną, zgodnie z którą liczą się tylko niektóre odpowiednio uchwycone znaczenia, zajmowanie się sprawami pozbawionymi znaczenia jest zbrodnią na własnym życiu.

So, so you think you can tell / Heaven from hell / Blue skies from pain / Can you tell a green field From a cold steel rail? / A smile from a veil? / Do you think you can tell? / Did they get you to trade / Your heroes for ghosts? / Hot ashes for trees? / Hot air for a cool breeze? / Cold comfort for change? / Did you exchange / A walk on part in the war / For a lead

role in a cage?

Nie ma dla człowieka nadziei, skoro traci bezpowrotnie wszystko, co zna, przysparzając na koniec dodatkowego cierpienia innym ludziom.

Śmierć jest ostatnią raną zadaną miłości. Każdy, kto w poszukiwaniu sensu życia próbował nadawać znaczenia i dokonywać wyborów, w obliczu śmierci dostrzeże ich nieprzewidywalną ułomność; nic nie jest uniwersalne i trwałe, ponieważ wszystko odnosi się do życia, a samo życie nieodwracalnie przestaje nim być.

„How I wish, how I wish you were here
We're just two lost souls / Swimming in
a fish bowl, Year after year Running over
the same old ground / And how we found
The same old fears Wish you were here”.

Indywidualna tożsamość człowieka stanowi dramat, który manifestuje się w każdym świadomie wypowiedzianym słowie „ja”.

Kiedy ogniskowałem moją percepcję na postaci Arkadiusza Kremzy, doświadczenia mi świadomość załamywała się. Nie potrafiłem bowiem myśleć o nim inaczej, jak tylko w kategoriach szczególnego i niepowtarzalnego rodzaju życia, uważając, że jego życie stało się wyodrębnioną, usamodzielnioną, autonomiczną i wiecznotrwałą częścią bytu, w pewnym sensie wręcz od niego niezależną.

W takich kategoriach śmierć Arka stała się nie tylko zdradzieckim fatum, poddała w wątpliwość i moje życie. Słyszę, jak moja nieuchronna śmierć już teraz woła do mojego życia: „nie istniejesz na zawsze, a więc nie istniejesz naprawdę, jesteś swoją własną iluzją”.

„Przyjmiesz dziś jakiś alkohol kolego? / Ścisł wielkie przesyłam wirtualną metodą / które to ścisł mam nadzieję rychło przydziać w prawdziwe mięśnie.”

Na tym gruncie czasami ratowaliśmy postępującą deformację naszej świadomości, kiedy dostępne nam narzędzia racjonalnego poznania i opisu nie przewidywały niepewności i wątpliwości.

Chodziło o to, że jeśli śmierci nie ma, to nasze życie nie kończy się nigdy, jednak problem polegał na tym, że wiedzieliśmy dobrze, że śmierć jest.

„A co, gdybym ci powiedział, że człowiek zaczyna się w dziobie ptaka. / W tej półkniętej przez niego, a rzuconej inną ręką kruszynie. (...) / Ze człowiek tu przywleczone z innej wody. Z innego znaczenia.”

Słyszymy tu głos, który proponuje refleksję nową. Tak samo Arkadiusz Kremza w swoim pulsującym życiu pozostawiał czasem miejsce na tajemnicę, a wtedy z ulgą wpisywaliśmy w nią nasze pytania o naturę życia, dobra i zła, naturę i zakres wolności, stosunek i granice oddziaływań życia w relacji do siebie samego, a także do innych form życia i otoczenia. Żadna perspektywa nie

odpowiedziała nam jednoznacznie przekonująco i zadowalająco na pytanie, dlaczego w ogóle byliśmy, choć mogłoby nas nie być.

„A co, jeśli siedziba sumienia, o której wydawało nam się, że jest przy słowie – człowiek, że jej tam już nie ma. Śrut w ślad. Pisk w jego braku.”

Przepowiadający podmiot wiersza, tak jak czujny narrator – rozmówca niezłomnie i wytrwale zadawał wszystkie powyższe pytania, nigdy nie poznał odpowiedzi i rozumiał, że nie o odpowiedzi tutaj chodzi, a ich poszukiwania.

Oto fenomen percepcji, języka i osoby Arkadiusza Kremzy. Ponieważ język funkcjonuje doskonale jako narzędzie sztuki, a słabiej jako narzędzie opisu lub komunikacji, Kremza wydestylował frazy o kluczowym znaczeniu i osadził je w codziennej komunikacji.

Dużo miłości!

Idziesz na spacer z M?

Kochajcie się!

Rzucamy się w życie jak w przepaść; świadomi, że nie potrafimy latać, wmaiwiamy sobie, że w gruncie rzeczy wiemy, jak się to robi. Na tym polega straszny dramat człowieka: jest w nim niepojęta ciekawość i nieuznające własnych ograniczeń ego: wieczny powód ludzkich lęków i źródło wszelkiego postępu.

Tymczasem każde ludzkie działanie, obojętne na co nastawione, jest z natury rzeczy wtórne wobec, używając gombrowiczowskiej frazy, „oszałamiającego fenomenu istnienia” czyli życia jako takiego, które domaga się od nas przynajmniej jednej bezwzględnej, stałej refleksji.

Kremza był tej zasadzie wierny i nigdy nie przesądzał definitywnie o sprawach bytu i niebytu, wycofywał się z własnych ocen bo wiedział że spraw innych ludzi nigdy nie pojmie tak samo, nie nakłaniał innych ludzi do uznawania swoich symboli jako bardziej reprezentatywnych dla całej ludzkości, jego przeświadczeń jako lepiej uzasadnionych, swoich myśli jako ostatecznej, jednej wielkiej teorii wszechświata.

„Szybko wyrastają łąki jak werdykty. Wolniej tłoczone jest powietrze. / Gwiazdozbiory. Chmura i tło. Wszystko z ptasiego pisku. Wszystko.”

Historia biblijna podaje, że Jezus płakał po śmierci swojego przyjaciela, czy płakał z powodu jego śmierci? Proponuję inne wyjaśnienie.

Jezus nie płakał nad śmiercią, płakał nad ułomnym, niedoskonałym życiem, nad zatrutym i zdeformowanym istnieniem, które śmierć wyrывa z doskonałego, wiecznotrwałego porządku – zamieniając istniejący byt w nieistniejący niebyt, płakał nad życiem pozbawionym przez śmierć – sensu właśnie. Jezus płakał przy grobie Łazarza, tak jak rozpaczają nad Holokaustem, a przecież płacemy

nad Holokaustem nie z powodu śmierci milionów, tylko z powodu utraczonego przez miliony życia.

I tak ja płakałem nad śmiercią Kremzy.

Życie jest przebiegłe

Życie szybko biegnie

Życie to cień mety

Życie jest niestety

Moje życie prowadzi mnie ku nicości, ale ja nie przyjmuję pocieszenia i wyjaśnień. Nie znalazłszy sensu życia, uznaję się za do tego niezdolnym i w ten sposób czynię swoje życie jeszcze trudniejszym. W dramacie własnej tożsamości i bez spójnych objaśnień rzeczywistości, żyję „snem wariata śnionym nieprzytomnie”.

Byłem świadkiem Arka zmagania z rzeczywistością, poszukiwań rzeczy nowych i rozwiązania starych. Obserwowałem, jak ludzie nadawali tym zmaganiom etykiety z pośpiechem i pewnością, które były w istocie nonszalancją i lekceważeniem.

Oto na czym polegało i moje obłąkanie: nie potrafiłem żyć bez odpowiedzi na pytanie o sens własnego życia, a więc starałem się go za wszelką cenę ustalić, nawet nieświadomie, aż do pierwszej świadomej konfrontacji ze śmiercią Przyjaciela, kiedy nagle uświadomiłem sobie, że sens, jeśli w ogóle istnieje, jest przed człowiekiem trwale ukryty.

Nie potrafiąc zrozumieć i zaakceptować doniosłych konsekwencji tego stanu rzeczy wiedząc o życiu niewiele ponad to, że jest; będąc człowiekiem, który życie sam stworzyć nie potrafi i go nie pojmuje, z niezbitą pewnością określałem je za pomocą specyficznie rozumianych przez siebie cech oraz podawałem wykładnię tych cech wykraczając poza życie samo, do tego nadając również tym miarom walor nieomyślności.

A trzeciego dnia po śmierci Arka obezwładniła mnie myśl nowa, nowy opis i nowa rzeczywistość.

Śmierć Arka wypełniła jego wszystkie zmagania najwyższym sensem, czyniąc jego życie spełnionym i kompletnym, ponieważ Arek w swoim profetycznym i niestrudżonym nawoływaniu do miłości, pozostawił po sobie niezachwianą miłość właśnie. Zamiast rozpacz – czuję wdzięczność, wiedząc, że nie wolno w swoim życiu czegokolwiek z pewnością sądzić.

Słusznie jednak szukamy, demaskujemy i odrzucamy atrapy opisu rzeczywistości, a idąc śladem człowieka – Kremzy – musimy dostrzegać oszałamiający fenomen życia i zauważać, że częścią owego oszałamiającego fenomenu istnienia jest tajemnica, która się z nim wiąże nierozdzielnie.

Jestem Ci Przyjacielu, na zawsze wdzięczny.

Twoje słowa miały siłę przepowiadania.

Żegnaj Przyjacielu i Bracie, nasze spotkanie jest tylko kwestią czasu. ■

Józef Pukowiec – biografia Ślązaka

MARIAN UHEREK

Pseud. Chmura, Pukoc, Ryś (1904–1942); nauczyciel, komendant Hufca Rybnik (1927–1935), komendant Pogotowia Wojennego Śląskiej Chorągwi Harcerzy (sierpień 1939), komendant Tajnej Śląskiej Komendy Harcerzy (1939–1942)



Józef Pukowiec urodził się 19 września 1904 roku w Świętochłowicach. Był synem Józefa Pukowca i Karoliny Bortlik. Miał siedmioro rodzeństwa, cztery siostry (Martę, Waleskę Łucję i Annę) oraz trzech braci (Stanisława, Bronisława i Alojzego). Rodzina Pukowców była przykładem niezłomnych Polaków walczących o polskość Śląska i przeciwstawiających się jego germanizacji, za cenę nieustannych niemieckich szykan, a nawet za cenę śmierci. Pochodziła ona z niewielkiej wioski Bzie, która obecnie jest dzielnicą miasta Jastrzębie Zdrój. Dzieci w rodzinie Pukowców były wychowywane w duchu patriotyzmu oraz szacunku do polskich tradycji.

Patriotyzm w rodzinie Pukowców był wręcz legendarny. Dziadek Józefa Pukowca, również Józef (w rodzinie Pukowców to imię tradycyjnie nadawano zawsze najstarszemu synowi), współpracownik, a zarazem przyjaciel Karola Miarki, brał udział w powstaniu styczniowym. Ojciec Józefa Pukowca, także noszący to samo imię, szkanowany i wyrzucany z pracy za swoją działalność dla Polski, brał udział we wszystkich trzech powstaniach śląskich. Z siedmiorga rodzeństwa bracia Bronisław i Alojzy byli członkami ruchu oporu, a brat Stanisław, aresztowany we wrześniu 1939 roku, przez cały okres wojny przebywał w obozie koncentracyjnym. Wszystkie siostry Józefa Pukowca angażowały się podczas okupacji w działalność społeczną. Szczególnie Łucja, biegle władająca językiem niemieckim, potrafiła np. zapobiec aresztowaniu przez Gestapo Józefa Pukowca ojca.

Pierwsze lata dzieciństwa Józef Pukowiec spędził w Siemianowicach Śląskich, gdzie jego ojciec pracował jako górnik na kopalni „Deutschland” (od 1937 roku kopalnia nosi nazwę „Pol-

ska”). Następnie wraz z rodziną przeprowadził się do Chwałowic. Jednak ze względu na stan zdrowia oraz szykany niemieckich nauczycieli za jego patriotyczną postawę rodzina wysłała go do babci, do Bzia, gdzie w 1918 roku ukończył szkołę powszechną. W latach 1920–1921, w gorącym okresie plebiscytu i powstań śląskich, jako goniec i kolporter prasy angażował się w działalność Polskiego Komisariatu Plebiscytowego.

W 1921 roku rozpoczął naukę w Seminarium Nauczycielskim w Wągrowcu, a po przyłączeniu Górnego Śląska do Polski przeniósł się w 1923 roku do Seminarium Nauczycielskiego w Pszczynie, gdzie w roku 1925 uzyskał maturę i spełnił największe marzenie swoje i swojej rodziny – został polskim nauczycielem.

Dopiero podczas nauki w Seminarium, już jako dorosły człowiek, po raz pierwszy zetknął się z harcerstwem i harcerskim systemem wychowania dzieci i młodzieży.

Józef Pukowiec był wątłego zdrowia. Niski, z wadą kręgosłupa, ze względu na swoją ułomność wiele wycierpiał od swoich rówieśników. Dlatego harcerska idea braterstwa i wzajemnej pomocy była mu szczególnie bliska. Zaraz po ukończeniu Seminarium, jeszcze podczas wakacji w 1925 roku, pojechał na kurs zastępowych zorganizowany w Mszanie (gmina w powiecie wodzisławskim), gdzie złożył przyrzeczenie harcerskie.

Pracę zawodową rozpoczął w Szkole Podstawowej w Baranowicach (obecnie dzielnica miasta Żory), jednak już po roku przeniósł się do swoich rodzinnych Chwałowic, obejmując posadę nauczyciela w miejscowej szkole powszechnej. Jako nauczyciel zaangażował się od razu w pracę działającą w szkole IX Drużyny Harcerzy

im. Tadeusza Kościuszki. Już po kilku tygodniach swej działalności z rozkazu komendanta Hufca został jej drużynowym. W bardzo krótkim czasie Drużyna ta stała się jedną z przodujących drużyn w Hufcu rybnickim. Była w tym niewątpliwie zasługą Józefa Pukowca. Okazał się on charyzmatycznym przywódcą oraz zdolnym i pracowitym instruktorem. Był inteligentnym, wesołym, miał duże poczucie humoru. Jego nowatorskie metody wychowawcze, a także pracowitość i systematyczność, poparte wiedzą zawodową wyniesioną z Seminarium Nauczycielskiego, przynosiły znakomite wyniki w zakresie wychowania młodzieży. Z wszystkich stosowanych przez niego metod wychowawczych szczególnie miejsce zajmowała nauka śpiewu. Do repertuaru harcerskiego Józef Pukowiec wplatał pieśni ludowe, a nawet lokalne przyspiewki, znane z różnego rodzaju uroczystości. Wkrótce prowadzone przez niego zespoły harcerskie wyróżniały się swoimi umiejętnościami wokalnymi, a chwałowicka IX Drużyna Harcerzy miała nawet własny chór.

W dniu 1 kwietnia 1927 roku Komenda Chorągwi Śląskiej mianowała Józefa Pukowca komendantem Hufca Rybnik, ponieważ dotychczasowego hufcowego powołano do służby wojskowej. Pod dowództwem nowego komendanta Hufiec Rybnik szybko stał się jednym z najlepszych hufców w Chorągwi Śląskiej, a na początku lat trzydziestych uważany był przez niektórych instruktorów za najlepszy. Sam Józef Pukowiec, oprócz całorocznej pracy w Hufcu, okres wakacyjny spędzał na obozach i kursach harcerskich. W lipcu 1928 roku był oboźnym na kursie instruktorским w Ośrodku Harcerskim na Buczku w Górkach Wielkich k. Skoczowa, a w sierpniu prowadził kurs zastępo-

wych dla instruktorów Hufca rybnickiego w Skale nad Zbruczem. W kolejnym, 1929 roku, w dniach 14–23 lipca był komendantem jednego z trzech podobozów na II Narodowym Zlocie Harcerzy w Poznaniu, zaś w sierpniu uczestniczył w III Jamboree w Birkenhead w Anglii.

Nowy komendant Hufca rybnickiego zaangażował się również w podtrzymanie polskości na Śląsku Opolskim, co miało istotne znaczenie ze względu na fakt, iż powiat rybnicki był wówczas powiatem granicznym. Po podziale Śląska w 1922 roku na części polską i niemiecką, na terenie Opolszczyzny pozostającej w granicach Niemiec znalazło się ok. 600 000 rdzennych Polaków. W zlocie Hufca w Knurowie w 1928 roku, dzięki inicjatywie Józefa Pukowca, wzięły też udział drużyny ze Związku Harcerstwa Polskiego w Niemczech. Od tego czasu Józef Pukowiec kilkakrotnie wyjeżdżał w te strony, aby pomóc harcerzom z bratniej organizacji. Jesienią 1934 roku komendant Chorałgi Śląskiej wysłał go nawet z misją trwałego osiedlenia się na Śląsku Opolskim, aby wesprzeć działające tam harcerstwo. Jednak władze niemieckie stosunkowo szybko zorientowały się w umiejętnościach młodego polskiego nauczyciela i pośpiesznie wydalili go z Reichu.

W 1930 roku hm Józefa Pukowca powołano w skład Śląskiej Komendy Chorałgi, powierzając mu funkcję kierownika Wydziału Kształcenia Starszyny. Łączenie funkcji komendanta Hufca i kierownika Wydziału Komendy Chorałgi okazało się na dłuższą niemożliwe, toteż rok szkolny 1934/1935 był ostatnim, kiedy pracował w swoich rodzinnych Chwałowicach.

W lipcu 1935 roku wziął jeszcze udział w Zlocie ZHP z okazji 25-lecia harcerstwa, po czym przeprowadził się do Katowic, gdzie od roku szkolnego 1935/1936 aż do wybuchu wojny pracował jako nauczyciel w Szkole Podstawowej nr 23 im. Jana Kochanowskiego w dzielnicy Załęże.

Będąc mieszkańcem Katowic i członkiem Śląskiej Komendy Chorałgi, Józef Pukowiec szczególnie zaangażował się w działalność szkoleniową na terenie Chorałgi, organizując liczne kursy instruktorskie, głównie w Ośrodku Harcerskim w Górkach Wielkich. W 1937 roku wziął udział w zlocie skautów w Vogelenzang w Holandii, a w roku 1938 – w zjeździe starszyny harcerstwa śląskiego w Suchej Górze k. Tarnowskich Gór.

Rok 1938 na Górnym Śląsku odznaczył się już niepokojem związanym ze zbliżającym się konfliktem z hitlerowskimi Niemcami. Na zjeździe w Suchej Górze, a także później

w licznych wystąpieniach, Józef Pukowiec często ostrzegał przed nadchodzącym niebezpieczeństwem i działalnością wrogich Polsce sił na terenie Śląska. Jeszcze w tym samym roku, wraz z trzema przyjaciółmi, udał się na wędrowną rękami Wileńszczyzny, aby w spokoju przemyśleć całą sytuację i przygotować zadania harcerstwa na wypadek wojny i konspiracji.

W sierpniu 1939 roku zostali powołani do wojska zarówno komendant Chorałgi Śląskiej, jak i komendant Pogotowia Harcerzy. Obie te funkcje objął Józef Pukowiec, który nie był zmobilizowany ze względu na stan zdrowia. Oficjalnie został mianowany komendantem Chorałgi Śląskiej 26 sierpnia 1939 roku i od razu przystąpił do energicznego działania, prawie w ogóle nie opuszczając siedziby Komendy. W tym samym czasie, tajnym rozkazem Głównej Kwatery został mianowany również komendantem wojennym Śląskiej Chorałgi Harcerzy, którą to funkcję pełnił także podczas okupacji, aż do chwili aresztowania. W dniu 27 sierpnia wydał pierwszy rozkaz, utworzył harcerską służbę pomocniczą, wyznaczył kurierów, zorganizował punkty sanitarne i opatrunkowe. Dnia 31 sierpnia dokonał likwidacji archiwum Komendy Chorałgi, a kartotekę personalną przeniósł do Komendy Chorałgi w Kielcach. W dniu rozpoczęcia wojny przeniósł Komendę Chorałgi do siedziby Urzędu Wojewódzkiego, skąd łatwiej mu było kierować zadaniami harcerskimi. Niestety, we wrześniu 1939 roku Niemcy bardzo szybko zajęli Śląsk i rozpoczęli krwawe represje wobec Polaków zaangażowanych w działalność patriotyczną oraz wobec byłych powstańców śląskich i harcerzy. W tej sytuacji Józef Pukowiec, zgodnie ze swoimi przekonaniami, podjął energiczną działalność konspiracyjną. Jego mieszkanie na Załężu stało się punktem kontaktowym i miejscem tworzenia organizacji niepodległościowych. Już w październiku 1939 roku zorganizował pierwszą grupę konspiracyjną „Birkuty”, która zajmowała się tzw. małą dywersją. W tym samym czasie ustalił również zasady pracy konspiracyjnej drużyn harcerskich na Śląsku i powołał Tajną Komendę Śląskiej Chorałgi Harcerzy, którą podporządkował – z zachowaniem pewnej autonomii – powstającej na tym terenie Służbie Zwycięstwu Polski (później ZWZ i AK). Był redaktorem podziemnego pisma „Świt” oraz współredaktorem pisma „Zryw” wydawanego w rodzinnych Chwałowicach.

Był bardzo aktywny, lecz zarazem ostrożny w swoich działaniach. Przeniósł się do dzielnicy Ligota, do nowego mieszkania, gdyż na Załężu był zbyt dobrze znany i zbyt łatwo jego

działalność mogła zostać przerwana przez okupanta.

Niestety, w drugiej połowie 1940 roku niemieckiemu Gestapo udało się rozbić struktury niepodległościowe na Śląsku. W dniu 18 grudnia 1940 roku nastąpiły masowe aresztowania członków organizacji podziemnych. Jednym z aresztowanych był Józef Pukowiec, którego zatrzymano na jego konspiracyjnym mieszkaniu na terenie Ligoty, wówczas dzielnicy miasta Katowice. Po aresztowaniu został natychmiast przewieziony do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu i osadzony w bloku czternastym. Jego pobyt w obozie oświęcimskim nie trwał jednak długo. Niemcy bowiem szybko zorientowali się, jak ważną był on postacią w polskich organizacjach, dlatego już w połowie stycznia roku 1941 został przewieziony na przesłuchanie do centrali Gestapo w Berlinie. Został tam oskarżony o zamach stanu i był sądzony przez Wyższy Sąd Krajowy dla Górnego Śląska, a nie przez sąd doraźny. Następnie przetrzucano go do różnych więzień na terenie całego Śląska. W trakcie przesłuchań nie ujawnił żadnych tajemnic konspiracji, ani nie wydał żadnego ze swoich współpracowników. Po długim i niezwykle brutalnym śledztwie Józef Pukowiec został skazany przez władze okupacyjne na karę śmierci „za przygotowanie zdrady państwa”. Wyrok wykonano w dniu 14 sierpnia 1942 roku poprzez ścięcie gilotyną w więzieniu w Katowicach. Niemcy, obawiając się legendy niezłomnego Ślązaka, nie wydali ciała rodzinie, lecz wywieźli je do Oświęcimia i tam poddali kremacji.

Z całej rodziny Pukowców nie tylko Józef oddał swoje życie za ojczyznę. Jego brat Bronisław, który ukończył Uniwersytet Jagielloński i pracował na Akademii Umiejętności, brał udział w kampanii wrześniowej, a następnie uczestniczył w ruchu oporu. Aresztowany po śmierci Józefa, został przewieziony do Oświęcimia, gdzie został rozstrzelany 25 stycznia 1943 roku. Brat Alojzy natomiast jako porucznik Wojska Polskiego uczestniczył w kampanii wrześniowej. Po ucieczce z niewoli działał w konspiracji jako zastępca dowódcy katowickiego Inspektoratu SZW. Aresztowany przez Gestapo, został wywieziony do Hamburga na ciężkie roboty, gdzie zginął podczas ewakuacji obozu w przededniu zakończenia wojny. Wojnę przeżył jedynie brat Stanisław. Aresztowany 9 września 1939 roku, całą wojnę spędził w obozach koncentracyjnych. Po wyzwoleniu wrócił do rodziny, ale na skutek wycieńczenia organizmu w wyniku stosowania na nim zbrodniczych zabiegów doświadczalnych zmarł w 1948 roku.

Architekt Stanisław Niemczyk

MAREK SKWARA

W maju mija pierwsza rocznica śmierci Stanisława Niemczyka. W numerze 9/2019 „Śląska” przypomniałem fragmenty opublikowanej oryginalnie w „Architekturze” 9/96 rozmowy z nim zatytułowanej „Którzy chcą widzieć”. Odbiła się z okazji przyznania mu Honorowej Nagrody SARP 1996 za całokształt twórczości. Jak napisałem, Stanisław Niemczyk to architekt osobny, podążający swoją niezależną ścieżką twórczą od zawsze. Zaczął od technikum, które – jak mówił – sprawiło, że najpierw „otarł się o samą materię”. Potem studia na Wydziale Architektury w Krakowie, gdzie na promotora swojego dyplomu wybrał profesora-wizjonera, o którym wspominał: „Podobało mi się u (Włodzimierza) Gruszczyńskiego to, że chciał wypełnić w architekturze polskiej lukę, która pozostała w wyniku zaborów. Uważał, że trzeba odbudowywać świadomość choćby dzięki pracom teoretycznym. Nie chodziło o narodowy styl pojmowany wprost, bo to może zawsze trącić architektonicznym szowinizmem, ale o poznawanie własnej kultury, własnych możliwości, własnego rzemiosła. Gruszczyński skupiał się bardziej na regionie Podtatrze, gdzie zachowała się w nienaruszonej formie architektura lokalna. Zresztą, nam stąd, z terenu Śląska, trudniej jest rozróżnić, kto jest skąd, co jest czyje. Ludzie, którzy tu przychodzili, identyfikowali się z tym obszarem – i to nie

tylko z gospodarką, dla której się tu znaleźli, ale także z kulturą – starali się być Ślązakami, chociaż pochodzili z różnych stron świata. Moją decyzją, by wykonywać zawód praktyczny, by projektować i budować, była jednoznaczna – zebrać manatki i szukać pracy. I znalazłem ją tutaj, w Tychach, tu się zatrzymałem, jak się okazuje na dłużej.” To w Tychach podjął pracę w państwowym biurze projektów, które w tamtych czasach uniformizowało wielu, ale nie jego. Jak mówił: „W okresie pracy biurowej mogłem jedynie nie podejmować pewnych tematów, chociaż biuro stwarzało taki „komfort”; cały swój opór wobec systemu mogłem wyrazić tym, że robiłeś coś po swojemu i wpływałeś na obniżenie wydajności firmy, co bardzo nie podobało się dyrekcji. Także dobór tematów w biurze wiązał się z odsuwaniem tych, których autentycznie nie chciałem podejmować, a niezgodą na to, że narzuca mi się technologię i nie mam na to wpływu. I rzeczywiście, w jakimś stopniu projektowałem według własnych pomysłów.”

Opuszczając biuro w 1985 roku zaczął podążać swoją niezależną drogą. Powstało osiedle mieszkaniowe „Nad Jamną” w Mikołowie (1986), Szkoła Podstawowa nr 51 na katowickim Giszowcu z zespołem sportowym, którą ukończono w 2002 roku, ale jego ścieżkę wytyczały głównie kościoły. Wśród nich Kościół Św. Ducha w Tychach (1983) w którym pojawiły się

polichromie autorstwa Jerzego Nowosielskiego, o którym powiedział: „Jest to człowiek o niesłychanej wrażliwości, o wielkiej wiedzy, zarówno wyuczonej, jak i duchowej. Dyskutowaliśmy sobie o niektórych detalach, które chciałem umieścić gdzieś pod betonowym dachem, gdzie właściwie pozostaną niewidzialne dla użytkownika. Ale chciałem wiedzieć, że jest tam wlepiony kawałek jakiejś żelaznej żaby czy jaszczurki, rzecz całkiem niepotrzebna z racjonalnego punktu widzenia, gdyż nikt tego nigdy nie zobaczy, przynajmniej póki się wszystko nie zawali... On to nazywa tak bardziej po prawosławnie, że coś jest „zakryte”, coś jest tajemnicą. I tak zaczęliśmy rozmawiać o malarstwie, z którym jest podobnie. Nie wszystko musi być widać gołym okiem, te rzeczy są dla tych, którzy chcą widzieć; właściwie wszystkim jest dla tych, którzy chcą widzieć. Nowosielski opowiadał, że zna profesorów, którzy stali przed jego obrazami i patrzyli jak wół na malowane wrota. Jest to człowiek naprawdę wielkiego ducha. W jego malarstwie cenię najbardziej nie to, że się wybił i ma tzw. styl, ale bardzo mi się podoba nawiązanie, czy powrót do malarstwa i sztuki średniowiecza. W pełni identyfikuję się z tą sztuką, od pewnego czasu nawet świadomie, frapuje mnie od dawna gotyk, ale rozumiany szerzej, i właśnie ta – nie skrótowość, czy lapidarność – powiedziałbym raczej – synteza sztuki, którą reprezentuje malarstwo Nowosielskiego”. Po tyńskiej realizacji były kolejne kościoły: w Krakowie – Bożego Miłosierdzia (1994), w Czechowicach-Dziedzicach – pod wezwaniem Chrystusa Odkupiciela (1998) i inne kościoły w Tychach, Pawłowicach, Warszawie i Pszczynie, a ostatnio, realizowany od 2000 roku monumentalny zespół klasztorny oo. Franciszkanów w Tychach.

Stanisław Niemczyk był jak średniowieczny murator, mistrz spędzający mnóstwo czasu na placu budowy. To tam, na miejscu dobierał cegłę, kamień, decydował o wątkach murów, sekwencjach i detalach. Przyjrzyjmy się kilku jego fascynującym, śląskim realizacjom, które można obejrzieć, dotknąć, doświadczyć „na żywo”, bo są blisko, na wyciągnięcie ręki, w Tychach i Czechowicach-Dziedzicach. ■

fot. Marek Skwara



Kościół Św. Ducha, Tychy



Wnętrze kościoła Św. Ducha z polichromiami Jerzego Nowosielskiego, Tychy



Kościół Jezusa Chrystusa Odkupiciela, Czechowice-Dziedzice



Fragment muru ogrodzenia kościoła Jezusa Chrystusa Odkupiciela, Czechowice-Dziedzice



Zespół klasztorny oo. Franciszkanów, Tychy

– „Zmierzch to szczelina między światami – powiedział don Juan. To drzwi do nieznanego. Zamaszystym ruchem ręki wskazał skałę, na której staliśmy. – To jest równina przed tymi drzwiami. – Potem wskazał jej północną krawędź. – Tam są drzwi. Za nimi jest przepaść, a za nią nieznanie”

Carlos Castaneda *Opowieści o mocy*

Drzwi zatrzasnęły się za Leszkiem – nagle i nieoczekiwanie. Kiedy pojawiła się pierwsza w tamtym dniu o nim wiadomość – że „odszedł”, aż chciało się pytać: „Dokąd”? Do innej pracy, do nowej artystycznej roboty, może wyniósł się do innego miasta? Oczywiście swoje zrobił kontekst czasu, globalnej, pandemicznie napiętej uwagi skierowanej na sprawy powszechne i zupełnie „niepowszednie”. Takie odejście to jakby wyłom w zbiorowym scenariuszu na nadchodzące wtedy dni, taka śmierć w czasie przygotowanym na inne – tematy, reakcje, dramaty. Śmierć „cywilna”, zaskakująca i niezrozumiała, *śmierć – bez przyczyny...* poza tą jedną, fundamentalną przyczyną, jaką stanowi wpisana we wszelkie życie klauzula nagłego odejścia. Od tego zdarzenia do momentu, w którym piszę minęło kilka tygodni, czas (wtedy) terazniejszy stał się czasem przeszłym, przeszłość jest „dzisiaj”. Ten dystans daje pole emocjonalnym manewrom. Szukam więc punktu wyjścia, początku zdania, od którego można i chce się zacząć pisać:

Śmierć dokonuje błyskawicznego montażu naszego życia – Pier Paolo Pasolini (w eseju *Uwagi na temat pewnego planu-sekwencji*) najładniej, najbardziej filmowo, iluminacyjnie definiuje tę relację pomiędzy płynną materią życia i jej nagłym zastąpieniem. Życie, niczym kręcony na planie filmowym materiał, któremu dopiero śmierć, jak montaż, nadaje ostateczny kształt. Przejmująca jest finalność i nieodwracalność tej procedury, niemożność „przemontowania materiału”, zaproponowania innego szyku, alternatywnej sekwencyjności. Obrazy z życia, ich wzajemne powiązania, relacje przyczynowo – skutkowe, wypełnione role, ujęte zostały w ramy czasowe, z domknięciem tego nawiasu dat, którego pierwszym znakiem otwiera się nasza biografia. Nie jestem pewna, czy autor *Opowieści kanterberyjskich* i *Salo* był wśród ulubionych reżyserów Leszka (natomiast pewna jestem, że Castaneda jako pisarz – tak). Zakładam, że był dla niego ważny – skoro, jak wielokrotnie deklarował, starał się oglądać głównie arcydzieła... Pisząc wszelkie *Post Mortem* i spoglądając na zamknięty życiorys, przemieszczając się pamięcią pomiędzy faktami, datami, osobami, które tę biografię współtworzyły, nie obcujemy jednak z filmem (z jego zachwycającą magią czasu bezwzględnie terazniejszego, bo przecież ruchomego obrazu nie sposób pokazać ani w czasie przeszłym, ani w przyszłym). Stajemy raczej twarzą w twarz z owymi „frozen images”, ze skończonym zbiorem filmowych stop-klatek...



O Leszku Ptaszyńskim, o odchodzeniu

ANITA SKWARA

Gest prześwietlania „celuloidu” – oglądania celuloidowej taśmy filmowej pod światło i zawsze przejmujący widok tej anatomii filmu, który w określonych warunkach – jest ruchem, jest ŻYCIEM...

Konstruowanie historii, każde *in memoriam* jest próbą przybliżenia, oświetlenia tego, co zagarnięte przez cień. Procedura w swej istocie zawsze jest taka sama, tym, co różne, jest ilość i charakter materiału do zmontowania. Stoję więc zwrócona twarzą w czas przeszły i z pełną świadomością, że będzie to budowanie na zniuruchomiałych piaskach, składam to, co w biografii, o której chcę cokolwiek powiedzieć, jest dokonane, wyrażone, wiadome. A reszta, czyli większość? Oczywiście pozostanie wymiarem ukrytym.

„Reszta” – to, co sprawia, że jestem drobiną wobec bezmiaru, pozbywam się nadmiernych i zadufanych uproszczeń” (Tadeusz Sławek, *Nie bez reszty. O potrzebie niekompletności*)

Etapy, fakty, osoby...

Moja z Leszkiem znajomość to prawie cztery dekady, czas studiów – ten sam Uniwersytet (Śląski), ja i moja polonistyka, on – w miejscu wyjątkowym, jakim był Wydział Radia i Telewizji – (dziś Szkoła Filmowa im. K. Kiesłowskiego). Jakaś etiuda studencka, w której zagrałam, Leszek jako student „operatorki” był w niej autorem zdjęć. Zaraz – nie Leszek, tylko Bir-

dy – tak go niektórzy z kolegów z roku nazywali, ot kontaminacja nazwiska i tytułu powieści Whartona *Ptasiek*, która za kilka – od wtedy – lat, miała stać się kultowym filmem (Alana Parkera). Tak więc – wspólne środowisko naturalne, czyli kulturalne, spotkania, imprezy, projekcje, wydarzenia i generacyjne żeglowanie w stronę życia zawodowego. (Myślę, że w latach następnych oboje po prostu mieliśmy miłą i ciepłą świadomość wzajemnego istnienia, która momentami intensyfikowała się przy okazji zawodowych lub towarzyskich spotkań). Leszek, jak wielu absolwentów WRiTV, przeszedł przez Poltel (Telewizyjną Wytwórnę Filmową w Katowicach), w drodze do katowickiego ośrodka TVP. Pozostał tam, na Bytkowskiej, od roku 1985 do 29 marca 2020.

Tamten czas to były dobre, „tłuste” lata telewizji w Katowicach. Działo się dużo, działo się mocno artystycznie. Leszek współtworzył klimat, współorganizował przestrzeń wyobraźni. Pięknym zjawiskiem było **Studio Form Telewizyjnych** – czyli coś rodzaju „sztuki telewizyjnej”. Skład? Leszek, Jola Trela-Ptaszyńska, Adam Sikora, Tomasz Dobrowolski, Adam Łukaszek. Spoza środowiska telewizyjnego – Katarzyna Sobańska, Piotr Szmítke i Jacek Januszyk. Świetne i znane dzisiaj nazwiska... Kilka dziesiąt wspólnych realizacji, bardzo różnych, wychylonych w rozmaite obszary artystycznej ekspresji – ostatnie, ważne prace zespołowe to na pewno Teatr Telewizji

3 razy *Fredro. Świeczka zgasła*” w reżyserii Jerzego Stuhra, oraz *Imperium* (reżyseria Robert Talarczyk). Leszek był autorem obu telewizyjnych realizacji.

Co z tych 35 lat pracy należałoby przywołać, przypomnieć? To oczywiście, że było ich w dorobku zawodowym Leszka setki – programów, audycji, widowisk, spektakli, a także filmów – od jednonominówek pokaziwanych w latach 80. na sosnowieckim festiwalu Mini-Max, po późniejsze, krótko i średniometrażowe widowiska filmowe, którymi Leszek dokumentował swoje pasje. A propos pasji – był kimś w rodzaju „kolekcjonera obrazów”. Obrazów wszelakich, o różnym statusie, genotypie, naturze i charakterze, tych kontemplowanych, wieszanych na ścianach, oglądanych na ekranach i samodzielnie tworzonych. Jako realizator obrazu telewizyjnego, reżyser telewizyjny rzeźbił przecież w pokrewnym tworzyw. Jego emocjonalne powinowactwo z malarstwem ujawniło się najpiękniej w tych widowiskach, w których eksplorał materię sztuki malarskiej i metafizykę jej kreacji. Filmy o malarzach, obraz telewizyjny jako narzędzie opisu płaszczyzny „płótna” malarskiego. Twórcy, artyści malarze w przestrzeniach swojej sztuki... Piotr Szmítke – *Hodowca Symulaków* (jak brzmi tytuł filmu Leszka), artysta topografią twórczości dorównujący Witkacemu, Henryk Waniek (*Henryk Waniek. Portret hermetyczny*), Andrzej Urbanowicz – przyjaciel, Nauczyciel, inspirator. Roman Maciuszkiewicz, Marek Kamiński, Pałka, Przybyła, i po raz kolejny Piotr Szmítke – ich portrety w cyklu *Pracownia*. Znakomite, rozpisane na 5 utworów intymne studium relacji pomiędzy twórcą i dziełem. W lutym ubiegłego roku rozmawiałam o tym z Leszkiem i bohaterami *Pracowni* na spotkaniu autorskim w katowickiej księgarni „Miejscownik”. Było iluminacyjnie.

Oczywiście jego, Leszka, żywiołem był także teatr. Ta pasja realizowała się w wyrefinowanej procedurze translacji widowiska teatralnego na język teatru telewizji. Reżyserzy teatralni, aktorzy znajdowali w nim czulego i wrażliwego partnera. Są w jego dorobku tytuły, które niczym hasła wywoławcze uruchamiają lawinę skojarzeń: na przykład *Piąta strona świata* – ta porywająca sceniczna adaptacja Kutrowskiego opisu naszej śląskiej Planety Osobnej, wyreżyserowana w Teatrze Śląskim przez Roberta Talarczyka. Telewizyjna realizacja autorstwa Leszka jest przykładem znakomitego rzemiosła, stanu artystycznego skupienia i koncentracji na odnajdywaniu ekranowych ekwiwalentów tego, co sceniczne. Cenna i piękna nagroda, jaką za *Piątą stronę świata* otrzymał (razem z Robertem Talarczykiem) w 2014 na sopockim festiwalu „Dwa Teatry” miała w uzasadnieniu wskazany wizjonerski charakter telewizyjnego spektaklu.

Finalny, jak się okazało, projekt, który Leszek współtworzył (z Marianną Dufek i Adamem Łukaszkim) miał także rodo-

wód teatralny. *Tristan i Izolda* z Teatru Białaluka, realizowany w ramach cyklu „Internetowy Teatr TVP dla Szkół”, był ostatnią pracą telewizyjną autorstwa Leszka Ptaszyńskiego.

29 marca rano pojechał, jak zwykle, do studia. Po raz ostatni.

Do czego możemy mieć, pisząc o kimś kto ostatecznie odszedł, dostęp? Do rekonstrukcji faktów, zdarzeń, do połączenia wielu spojrzeń na czyjeś życie – teraz komentowane z perspektywy śmierci. Narratorami opowieści zawsze jest zbiorowość tych, którzy ten czas przeszły współtworzyli: fuzja „ustawień kamery” w różnych lokacjach, widzenia subiektywnego... *Nie do pojęcia jest, aby można było „widzieć i słyszeć” rzeczywistość w chwili jej działania, a ten punkt jest zawsze przypisany do podmiotu, który widzi i słyszy.*

Parafrazując tę uwagę Pasoliniego – nie do pojęcia jest, aby można było widzieć i słyszeć OSOBE w chwili kontaktu z nią z więcej niż z jednego punktu widzenia...

Punkty widzenia...

Roman Maciuszkiewicz:

W pierwszym odruchu na wiadomość o śmierci Leszka napisałem na FB, że odszedł przyjaciel artystów i Artysta. Leszek, co nie ulega wątpliwości, z pewnością nie tylko dla mnie, był w pełni świadomym artystą; świadomym możliwością kreacyjnych sztuki i jej siły sprawczej. Jak na świadomego twórcę, kreatora przystało – co, mam nadzieję nie brzmi zbyt górnolotnie – czerpał pełnymi garściami z malarstwa, filmu i literatury; był ze sztuką, w jej najszerszym rozumieniu, za pan brat. Świetnie rozumiał ideę obrazu – nośnika idei, treści, ale także obrazu w znaczeniu ontologicznym. I co najważniejsze, w moim przekonaniu, potrafił obrazami mówić o obrazach.

Robert Talarczyk:

Leszek nosił w sobie ogromną empatię wobec innych, był niebawale delikatny i wrażliwy. Uwielbiałem z nim pracować, bo miał gigantyczne doświadczenie i równocześnie był otwarty na nowe rozwiązania. Zrobiliśmy wspólnie dla Teatru Telewizji kilka spektakli, które były dla mnie kamieniami milowymi na mojej artystycznej drodze. Za jeden z nich odbieraliśmy wspólnie nagrodę na festiwalu Dwa Teatry w 2014 roku... inne również były nagradzane, ale tak naprawdę zupełnie nie o to chodziło w naszej współpracy. Szło przede wszystkim o pewne porozumienie dusz... Kiedy zaczynaliśmy współpracę on miał na koncie kilkadziesiąt realizacji telewizyjnych, a ja debiutowałem w tej trudnej sztuce. Leszek traktował mnie jak równorzędnego partnera, a nie uczniaka, którego trzeba prowadzić za rękę. Trudno mówić „był” o kimś, z kim miało się tak wiele planów na przyszłość. Leszek wciąż „jest” w moim sercu i zawsze „będzie”, bo jego empatia, mądrość i artyzm zawsze będą mi towarzyszyć w moim artystycznym życiu jako niedościgniony wzór w świecie, gdzie liczą się powierzchowne „przyjaźnie”, a efekt finalny jest najważniejszy. Zapamiętam przede wszystkim nasze rozmowy. O wszystkim. O sztuce również. ale przede wszystkim o tak zwanym życiu. A nikt tak jak Leszek nie potrafił słuchać. Bardzo mi go brakuje w świecie, gdzie królują monologi, a nie dialog.

Adam Łukaszek:

Trudno w kilku zdaniach streścić przeszło 30-letnią przyjaźń i współpracę w telewizji. Nie dociera do mnie świadomość, że Leszka już nie ma i nie zrobimy razem nowych filmów i teatrów.

Zawodowo spotkałem się z nim w Teatrze Katowice w 1990 r., gdy zacząłem pracę jako kierownik produkcji, a Leszek był realizatorem obrazu telewizyjnego.



fol. Krzysztof Lisink

„Piąta strona Świata” Kazimierza Kutza w reżyserii Roberta Talarczyka, Teatr Śląski, realizacja telewizyjna Leszka Ptaszyńskiego

Ceniłem go i podziwiałem za kreatywność, niezwykłą wrażliwość i szeroką wiedzę humanistyczną, które przekładały się na jego pomysły realizacyjne.

Miał specyficzny wewnętrzny spokój, co pozwalało mu zachować szczególnie dystans w pracy realizatora obrazu. Ten dystans pozwalał mu na szersze spojrzenie, z którego rodziła się kreatywność i bezcenna umiejętność improwizacji. Był świetnym kompanem w telewizyjnych eskapadach i dużą towarzystwa na przyjacielskich spotkaniach. Szeroko interesował się filozofią, był koneserem współczesnej sztuki, literatury, muzyki i teatru, również alternatywnego. Był „pięknym duchem”. Nie ma go już, ale efekty jego pracy pozostaną.

A teraz Leszek po prostu wyjechał na kolejną transmisię i za chwilę pojawi się w studio i poda komendę „UWAGA, ZAPIS, AKCJA!”.

Katarzyna Sobańska:

Kiedy dotyka nas taka nieobecność, trudno w kilku słowach zamknąć pamięć i obrazy wcześniejszej obecności.

Najprościej będzie powiedzieć że miałam szczęście spotkać Leszka. Należał do tych, z którymi spotkanie zostawia ślad – pozytywny, ważny ślad. I nieistotne, że nasze kontakty były z czasem sporadyczne. Ja opuściłam Śląsk – Leszek został. Mogę powiedzieć, że zapamiętam go jako jednego z moich nauczycieli, gdy jako początkująca artystka, nieopierzony scenograf stałam się częścią Studia Form TV.

To, co pamiętam najbardziej, to jak próbowałam dogonić jego wszechstronną wiedzę humanistyczną, intelektualne zabawy – odczytanie i analityczną przenikliwość. Obdarował mnie hojnie. Na przykład opowieściami mistrzów filozofii buddyjskiej, muzyką z filmu „Arizona Dream”, przyjacielską poradą, której sens do dzisiaj noszę w sercu. Kiedyś powiedział: „Kasiu, ty nie będziesz mogła pracować bez emocjonalnego zaangażowania...” i to się spełniło. Gdy spotkał się latem 2019 roku przy realizacji Teatru TV było jak dawniej i tylko te kilka zmarszczek tu i tam... i mnóstwo realizacji. A to wspomnienie, które piszę, jest możliwością spotkania – z zawsze uśmiechniętym, lekko drwiącym mistrzem intelektualnych szarad – jakby stał tu, obok mnie...

Jolanta Trela Ptaszyńska

W wieku dwudziestu lat Leszek przeczytał Ulissesa Jamesa Joyce’a i to okazało się znaczące. Odyseusz to imię greckie, które znaczy: ten który wywołał gniew. Ulisses, łacińska wersja tego imienia, znaczy: sprytny, przebiegły. A imię Leszek? To staropolskie imię znaczy również: sprytny, przebiegły. Analogie nasuwają się same. Czytamy u Joyce’a Jestem artysta, który korzysta z niewidzialności.

Portret artysty z czasów młodości pokazuje Leszka jako twórcę wierszy haiku:

*Prawda, że ładnie dzisiaj –
mówię – a one milczą
siedem wróbli*

Jako twórca Leszek bardzo długo pozostawał dla świata niewidzialny. Fascynacja literaturą zaowocowała wierszami haiku. Fascynacja chińskim malarstwem tuszem zaowocowała szkicami tuszem. Fascynacja kinem zaowocowała twórczością telewizyjno-filmową. Fascynacja życiem zaowocowała wieloletnią wędrówką w poszukiwaniu piękna, dobra i prawdy. Czyżby Leszek, jak Odyseusz, wywołał gniew bogów i dlatego jego wędrówka była tak długa, jak zaleca poeta grecki Kafkis w słynnym wierszu *Itaka* (w przekładzie Antoniego Libery):

Itaka

*Jeżeli do Itaki wybierasz się w podróż,
niech będzie to podróż długa,
pełna przygód i nauk.*

*Lestrygonów, Cyklopów, gniewnego
Posejdona*

*nie musisz się obawiać.
Jeżeli będziesz myślał szybko i wysoko,
a umysł twój i ciało będą ciągle zdolne
do wznuszeń nieprzeciętnych,
nikt z nich ci nie zagrozi.*

*Jeśli nie masz ich w sobie i sam ich nie
wskrzesisz,*

*Lestrygonów, Cyklopów, gniewnego
Posejdona*

nie spotkasz na swej drodze.

*Niech będzie to podróż długa.
Obyś o letnim brzasku
– urzeczony, szczęśliwy –
wiele razy zawijał do nieznanych portów;
i bywał u Fenicjan w ich handlowych
stacjach,*

*i kupował tam od nich drogocenne rzeczy:
perły, koral i bursztyn, i drewno z hebanu,
i wszelkiego rodzaju pachnące olejki,
podniecające pachnidła, ile tylko zechcesz;
i odwiedził niejedno z wielu miast*

*egipskich
i uczył się tam od tych, co posiadli wiedzę.*

*Bylebyś nie zapomniał nigdy o Itace,
o twoim przeznaczeniu – masz do niej
dopłynąć.*

*Lecz nie śpiesz się w podróż.
Niech trwa długo – latami.
Lepiej byś był już stary, gdy dotrzesz
do wyspy,*

*i na tyle zasobny w dobra tego świata,
by już nie oczekiwać od Itaki bogactw.*

*Itaka dała ci upajającą podróż.
Nie wyruszyłbyś w drogę, gdyby jej
nie było.*

Cóż więcej miałaby dać?

*I gdyby była biedna, nie oszukała cię.
Zdobyłeś przez nią mądrość i ogrom
doświadczeń,
a wraz z nimi świadomość, co znaczy –
Itaka.*

Dla Leszka wojownika, filozofa i twórcy w życiu najważniejsza była wolna wola i kreacja rzeczywistości. Nie miały znaczenia dobra materialne, tylko poziom osobistej energii. Od niej zależy bowiem jakość podróży realnych i wirtualnych, kontemplacja życia i sztuki, spectrum wrażliwości, poziom twórczości i intensywność doznań. O tym mówi ulubiony palindrom Leszka:

Ma moc oto co mam.

Post Scriptum

Dopóki nie umrę, nikt nie może być pewien, że zna mnie naprawdę, to znaczy, że może nadać sens mojemu działaniu... Tylko dzięki śmierci nasze życie pozwala nam się wyrazić.

(Pier Paolo Pasolini) ■



„Piąta strona Świata” Kazimierza Kutza w reżyserii Roberta Talarczyka, Teatr Śląski, realizacja telewizyjna Leszek Ptaszyński



Mieczysława Wiktorii Mitera-Dobrowolska

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

Była ładną kobietą, pełną wdzięku do ostatnich lat życia, z niewymuszoną godnością, z zakłopotaniem, gdy ktoś zachowywał się niewłaściwie, w kostiumach lub garsonkach, rzadziej sukienkach, zawsze z dodatkami, była w niej godność autentyczna, kultura i takt. Wysoki etos społecznikowski, naturalny u inteligencji w tamtym czasie, wyniosła z domu rodzinnego, z tego też wynikało traktowanie zawodu nauczycielskiego jako powołania.

Studenci ją lubili, mówili o niej „Miecia”. Wzorem profesorów krakowskich seminarium na ostatnim roku studiów prowadziła u siebie w mieszkaniu przy ul. Mariackiej w Katowicach. Piękne, wysokie pokoje pełne były starych mebli, obrazów, eleganckich bibelotów i wszechobecnych książek. Bywali też u niej doktoranci, współpracownicy, goście przyjeżdżający z wykładami na zaproszenie Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza. Czuli klimat tego domu wszyscy, którzy przekroczyli jego próg.

Była córką nauczycieli społeczników, Walerii z Hnatowiczów z Saska i Adolfa Mitera z Bochni, re-

alizujących charyzmat małopolskiej inteligencji nie tylko przez rzetelne wypełnianie swych obowiązków, ale także przez organizowanie różnorodnych kursów dokształcających i dbanie o wszechstronny rozwój wiejskiej młodzieży. Urodziła się w Skołyszynie **1 stycznia 1900** roku jako piąte dziecko, miała czterech braci i dwie siostry: Stanisława Wawrzyńca (1890), Jadwigę Zofię (1893), Julię Helenę (1895), Kazimierza Wojciecha (1897), Zygmunta Antoniego (1903) i Tadeusza Marka (1905). Dla nich wszystkich ów pełen zieleni podkarpacki Skołyszyn nad rzeką Ropą był krainą lat dzieciństwa zgodną z toposem.

Wszystkie dzieci kształciły się na wyższych uczelniach, wszystkie stały się na swój sposób wybitne i przekroczyły próg przeciętności, oprócz domu rodzinnego w wysokim stopniu formowało je harcerstwo. Rodzina w roku 1906 przeprowadziła się do Krakowa i zamieszkała w długim parterowym domu z ogrodem na Podgórzu, przy ul. Łagiewnickiej (później Zamoyskiego). Teraz Kraków wpływał na kształt życia młodych Miterów i określał ich

aspiracje życiowe, niestety szybko dotknęła ich pierwsza tragedia rodzinna – w roku 1915, brat Stanisław, utalentowany humanista, specjalista od *Kazań Sejmowych* ks. Piotra Skargi, nauczyciel i harcerz poległ w roku 1915 w bitwie pod Kostiuchnówką.

Mieczysława Wiktorii najpierw ukończyła Państwowe Żeńskie Seminarium Nauczycielskie w Krakowie, zdając egzamin dojrzałości w roku 1919, jednak chcąc studiować w wyższej uczelni musiała uzyskać gimnazjalną maturę, którą zdobyła eksternistycznie jesienią 1920 roku. W latach 1916–18 uczestniczyła w pracach tajnego Związku Filareckiego, organizacji o charakterze patriotyczno-społecznym, inspirowanej twórczością Stanisława Wyspiańskiego. Studia w Uniwersytecie Jagiellońskim podjęła w 1920, a działalność w pracach Kół Etycznych Chrześcijańskiego Związku Akademickiego pogłębiła jej formację duchową. Poznanie prof. Ignacego Chrzanowskiego (wtedy jeszcze nie wiedziała, że na jego ręce będzie w przyszłości składała ślubowanie doktorskie), a następnie prof. Sta-

nisiława Kota, było decydujące dla jej dalszych zainteresowań badawczych. Studia ukończyła w roku 1925, absolutorium uzyskała w 1926, rok później otrzymała tytuł doktora filozofii na podstawie dysertacji *Działalność pedagogiczna księcia Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich* napisanej pod kierunkiem Stanisława Kota, do której kwerendę prowadziła w Paryżu. Poznała wtedy wybitnych przedstawicieli świata artystycznego związanych z tzw. Komitetem Paryskim: Józefa Czapskiego i Zygmunta Waliszewskiego, przyjaciół jej brata – Kazimierza, zapalonego organizatora życia artystycznego w Polsce, powędrowała też śladami autora *Ody do młodości* od Paryża aż do Lozanny. Również w roku 1927 złożyła przed Państwową Komisją Egzaminacyjną egzamin kwalifikacyjny dla nauczycieli szkół średnich.

Jej rozprawa doktorska ukazała się nakładem Naukowego Towarzystwa Pedagogicznego (Warszawa-Lwów) w roku 1931 i otrzymała bardzo dobrą recenzję gen. Mariana Kukiela, nie tylko wojskowego, ale też wybitnego historyka, szczególnie jeżeli chodzi o epokę napoleońską, pisał też o niej Karol Ludwik Koniński, świetny krytyk literacki, zwracając uwagę na dobiegłość i rzetelność autorki.

Już od uzyskania absolutorium Mieczysława Wiktoria pracowała w Seminarium Żeńskim w Rzeszowie, a po zdaniu w roku 1928 egzaminów kwalifikacyjnych uprawniających do nauczania w szkołach średnich zdecydowała, by związać się ze szkolnictwem. W roku 1928 w pełni świadoma skutków swej decyzji, zdecydowała się na pracę w Katowicach, które po raz pierwszy zobaczyła w roku 1927 podczas wycieczki na Śląsk.

Po przyłączeniu części Górnego Śląska do Polski w roku 1922, zaczęło się tutaj dynamicznie rozwijać polskie szkolnictwo, choć warunki były wyjątkowo trudne, pojawiły się dość szybko pierwsze placówki życia kulturalnego oraz umysłowego i zaczęła napływać inteligencja, głównie z Małopolski. Wielu nauczycieli, podobnie jak i pisarzy, przyjechało w wyniku świadomej patriotycznej decyzji jeszcze w okresie powstań i plebiscytu z poczuciem misji i pragnieniem, by wspierać Ślązaków w walce, a potem budować polskie życie. Nieco później, już w województwie śląskim, znalazła się też grupa osób, która przybyła ze względów losowych, albo z myślą o poprawieniu sytuacji materialnej. Na przykład Zofia Kossak po utracie domu rodzinnego na Wołyniu osiedliła się w Górkach Wielkich koło Skoczowa, a filolog klasyczny Wincenty Ogrodziński przyjechał z Krako-

wa, by objąć stanowisko wizytatora szkół średnich i swoje zainteresowania zaczął przeszcześcić na grunt śląski, zakładając w 1927 roku Koło Śląskie Polskiego Towarzystwa Filologicznego skupiające filologów klasycznych.

Jeszcze więcej inteligencji przyjechało po roku 1925, gdy stanowisko wojewody objął dr Michał Grażyński, który powołał do życia znaczące instytucje i stworzył dogodny klimat dla rozwoju kultury. Wystarczy przypomnieć kilka nazwisk: w 1925 przybył tu Alfred Jesionowski, w 1926 Halina Kraheńska, w 1927 Helena Moskwianka (Fikowa), w 1926 Julian Przyboś i Kazimierz Gołba, w 1928 przyjechał Michał Assanka-Jappo!, jeszcze nieco później Ignacy Fik, Emil Zegadłowicz, Zdzisław Hierowski, Jan K. Zaręba. Wraz z miejscowymi literatami, twórcami kultury i nauczycielami mieli teraz tworzyć wspólne środowisko. Tylko Gołba podawał jako przyczynę przyjazdu do Katowic względny ideał. Pozostałych przyciągnęły być może lepsze warunki życia, np. 40% dodatek kresowy.

Mieczysława Miterzanka, podobnie jak Kazimierz Gołba, przybyła z pobudek patriotycznych, wiedząc, że praca tu nie będzie łatwa i że dla młodej nauczycielki z aspiracjami naukowymi będzie wyzwaniem. Odtąd życie swe dzieliła między Kraków i Katowice i tak już zostało na zawsze. Podjęła pracę w Miejskim Gimnazjum i Liceum Żeńskim przy Placu Wolności, gdzie nauczała języka polskiego i propeutyki filozofii. To była bardzo dobra szkoła, z nieprzeciętnym gronem pedagogicznym i chłonną wiedzą, choć bardzo zróżnicowaną młodzieżą, zarówno jak idzie o pochodzenie socjalne, świadomość narodową, jak i poziom ogólny. Zawsze z szacunkiem wspominała dyr. Irenę Wojciechowską i grono pedagogiczne, np. nieprzeciętną germanistkę – Stefanę Mazurek, pierwszą Górnoślączkę, która na UJ zdobyła tytuł doktora nauk humanistycznych (w 1932 r.), często przywoływała piękną postać nauczycielki fizyki i chemii, Janiny Klattówny (1900–1943), która w czasie wojny pracowała jako pomoc apteczna w katowickim rynku; zaangażowana w akcję pomocy dla obozu oświęcimskiego w nielegalnym dostarczaniu leków, po brutalnym śledztwie sama zginęła w Auschwitzu 23 marca 1943 roku. Przyjaźń z drugą polonistką Bronisławą Marią Chrzanowską trwała do końca jej życia, pożegnała przyjaciółkę wzruszającym epitafium w *Opowieści o szkole przy Placu Wolności*. Dr Miterzanka stała się znana w całym województwie i szanowana, wrastała w środowisko i ludzi, zawierała pięk-

ne i wierne przyjaźnie np. z rodziną Sołtysów, Przybyłów, z Heleną Spoczyńską, czy Czesławą Niemyską-Rączaszkową. W zróżnicowanych poziomach klasach, zdecydowanie miała więcej wyrozumiałości dla uczniów ze śląskimi korzeniami, niż dla rodaków z Małopolski.

Dydaktycznie musiała mieć istotnie spore osiągnięcia skoro od roku 1932 władze oświatowe powierzyły jej kierownictwo Ogniska Metodycznego Języka Polskiego dla nauczycieli, które z przerwą okupacyjną prowadziła do późnych lat czterdziestych. Tutaj też odbywały się lekcje pokazowe dla polonistów z całego kraju z Władysławem Szyszrowskim na czele. Tworzyła nowoczesną dydaktykę polonistyczną, co również odbijało się w jej publikacjach z tamtego okresu. Wyprowadzała też swoje uczennice w szeroki świat, zarówno śladami Adama Mickiewicza do Wilna, jak i do Paryża. Jak wielu ówczesnych polonistów *Pana Tadeusza* znała na pamięć i z tą lekturą nie było żartów.

Swoisty „optymizm pedagogiczny” zawdzięczała prof. Ignacemu Chrzanoskiemu, który kazał widzieć ucznia nie tylko w chwili obecnej, lecz odgadywać jego przyszłe możliwości i rozwój.

Własnej aktywności nie ograniczała jednak tylko do szkoły, gdyż jednocześnie należała do Towarzystwa Przyjaciół Teatru Polskiego na Śląsku i brała udział w życiu kulturalnym regionu, cały czas publikując rozprawy z zakresu dydaktyki polonistycznej i nie zrywając więzi z Krakowem. W roku 1937 r. otrzymała srebrny Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury obok Stanisława Ligionia, F. Koraszewskiej, Jana Przybyły i innych.

W roku 1938, gdy zniesiono celibat nauczycielski w województwie śląskim, wyszła za mąż za Tadeusza Jakuba Dobrowolskiego, chemika, nauczyciela z Gimnazjum Matematyczno-Przyrodniczego im. Mikołaja Kopernika w Katowicach, wykładowcę chemii w katowickim Instytucie Pedagogicznym i miłośnika teatru. I choć w roku 1936 zmarł kolejny brat Mieczysławy Wiktorii, utalentowany malarz Kazimierz, to wreszcie zaczęło się wydawać, że życie się ułoży i popłynie pięknie i harmonijnie, ale historia przyniosła inny scenariusz.

Po wybuchu wojny państwo Dobrowolscy musieli opuścić Katowice i zamieszkali w domu rodzinnym Miterów na krakowskim Podgórzu, jednak od roku 1941 Tadeusz Jakub Dobrowolski musiał ukrywać się w Kielecczyźnie, bo zaczęło się nim interesować gestapo, więc większość okupacji przeżyli z dala od siebie. Dworek stał na uboczu wśród wysokich drzew i okazał się schronieniem dla wielu

śląskich uciekinierów, wśród nich był także znany historyk Kazimierz Popiołek i inni o których jeszcze przyjdzie napisać. Podjęli oni wspólną działalność społeczną, zorganizowali stołówkę dla śląskich nauczycieli, starali się o zapomogi dla nich, pomagali znaleźć pracę i mieszkanie, zdobyć odpowiednie dokumenty.

Mieczysława Wiktoria (jej dwa „walczone” imiona teraz miały się sprawdzić w sensie dosłownym) od początku zaangażowała się w konspirację, przede wszystkim weszła w skład Tajnego Kuratorium Szkolnego, w którym zorganizowała Sekcję Śląską, gdzie w pierwszych miesiącach okupacji opracowywano „systemem daltońskim” materiały do nauczania polegającego na indywidualnej pracy uczniów według zdalnie kierowanych przez nauczyciela instrukcji (tzw. przydziałów) wraz ze wskazówkami bibliograficznymi i metodycznymi. Tak uczono języka polskiego, historii, języka francuskiego, fizyki i chemii, co przydało się zwłaszcza przyszłym maturzystom.

Te „lekcje” docierały do śląskiej młodzieży już od października 1939. Było to trudne, nowatorskie przedsięwzięcie. Oprócz tego z polecenia władz oświatowych „Miecicia” wizytowała tajne nauczanie w dystrykcie krakowskim, uczestniczyła w maturach, a pod koniec okupacji przygotowywała program dla tajnych liceów pedagogicznych dla Ziem Zachodnich i kadry przyszłych przedszkolańek. Niezależnie od tego współpracowała z Radą Główną Opiekuńczą.

Jak już wspominalo, w domu na Podgórzu przebywali okresowo zbierawcy ze Śląska. Wśród nich Miłosz Sołtys, dowódca batalionu harcerskiego w III powstaniu śląskim i wizytator szkół w Wydziale Oświecenia Publicznego Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach. Na Podgórzu schronił się wraz z żoną też poseł na Sejm Śląski, Jan Przybyła, od pierwszego dnia wojny poszukiwany przez gestapo. Wyrabiono mu nowe dokumenty tożsamości i występował jak Jan Miodowicz ze Lwowa. Oficjalnie był pracownikiem RGO. Niestety Niemcy wpadli na jego trop i 11 czerwca 1942 roku znalazł się w Auschwitzu, gdzie 11 sierpnia 1942 roku stracono go w komórce gazowej.

Badaczka Komisji Edukacji Narodowej została aresztowana 27 XI 1941 właśnie wówczas, gdy gestapo, przyszło po Przybyłowa, ale Jana ukrytego w ostatnim pokoju nie znaleziono, aresztowano jego żonę, Martę i siostrę Mieczysławy – Helenę. Na szczęście pieczętki do produkcji „lewych” dokumentów nie znaleziono, bo prze-myślnie ukryta była w łazience, w nodze wanny. Jednak „Frau Doktor” została zatrzymana w więzieniu poli-

cyjnym w Domu Zakonnym Sióstr Miłosierdzia przy ul. Helclów 2. Ponieważ znakomicie władała językiem niemieckim została komendantką celi 32, szacunkiem darzyły ją nie tylko współwięźniarki, ale także władze więzienia. Dzięki hrabinie Marii Małgorzacie z Radziwiłłów Potockiej, której wnuczka kształciła podczas okupacji, 5 kwietnia 1942 wydobyto ją z więzienia, ale na Podgórzu trwały rewizje i dom przestał być bezpieczny. Chodziło też o zapewnienie spokoju sędziwej matce, która pozostała tam wraz córką Heleną, więc Mieczysława Wiktoria przeniosła się do niezbyt odległego Szczucina, do siostry Jadwigi, a gdy wróciła wynajęła mieszkanie przy ul. Zygmunta Augusta 5 i tam doczekała wolności.

Dworek Miterów doprowadzony po zakończeniu wojny do porządku miał wówczas już niewielką liczbę mieszkańców. Została w nim starsza Pani Waleria Miterowa oraz córki, Jadwiga i Helena. Syn Tadeusz, wybitny działacz harcerski podjął pracę w Chrzanowie, o drugim synu, Zygmuncie Antonim, genialnym geofizyku, któremu wrócono nagrodę Nobla, jedy-nym Polaku, który uzyskał stypendium Rockefellera w USA, na razie niczego pewnego nie wiadomo, tylko tyle, że był w obozie w Starobielsku.

Mieczysława i Tadeusz Dobrowolscy zdecydowali się na powrót do Katowic. Po wojnie dr Mitera-Dobrowolska pracowała naprzód (1945/46) w Państwowym Pedagogium, potem zaangażowana była w Wyższym Kursie Nauczycielskim, wreszcie w Instytucie Pedagogicznym w Katowicach.

Wtedy też zebrała „*documenta occupationis teutonicae*”, około 1500 wypowiedzi młodzieży uczniowskiej opracowanych w formie ankiety zatytułowanej: *Moje (najsilniejsze) przeżycia z czasów okupacji*, które do szkół średnich i starszych klas szkół podstawowych rozesłał katowicki Instytut Śląski dzięki wicedyrektorowi Kazimierzowi Popiołkowi. Ze względów osobistych autorka włączyła wspomnienia o Ołdzie Kamińskiej-Prokopowej i Stanisławie Sołtysie, jednak na druk tych materiałów przyszło jej bardzo długo czekać, bo aż do roku 1984.

W roku 1950 powstała w Katowicach Wyższa Szkoła Pedagogiczna w której otwarto Wydział Filologiczno-Historyczny, z którym teraz związała swój los, a w roku 1958 objęła prowadzenie Zakładu Metodyki Literatury i Języka Polskiego, rok później przekształconego w Katedrę, kontynuowała to następnie w Uniwersytecie Śląskim aż do przejścia na emeryturę. Miała bardzo nowatorską wizję dydaktyki polonistycznej wzbogaconej o wiedzę z historii sztuki, teatrologii nawet krajoznawstwa.

W roku 1959 została docentem, a recenzentami jej dorobku byli uczeni z „najwyższej półki”: Stanisław Pigoń, Henryk Barycz, Łukasz Kurdybacha, Władysław Szyszkowski, Józef Pieter, Ignacy Zarębski. Profesor Pigoń w swej niezrównanej stylistyce napisał: „W ogóle trzeba powiedzieć, mając na uwadze całość dorobku autorki, że rozległość i gruntowność jej uzbrojenia naukowego, sprawność w analizie i ocenie badanego materiału, że dar bystrej inwencji w problematyce, pojemność zainteresowań wyróżniają dodatnio jej osiągnięcia. Osobno zaznaczyć trzeba rys nie nazbyt częsty, ekonomię jej wywodów, rzeczywistość i zwięzłość argumentacji, unikanie rozległego wielosłownia i pustej frazeologii, jest to autorka oszczędna w wyrazie”.

Lata następne w jej życiu to był okres najintensywniejszej pracy naukowej. Od 1960 była członkiem Komisji Historycznoliterackiej PAN w Krakowie oraz Komisji Pedagogicznej PAN w Krakowie. Od młodości związana z Towarzystwem Literackim im. Adama Mickiewicza w latach 1960–73 była prezesem Oddziału katowickiego. W roku 1986 otrzymała Medal Stulecia Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza i było to jedno z najpiękniejszych wyróżnień.

Zajmowała się przede wszystkim dziejami oświaty oraz dydaktyką nauczania literatury i osiągnęła w tym zakresie pozycję wybitną. Gdzieś na obrzeżach jej głównych zainteresowań pojawiała się również dziecko lub dojrzewający młody człowiek, czy to jako odbiorca, podmiot procesów edukacyjnych, w końcu jako bohater literacki. Z podobnego zakresu prowadziła wykłady i seminaria. Najbardziej interesowało ją pogranicze literaturoznawstwa i dydaktyki. Z tego zakresu wypromowała ponad 300 magistrów i 11 doktorów, z których troje osiągnęło tytuły profesorskie: Maria Dudzikowa, Mieczysław Łojek i Jan Polakowski. Jej wykłady, spokojne, bogate merytorycznie, rzetelne, by powtórzyć za Pigionem, „oszczędne w wyrazie” nie urzekały słuchaczy, choć zmuszały do uwagi. Zupełnie inne były seminaria, podczas których wchodziła w bliski, czasem nawet serdeczny kontakt ze studentami. Jako jedyna w roku 1956 wsparła pokaźnym datkiem studentów kwestujących na walczące Węgry.

W 1966 ukazała się jej naprawdę ważna książka o *Komisji Edukacji Narodowej 1773–1794. Pierwszym urzędzie wychowania w Polsce* – rzetelna i nowatorska stała się punktem odniesienia dla wszystkich przyszłych badaczy KEN. Wznowiona została we współpracy z Łukaszem Kurdybachą w roku 1973 dzięki uporowi autorki

(współautor w międzyczasie zmarł) miała na okładce orła w koronie, którego druk kwestionowała cenzura. Kolejny tom, komplementarny do omawianego, *Protokoły posiedzeń Komisji Edukacji Narodowej 1773–1785* opracowane z rękopisów były świadectwem niezwyklej rzetelności i wielkiej erudycji doc. Mieczysławy Dobrowolskiej, a trud przygotowania ich do druku był prawdziwie benedyktyński.

Wybitnym osiągnięciem naukowym była jeszcze inna pozycja książkowa o *Historii wychowania* pod redakcją Łukasza Kurdybachi (1968), w której opracowała pięć dużych rozdziałów. Nic więc dziwnego, że poprosiła ją o współpracę Pracownia Dziejów Oświaty PAN w Warszawie, a od roku 1967 stała się członkiem Rady Naukowej Pracowni.

W drugim nurcie swych zainteresowań również miała niebanalne dokonania. Młodzieńcza jeszcze fascynacja Kościuszką znalazła odbicie w rozprawie pt. *Echa legendy kościuszkowskiej w „Popiołach” Żeromskiego*, ale zwracają uwagę zwłaszcza teksty z zakresu dydaktyki nauczania romantyzmu, na przykład obszerny artykuł o roli tekstów Mickiewicza w okresie niewoli narodowej, ten wątek pojawił się też w innych artykułach np. o *Marii Konopnickiej w kręgu „Ody do młodości”* (1963).

W roku 1970 osiągnęła wiek emerytalny, dalej, choć już nie na etacie pracowała w US, ale ówczesne władze odebrały jej prawo doktoryzowania, mimo otwartych przewodów kilku doktorantów. „Dziekan językoznawca” stanowczo nie lubił znawczyni KEN, a i niektórzy pracownicy wykazali złą wolę. O takiej sytuacji częściowo zdecydował zdecydowany protest Uczonej przeciwko przenoszeniu katowickiej polonistyki do Sosnowca, jak i nieugięta walka o owego „orła w koronie” na okładce książki o Komisji Edukacji Narodowej, za którą była na „czarnej liście” ówczesnych władz. Zachowała się wtedy z wielką godnością. Ostatecznie część doktorantów przeniesiono do Opola, część do Krakowa do Wyższej Szkoły Pedagogicznej, gdzie wszyscy obronili *summa cum laude*.

W roku 1980 nie można było więc jej jubileuszu urządzić na Wydziale Filologicznym US, mieszczącym się wówczas zresztą w Sosnowcu. Jeszcze pamiętano jej ostry protest, a potem odmowę przyjęcia uniwersyteckiego odznaczenia. Wtedy grupa jej uczennic zorganizowała uroczystość w Katowicach przy ul. Starowiejskiej, w pomieszczeniach Związku Nauczycielstwa Polskiego, gdzie przyszły wielopokoleniowe tłumy. Przyjaciele, koleżanki, uczennice,

dużo osób z Uniwersytetu. Wspomnieniom i laudacjom nie było końca: prof. Zbigniew Jerzy Nowak mówił o dorobku naukowym Jubilatki, a prof. Mieczysław Łojek przemawiał w imieniu wychowanków. Natomiast prof. Zenon Uryga, stwierdził, że Jubilatka nawet żyjąc między Katowicami i Krakowem, zawsze bardzo sumiennie wypełniała swoje obowiązki i zawsze punktualnie zjawiała się tam, gdzie była potrzebna.

„Pani Docent” była długo temu jubileuszowi przeciwna, „bo w Małopolsce nie obchodzi się urodzin”, ale wtedy Jadwiga Sołtysowa powiedziała, by to zrobiła dla innych, którzy bardzo potrzebują takich spotkań i ten argument poskutkowało. Rozpromieniony prof. Edward Polański, następca „na Katedrze”, stanął ostatni w kolejce gratulujących i przeszedł chyba wszystkich w serdeczności, a po latach w pięknym wspomnieniu napisał: „Dla mnie Jej życie nadal jest inspiracją”.

Gdy minął jubileusz i cofnięto restrykcje stanu wojennego, wróciła z pełną determinacją do ankiet zebranych w latach czterdziestych. Była to żmudna, ale pasjonująca praca. Wspominając we wstępie swe doświadczenia okupacyjne i śląskie kontakty ze zdumieniem stwierdziła jak ziarno zasiane tu przez polską szkołę w dwudziestolecie wydało piękny plon, o tym doświadczeniu napisała „*Konrad Wallenrod zatem znowu uczył tragiczne pokolenie, jak postępować z wrogiem ojczyzny, a może i usprawiedliwiał polskie sumienia śląskie za »barwy ochronne«, przyjęte wobec przemocy wroga*”, co ankiety do wodnie poświadczały. Długa i trudna była droga do realizacji wydawniczej tego pomysłu, wcześniej wszędzie autorkę odprawiano z kwitkiem, zawsze znajdując jakiś wykręt. Uniwersyteckie wydawnictwo nie było zainteresowane tzw. „materiałami”, podobnie jak Polska Akademia Nauk. Zreorganizowane przez Annę Lubasiową wydawnictwo Śląskiego Instytutu Naukowego, szukające oryginalnych, czytelniczo atrakcyjnych propozycji, podjęło decyzję o druku. Historyczny wstęp napisał Kazimierz Popiołek, i może dzięki temu w roku 1984 tom ujrzał światło dzienne.

* * *

Ostatnie lata życia spędzała w Krakowie, od dawna owdowiała, pożegnała całe swoje liczne rodzeństwo i została na Podgórzu z wierną Kundzią, teraz bardziej przyjaciółką niż pomocą domową. Wracała w tym czasie myślą do przeszłości i chciała jakoś ją zabezpieczyć dla potomnych. Przede wszystkim postać brata Zygmunta o którym już wspomniano. Wrócił do Polski z kolejnego stypendium w USA tuż przed

wybuchem II wojny światowej i został przydzielony do 5 Dywizji Piechoty. Po agresji Sowietów na Polskę wzięty do niewoli i osadzony w obozie w Starobielsku, został zamordowany w Charkowie w 1940 roku i pochowany w Piatichatkach. Od czerwca 2000 spoczywa na Cmentarzu Ofiar Totalitaryzmu w Charkowie. To był wielki ból jej życia, a sprawców zawsze nazywała po imieniu. Zygmunta Antoniego Mitera opisał Józef Czapski we *Wspomnieniach starobielskich*, piękną postać radosnego „gondoliera”, który z wdziękiem w wielkim kotle mieszał chochlą zupę – śpiewając. Teraz przygotowywała do druku wybór listów brata do rodziny z lat 1928–1939, który pod tytułem *Z Krakowa po dyplom do Golden Colorado* ukazał się w skromnym nakładzie 10 egzemplarzy w Krakowie w 1996 roku, dwa lata po jej śmierci. Także po śmierci ukazała się *Opowieść o szkole przy Placu Wolności (1)*, długo opracowywana próba monografii Gimnazjum Żeńskiego w Katowicach (1922–1948), ukończonej szkoły Mieczysławy Wiktorii, wydana dzięki Fundacji dla Wspierania Śląskiej Humanistyki.

Pani Profesor zmarła 17 marca 1992 w Krakowie, zgodnie z ostatnią wolą pochowana została w Katowicach na cmentarzu katolickim przy ul. Francuskiej, msza św. pogrzebowa odprawiona została w Krypcie Katedry Chrystusa Króla, będącej kościołem akademickim. Celebrował ją ks. Stanisław Puchała, charyzmatyczny kapelan środowisk naukowych, który tak mówił o Zmarłej jak gdyby był jej uczniem.

Nie całkiem umarła, w roku 1992 Rada Wydziału Filologicznego jednej z sal nadała jej imię, a stworzona przez nią Katedra trwała do roku 2019, gdy w ramach reformy szkolnictwa wyższego w Uniwersytecie Śląskim zlikwidowano tego typu jednostki. Dłuższe trwanie jednak zapewniła jej cenna książka ucznia, prof. Mieczysława Łojka: *Mieczysława Mitera-Dobrowolska. Wzór polonistki na dziś i jutro* (Bydgoszcz 1998), natomiast w serii Uniwersytetu Śląskiego *Mentibus Memoratis* książkę o swej promotorce ogłosiła dr Zofia Adamczykowa. Mieczysława Mitera-Dobrowolska czuła się przede wszystkim nauczycielką, więc pamiętają o niej przede wszystkim jej uczniowie i jest to bardzo dobry rodzaj pamięci. ■

Mieczysława Mitera Dobrowolska (red.): *Opowieść o szkole przy Placu Wolności. Czwierćwiecze Gimnazjum Żeńskiego w Katowicach 1922–1948*. Katowice 1992. Wydawnictwo „Śląsk”, s. 264.



Świadkowie osobliwi i odlegli

Ks. HENRYK PYKA

W zbiorach sztuki gotyckiej Muzeum Śląskiego w Katowicach znajduje się tryptyk, który zwrócił moją uwagę jeszcze wtedy, gdy zalegał od roku 1939 w magazynie Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu. Fascynacja tym, co przedstawia, rozbudziła we mnie pasję badawczą, w wyniku której opracowałem go w formie pracy magisterskiej. Do magazynów „Oberschlesisches Landesmuseum” ten fascynujący obiekt trafił wraz z całym zasobem sztuki sakralnej, stanowiącej do roku 1939 ozdobę Muzeum Śląskiego, szczęśliwie do wybuchu wojny prowadzonej ręką Tadeusza Dobrowolskiego.

Wiadomo, że większość zasobów sztuki sakralnej w zbiorach przedwojennego Muzeum Śląskiego zaistniała w wyniku porozumienia Urzędu Wojewódzkiego z Kurią Diecezjalną w Katowicach. Strony wyraziły akceptację dla akcji kolektorskiej, prowadzonej przez Muzeum Śląskie w kościołach diecezji katowickiej dla ratowania pamiątek historycznych w województwie śląskim. Tadeusz Dobrowolski

przy pomocy współpracowników (należał do nich m. in. ksiądz Jerzy Langman) jako konserwator wojewódzki dokonał przeglądu wyposażenia wielu kościołów, zwłaszcza drewnianych. Była to mozolna praca badawcza w wyniku której obiekty wycofane z kultu, trafiły z kościołów do Muzeum Śląskiego. Kościół Katowicki, choć przewidywał budowę własnego Muzeum w założeniu budującej się katedry, nie miał wówczas środków i fachowców, którzy ratowałyby duchowe patrimonium Górnego Śląska. Tadeusz Dobrowolski z wielką jednak pasją prowadził zarówno pracę kolektorską, jak i badawczą, w wyniku czego powstało kilka jego monografii naukowych. Stanowią one do dzisiaj ważny przyczynek do poznania kultury materialnej i religijnej naszej Ziemi.

W roku 1938 zainteresowane strony podpisały dokument ustanawiający depozyt zasobów sztuki sakralnej śląskich parafii w zbiorach Muzeum Śląskiego (dokument znajduje się w Archiwum Ar-

chidiecezjalnym), zaś ksiądz Emil Szramek, jako członek Rady Muzeum Śląskiego, reprezentował na tym forum Dobro Kościoła. Nie wszystkie jednak obiekty sztuki sakralnej, dla których szuka gotycka stanowi część najcenniejszą, stanowiły depozyt Kościoła. Niektóre od chwili ich pozyskania wpisane były do inwentarza jako własność Muzeum Śląskiego. Takim właśnie obiektem jest owo gotyckie retabulum, które tak rozbudziło moje zainteresowanie. W monografii Dobrowolskiego „Rzeźba i malarstwo gotyckie w województwie śląskim” prezentowane jest jako TRYPTYK Z DWO-MA BISKUPAMI Z ZARZECZA i datowane na początek XVI wieku. Tadeusz Dobrowolski znalazł tę nastawę ołtarzową w prywatnej kaplicy, na roli Franciszka Heroka w Zarzeczcu. Znajdowały się w niej także cztery inne obiekty sztuki gotyckiej, z których najcenniejszy jest tryptyk św. Mikołaja datowany na lata ok. 1440. Cenne zabytki, uważane za prywatną własność zarzeckiego rolnika, Do-

browolski kupił za stosunkowa niewielką kwotę i jako dobro kultury przekazał do zbiorów Muzeum. Był to czas, w którym przymierzano się do budowy zalewu goczalkowickiego. Te tereny przed ich zalaniem należało wcześniej spentrować także pod kątem zachowanych tu pamiątek historycznych. Jak właściciele kaplicy weszli w posiadanie tak wartościowych obiektów, które rodzina sprzedała za nieznaną kwotę? Można snuć tylko domysły i wiązać je z historią parafii w Strumieniu. Reformacja dokonała wielkiego spustoszenia we wnętrzach kościołów usuwając z nich wiele obrazów i rzeźb, które treścią nie odpowiadały nauce Lutera. Na Górnym Śląsku ten proces miał łagodniejszy przebieg. Usuniętych obrazów i rzeźb najczęściej nie niszczone, lecz sprzedawano je lub usuwano do lamusów, które luteranie nazywali „Götzenkammer”. Należy przypuszczać, że trzy ołtarze i dwie rzeźby gotyckiej proveniencji znalazły się w kaplicy Heroka nie w wyniku reformacyjnych rugów, lecz skutkiem budowy nowego, trzeciego już po pożarach kościoła świętej Barbary w Strumieniu, w stylu późnego baroku. Aktualnie istniejący kościół poświęcono w roku 1795 za czasów cesarza Józefa II. Gotyckie ołtarze nie pasowały do barokowego wystroju tego kościoła, a rodzina Heroka kierując się duchem pobożności i chrześcijańskim miłosierdziem dała im ką w swojej przydomowej kaplicy. Obiekty te byłyby więc dzisiaj najstarszymi świadkami historii parafii, sięgającej jeszcze czasów istnienia tu kościoła świętego Krzyża. Ołtarz świętego Mikołaja z zasobu Heroka datowany na I połowę XV wieku jest wcześniejszy od powstałego tu w roku 1498 z fundacji Mikołaja Brodeckiego kościoła świętej Barbary. Pozostałe obiekty mogą być związane z jego pierwotnym wyposażeniem, bo są współczesne jego powstaniu. Marszałek księcia cieszyńskiego Kazimierza II, Mikołaj Brodecki, był budowniczym tego drewnianego wówczas kościoła. Dobry gospodarz, który małej osadzie w tym „żabim kraju” nadał prawa miejskie, pobudował stawy rybne, miał wystarczające środki, by nie tylko kościół zbudować, ale go i uposażyć. W ubiegłym roku miasto Strumień obchodziło rocznicę 500-lecia jego śmierci. Fundacje ołtarzowe wiązały się z podróżą do centrów, w których funkcjonowały „platea pictorum” – pracownie artystów. Były to Wrocław, Kraków, gdzie gotowe malowidła i rzeźby można było kupić „od ręki” Ale były i skromniejsze pracownie np. w Rybniku, Gliwicach. Z Wrocławiem i Krakowem Brodecki prowadził handel rybny. Tam mógł też za niemałą kwotę nabyć cenne retabula.

Osobliwość tryptyku z dwoma biskupami z Zarzecza wynika zarówno z warstwy formalnej ołtarza jak i zawartych na nim przedstawień. Tadeusz Dobro-

wolski badając sztukę średniowieczną poddany był permanentnej konfrontacji z niemiecką historiografią, która zwłaszcza sztukę dla celów politycznych, wykazując niemiecką proveniencję pamiątek historycznych na Górnym Śląsku. Korekta badań Tadeusza Dobrowolskiego szła w kierunku ukazywania związków sztuki naszych kościołów z warsztatami małopolskimi. Jednak w wypadku ołtarza z dwoma biskupami z Zarzecza Dobrowolski dostrzegał jego związku z warsztatem niemieckim przypisując go Mistrzowi z Giesmansdorfu (Gościszowice na Dolnym Śląsku), a nawet dokonując analogii do przedstawień norweskich malarza Michaela Wolgemuta,

mistrza Albrechta Dürera, czy pochodzącego z południowego Tyrolu Michała Pachera. Rzetelność ocen Dobrowolskiego wynikała z jego erudycji. Widział związki, porównywał; z braku dostatecznych przesłanek nie ferował jednak ostatecznych wyroków. Pozostawiał miejsce do dalszych dociekań. W „Ołtarzu z dwoma biskupami” Dobrowolski zwrócił uwagę na surowy modelunek przedstawień, typowy dla sztuki niemieckiej, a nawet rzeźbiarskie traktowanie fizjonomii, co charakteryzuje malarstwo Michała Pachera, mistrza „Czterech Ojców Kościoła” z monachijskiej Pinakoteki.

Nazwę ołtarza określają postacie występujących na awersie skrzydeł, czy-



for. arch. aut.

li po stronie jego uroczystej prezentacji. W części centralnej znajdowała się rzeźba Matki Bożej, która nie zachowała się. „Ołtarz z dwoma biskupami”, bo tacy są przedstawieni na awersach prezentuje świętych, których kult w średniowieczu na Śląsku nie był powszechnie znany. Podobnie jak kult świętych Lucjusza i Emerity przedstawionych na odwrotnej stronie skrzydeł. Artyści średniowieczni słabo indywidualizowali przedstawiane postacie. Tym, co wyróżniało je, były najczęściej przypisywane im atrybuty związane z historią ich życia. Atrybutem wyróżniającym świętego Konrada, biskupa Konstancji, jest kielich, na którego brzegu znajduje się pająk. Święty podczas sprawowania Eucharystii z nabożnej czci dla Krwi Pańskiej, niewzruszony, miał wypić zawartość kielicha wraz z trującym pająkiem, nie doznając uszczerbku na zdrowiu. Jako patron Konstancji czczony był w diecezjach Freiburg, Augsburg, Bazylei, Chur, Miśni. Przedstawiano go zwykle wraz ze świętym Ulrykiem biskupem Augsburga, co widać w zachodnim portalu katedry w Konstancji. Ulryk, o dziesięć lat starszy od Konrada, przyjaźnił się z nim i uczestniczył w jego konsekracji w roku 973. Do tego grona należy także zaliczyć współczesnego tym dwu, świętego Wolfganga, biskupa Regensburga. Jemu także Ulryk przekazał sukcesję apostołską. Uznając w nim swego mistrza, biskup Wolfgang pochował go w krypcie kościoła świętej Afry w Augsburgu, który Ulryk rozbudował. Mamy zatem trzy postacie mocno wpisane w kulturę duchową Niemiec. Rangę tych biskupów można porównać ze znaczeniem świętego Stanisława w kulturze polskiej. Oni to podobnie jak Stanisław w tradycji Wojciechowej, ponieśli trud misyjny anglosaskiego mnicha, świętego Bonifacego wpisując się swoją działalnością w historię ludu, z którego wyszli jako jego pasterze i obrońcy wspierający cesarza w walce z najeźdźcami, budowniczo wie kościołów i stróże porządku społecznego opartego na Ewangelii. Popularność tych świętych przejawiała się w łączeniu ich w jedną całość przy nadawaniu imion, czego przykładem mogą być dwaj bracia, w kolejności następstw mistrzowie Zakonu krzyżackiego Konrad i Ulryk von Jungingen. Zajmując się wcześniej tym ołtarzem sugerowałem w oparciu o tradycję kultury niemieckiej, by łączyć świętego Konrada z lewego awersu skrzydeł z Ulrykiem, nie zaś z Cyprianem, biskupem Kartaginy, jak uważał Tadeusz Dobrowolski w swoim opracowaniu.

Po zamknięciu tryptyku, na skrzydłach po ich zewnętrznej stronie przedstawieni są Lucjusz i Emerita. Właśnie te postacie stanowią o absolutnej osobności na naszym terenie zjawiska, jakim jest tryptyk z dwoma biskupami z Zarczeczka i pozwalają się domyślać proveniencji przedstawień i ich funkcji na naszym terenie. Z oglądu

zewewnętrznej strony skrzydeł ołtarza zarzecckiego i umieszczonych nad postaciami minuskułowych napisów wynika, że mamy przed sobą parę królewską. Tych dwoje to brat i siostra. Ponad koronowanymi głowami czytamy teksty łacińskie: S. Lucius rex anglorum – nad mężczyzną. Nad kobietą: S. Emerita soror ejus. Byli zatem rodzeństwem władającym niegdyś w Anglii. Nic bardziej mylnego. Historia Anglii nie zna takich postaci. Ośrodek kultu tych świętych znajduje się w najstarszym mieście Helwetów Chur, duchowym i administracyjnym centrum szwajcarskiej Gryzonii. Skąd zatem ten angielski przytyk do retyckich świętych na średniowiecznym obrazie? Jest to wynik błędnego odczytania zapisu, który pojawił się w pierwszym „Vita”, czyli biografii świętego z czasów karolińskich. Wcześniejsza tradycja łączyła postać Lucjusza z królem Edessy nad Eufratem Abgarem IX. Była również legendarna jak przypisana mu rezydencja w „Britio Eddessenorum”, przez średniowiecznego skrybę mylnie zrównana z Brytanią. I tak przez wieki, także w malarstwie pojawiał się Lucjusz jako król angielski. Średniowieczny malarz przedstawił go w podszytym białym futrem altembasowym płaszczu, trzymającym insygnia królewskie. Zaś jego siostra Emerita, której kult datuje się dopiero na wiek XII, z całym podkreśleniem jej godności królewskiej została wyróżniona dodatkowym atrybutem – płonącą żagwią, wiązką płonącego zboża. Jako męczennica poddana próbie ognia, była przyzywana w dniach posuchy, Jej brat Lucjusz, męczennik utopiony w rwącym nurcie rzeki i ukamienowany, na długo przed świętym Janem Nepomucenem strzegł wodnych nurtów przed powodzią. Lucjusz i Emerita. Dwaj święci agrarni, wspomagający średniowieczną pobożność mieszkańców Krajin, która choć powstała jak chce Zofia Kossak z uśmiechu Pana Boga, doświadczała także i jego „gniewu” w postaci suszy i powodzi.

W Chur byłem dwa razy, zafascynowany odległą legendą i tradycją, która zawędrowała na Górny Śląsk i przetrwała tu w postaci średniowiecznego ołtarza. Nie tylko w Chur, ale i wielu innych kościołach tego kantonu znalazłem świadectwa kultu świętego Lucjusza, w średniowiecznej Europie szeroko rozpowszechnionego dzięki norbertanom. Niedźwiedź, który rozszarpał wołu zaprzęgnięty przez Lucjusza do pługa, jest w ikonografii świętego barwną ilustracją jego popularności. Najstarszym świadkiem tej tradycji jest merowińska okragła krypta z VIII wieku do której przeniesiono relikwie świętego. Ponad tą kryptą norbertanie wybudowali w XII wieku klasztor wypiętrzony ponad miastem, którego Lucjusz, retycki misjonarz miał być pierwszym biskupem. Wędrując z Chur na Śląsk nie sposób nie zatrzymać się w Pradze. W klasztorze na Stahowie norber-



Święty Udalryk (Ulryk) biskup Augsburga przedstawiony na płycie nagrobnej wydobytej podczas otwarcia grobu w r. 1970. Datowanie 1183/87, miedz, grawerunek, puncowanie

tanie od XII wieku do dzisiaj pielęgnują tradycję chrześcijańskiej Europy. To jakby zwornik między Chur a Wrocławem, gdzie Norbertanie w rozlewiskach Odry na Ołbinie do XVI wieku mieli swoje opactwo. Utrzymywali kontakty z braterskimi wspólnotami, norbertańskimi, które wpisały się także w historię Górnego Śląska (Bytom, Rybnik, Repty, Czarnowąsy). Ta ekskluzywna i zamknięta społeczność zakonna w swój kalendarz liturgiczny wpisała także świętego z odległej retyckiej prowincji, Wspomniano go jako męczennika w martyrologium 2 grudnia, bo od XII wieku związany został z norbertańską rodziną. ■

Z czyścica na Parnas

KSIĄŻKI

ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

T A D E U S Z
Ś L I W I A K



PŁONĄCY GOŁĘBNIK

WYDZIAŁ IIC MIASTOŃ KRAKÓW

Trudno wskazać, co doprowadziło do niemal całkowitego pominięcia Tadeusza Śliwiaka w syntezach poezji XX wieku oraz monografiach dotyczących debiutu pokolenia „Współczesności”, które hołdowało zasadzie wywołanej wyobraźni. Nie wspomina o nim Agata Stanowska w książce *Kształt wyobraźni. Z dziejów sporu o „wizję” i „równanie”* (1998), jak również Jacek Łukasiewicz w swoim *opus magnum Poeta Grochowiak* (2019), poświęcający kilka słów rówieśnikom autora *Ballady rycerskiej*, którzy debiutowali w okolicach 1956 roku. Jego widmowa obecność jest szczególnie uporczywa w momencie rewindykacji dotychczasowych sądów na temat doświadczeń wojennych pokolenia ‘56 (*casus Rozrachunków z wojną* Sławomira Buryły) oraz skłonności poetek/poetów tego pokolenia do wyróżnienia figuracji braku i nieobecności w obliczu doświadczeń tak skrajnych jak wojna, żałoba lub samotność i rozstanie (*casus* książki *Figuracje braku i nieobecności. Miłobędzka – Białoszewski – Kozioł* Eweliny Suszek).

Do dziś Śliwiak wieździe żywot pokątny, mimo że wielu jemu rówieśnych doczekało się monografii (*casus* Grochowiaka) lub opracowań wyznaczających trajektorię wyobraźni poetyckiej (*casus* Jerzego Harasymowicza). Śliwiak został skazany na banicję, choć właściwie nikt nie wie, z jakiego powodu. Zaskakujące jest nie tylko przemilczenie autora *Chityny* w kompendiach i leksykonach poezji, ale również apologetyczny ton krytyków towarzyszących jego poezji. Dopóki żył, uchodził za poetę genialnego, jednak po śmierci opinii jemu współczesnych nie licują za stanem wiedzy krytyków i badaczy zgłębiających dzieje XX wiecznych formacji poetyckich. Ten paradoks (poety największego, a jednocześnie zapomnianego) uwydatnia brak monografii lub większego studium poświęconego poezji Śliwiaka.

Dotąd zadawano się powierzchownymi rozpoznaniem. Wszyscy gremialnie pisali o przełomowości *Poematu o miejskiej rzeźni* (1965), jednak akcentując „świat nadziei paradoksalnej” (Konstanty Pieńkosz), „gorączkowe poszukiwanie sensu całości świata” (Jan Pieszczałowicz), a wiersze z kolejnych tomów Śliwiaka odkreślano jako „poezję tragicznego ładu” (Arthur Sandauer). Być może sytuację zmienia wydany w 2018 roku przez Fundację Anna wybór wierszy Śliwiaka *Płonący gołębnik*, który zilustrował Marcin Koleśnik. To nie pierwszy projekt, w którym twórczość literacka zestawiana jest z ilustracjami młodego plastyka. W 2014 rok nakładem Wydawnictwa Warstwy ukazały się *Bajki* Erny Rosenstein w oprawie graficznej Karola Banacha, która podkreśliła surrealistyczny charakter literackich zmagani autorki *Śladu* z zapisem doświadczenia wojny/Zagłady jako stanu latentnego.

Wybór wierszy dokonany przez córkę poety, Weronikę Śliwiak, różni się zarówno pod wzglę-

dem objętości, jak i tematyki od poprzednich wydań wierszy wybranych. Tym razem zdecydowano się na formę albumu w formacie A4, dzięki czemu ilustracje Koleśnika zostały w pełni wyeksponowane (zazwyczaj sąsiadują z tekstami poetyckimi na kolejnych stronach, dwukrotnie podjęto decyzję o umieszczeniu na jednej stronie zarówno wiersza, jak i ilustracji), nie konkurując ze spuścizną Śliwiaka.

Płonący gołębnik z 2018 roku zawiera tylko wiersze związane z wojennym/Zagładowym doświadczeniem Śliwiaka, co zasadniczo zmienia jego położenie na mapie poezji XX wieku. Nie można pominąć prekursorstwa poety w zakresie wyobraźni ekologicznej, a także postrzegania analogii zabijania krów w rzeźni i Żydów poddających kolejne ich elementy procedurze czyszczenia, u podstaw której leży nowoczesność (Śliwiak podążył w kierunku, który wiele lat później wytyczy Zygmunt Bauman w *Nowoczesności i Zagładzie*). Jego innowacyjność nie kończy się jednak na zrównywaniu losów ludzi i zwierząt, lecz dotyczy również zainicjowania *Poematem*... „optyki szczegółu”, którą wobec zwierzęcych biografii postuluje Éric Baratay. Zwierzę przestaje być w poezji Śliwiaka „białą plamą historii”, staje się równoprawnym bohaterem *Poematu*... Co prawda, Śliwiak nie poszukuje rozwiązań, które uczyniłyby z niego poetę przekraczającego ludzką perspektywę (*casus* Grochowiaka), jednak jego poezja ujawnia tendencję do hegemonii człowieka w zakresie podporządkowywania innych gatunków, jak również podludzi (wędług terminologii nazistów). *Poemat*... składa się z poszczególnych scen, w których ukazany został proces obróbki krowiego mięsa, co przypomina nabożeństwo pasyjne, jednak Śliwiak nie waha się także przed sugerowaniem, że wędrujące mięso to mięso armatnie, a więc bliskie jest mu obrazowanie wojny w konwencji ekspresjonistycznej (wojna to rzeźnia). Gdyby pokusić się o poszukiwanie silnych poprzedników, należałoby wskazać na Juliana Tuwima (jako autora *Do prostego człowieka*) i Józefa Wittlina (jako autora *Hymnów*).

Warto również podkreślić, że w *Poemacie*... pojawiają się wiersze zróżnicowane formalnie. Niektóre stanowią projekcję traumatyzowanego podmiotu, który powracając do rzeźni, „popieleje” (*Wojna*), inne zbliżają się pod względem formalnym do modelu wiersza zaproponowanego przez Tadeusza Różewicza (co nie umknęło uwadze krytyków); niektóre (nie wchodzące w skład tomu) w sposób pozornie weryficyjny zdają raport z jednostkowej biografii, dzięki materialnemu śladowi (*Buty*). Linearna lektura dowodzi, że zarówno wiersz inicjalny, jak i zamykający *Poemat*... stanowią kłamrę. W pierwszym (*Ogrody*) pojawia się aluzja do *Apolla i Marsjasza* Zbigniewa Herberta ze *Studium przedmiotu* (1961); wewnątrz ludzkiego ciała przedstawiono wzniośle, nato-

miast *Samuel* to jedyny wiersz, w którym Śliwiak zmistyfikował, wykorzystując lirykę roli, uczucia ofiary.

By w pełni oddać groźbę wojny, wykorzystuje Śliwiak „małe formy” zbliżające się do poematów prozą Herberta z tomu *Hermes, pies i gwiazda*, jednak unika kunsztowności i metaforiczności, które mogłyby podważyć wiarygodność przekazu, choć we *Wronach* i *Zębach* dostrzec można ciążenie ku nastrojowi, który Hans Ulrich Gumbrecht uznał za niezbywalny komponent tekstów literackich. Być może to właśnie *Wrony* mocniej oddziałują na czytelnika ze względu na kłamrę kompozycyjną, opozycje (wrony-gołębnie, przeszłość-teraźniejszość) i powroty słów-kluczy (rzeźnia, wrony). Piotr Sobolczyk skłonny jest traktować wrony jako alegorie nazistów. To bez wątplenia zasługa szczególnego uporządkowania opowieści i nawracających fragmentów. Zarówno *Wrony*, jak i *Zęby*, a także *Upominek* i *Opowieść dla młodszego brata* ze względu na ilość szczegółów przybrały kształt „małych form”, ponieważ charakterystyczny dla nich tok opowieści nie sprawdziłby się w wierszu, sprawiając że byłby on przegadany, pozbawiony lirycznej esencji. Śliwiak w „małych formach” oddaje nie tylko nastrój, lecz również regułę „nazistowskiego ekscesu” (szczególnie we *Wronach* i *Zębach*).

Być może określenie „poezja tragicznego ładu” należałoby zmodyfikować i zaakcentować tragiczność, która zawsze ogniskuje się w *Płonącym gołębniku* wokół doświadczenia przemocy. Jeśli uwzględnić nowatorstwo *Poematu o miejskiej rzeźni* i wierszy sondujących doświadczenie świadka Zagłady, to należałoby nadać Śliwiakowi tę samą rangę, co Różewiczowi. Opublikowanie *Płonącego gołębnika* to pierwszy krok do rewindykacji opinii i sądów o poecie marginesów historii literatury.

Tadeusz Śliwiak: *Płonący gołębnik*. Ilustracje Marcin Koleśnik. Fundacja Anna, Kraków 2018, 62 s.

Winien i ma

KSIĄŻKI

MACIEJ KIJOWSKI

Kazimierz Zarzycki to bez wątpienia jeden z najbardziej znanych śląskich dziennikarzy, parający się tym fachem przez lat kilkadziesiąt: od katowickiej Rozgłośni Polskiego Radia, przez „Wieczór” (redaktor naczelny) i „Trybunę Robotniczą” (zastępca naczelnego) po Telewizję Katowice (dyrektor) oraz „Tak i Nie” (pierwszy i ostatni szef), wreszcie felietony i inne teksty m.in. w „Poglądach”, „Trybunie Śląskiej” i „Dzienniku Zachodnim”. To również krótkotrwała ale ważna i specyficzna praca w aparacie partyjnym: funkcja asystenta I sekretarza KW PZPR w Katowicach (Edwarda Gierka i Zdzisława Grudnia), godności przewodniczącego Rady Wojewódzkiej PRON, Rady Wojewódzkiej SLD i Zarządu Oddziału Wojewódzkiego Stowarzyszenia Dziennikarzy RP w Katowicach, praca dydaktyczna i naukowa w Wyższej Szkole Ekonomicznej, mandaty posła na Sejm i katowickiego radnego, że o bankowości i innych biznesach, tudzież sukcesach sportowych (brydż i nie tylko) nie wspomnę.

Pracę Zarzyckiego wydał oraz „słuchał” go i „spisał” jego słowa Jan Dziadul. Zważywszy na to, że autor jest doświadczonym dziennikarzem, władającym piórem i mikrofonem po mistrzowsku, rola J. Dziaduli, nie mniej znakomitego żurnalisty, w stworzeniu publikacji nie jest dla mnie całkiem jasna. Nie wiem, dlaczego K. Zarzycki sam nie napisał wspomnień; brak mi też pewności, do którego z panów zaadresować w głównej mierze moje i pochwały i uwagi krytyczne, skoro jednak grzbiet okładki wypełniają bez reszty wersaliki ZARZYCKI, beczkę miodu i garść (może dwie...) dziegiu składam w ręce Pana Kazimierza.

Książka jest napisana rzetelnie, szczerze i zrozumiale. Jest w niej sporo nieraz zbyt uproszczonych, nieraz kontrowersyjnych, zawsze jednak ciekawie skreślonych portretów osób ważnych dla Polski i dla Śląska. Jeśli historycy będą pracować nad nowymi ujęciami biografii tak choćby frapujących postaci jak Wilhelm Szewczyk czy Jerzy Ziętek, nie mogą nie sięgnąć do spostrzeżeń Kazimierza Zarzyckiego. Stanowią one cenną wartość z punktu widzenia nie tylko subiektywnego recenzenta lecz osobistego uczestnika i obserwatora historycznych wydarzeń. To jest dla mnie pierwszy najważniejszy walor książki.

Walor drugi, nie mniej cenny, który na łamach „Śląska” tylko zasygnalizuję, to obraz Rzeszowszczyzny lat wojny i nie mniej dramatycznego, krwawego powojnia. To słowa mocne, niechby i okrutne, ale prawdziwe. Tak było. Tym ważniejsze jest, by do dziś ogromny postęp jaki tej i innym częściom kraju przyniosła Polska Ludowa. Negatywne zmiany ostatniego trzydziestolecia nie przywróciły i nie przywrócą nędzy polskich miast i wsi z międzywojennego dwudziestolecia. Ślad Tuczemp, Jarosławia i Ziemi Rzeszowskiej jest dla mnie ważny tym bardziej, że sam pochodzę z Rzeszowa.

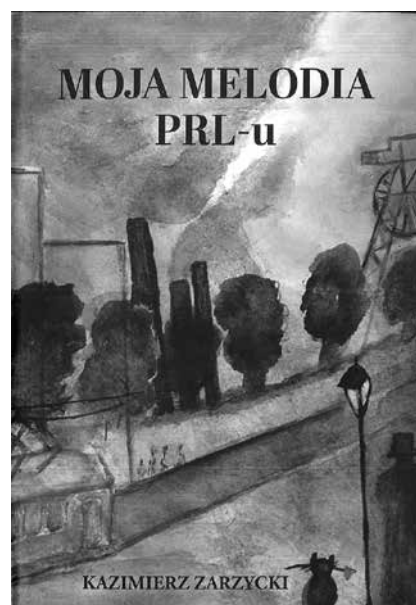
Dziwi tytuł. Najpierw ta „melodia” i podtytuł „Da capo al fine”, których genezy (a i muzycznych refleksów w postaci symboli ćwierćnut oddzielających podrozdziały) nie rozumiem. Ale jeśli melodia, to czyja? „Moja” (Zarzyckiego? Dziadula?) czy „PRL-u”? Poza wszystkim, deklinacja akronimu PRL, najczęściej po prostu „ozdobienie” postfiksem „-u”, sprawia wraże-

nie nacechowanego emocjonalnie, ironicznego, pejoratywnego, co w ustach człowieka zawdzięczającego Polsce Ludowej wszystko, brzmi co najmniej nieelegancko. Tak jak i wskazywanie na słomę w butach jednej osoby czy wytykanie jej braku wykształcenia, które dla mnie – nauczyciela akademickiego – nie jest najważniejszym kryterium wartości człowieka.

Zadziwia predylekcja autora do łatwego (zbyt często negatywnego) oceniania ludzi. Sam zafascynowany za młodu boksem skwapliwie na prawo i na lewo rozdziela ciosy: jakże łatwo przychodzi mu ująć osobowość choćby Bronisława Jurasza („[c]złowiek i dziennikarz nijaki” – s. 388) czy Włodzimierza Walotka („postać bezbarwna” – s. 286). Ubolewając nad swoją absencją przy Okrągłym Stole konstatuje, że Śląsk reprezentowali przy nim ci, którzy „ani wcześniej, ani później nie byli godni uwagi” (s. 445) – czyżby? A czy(m) Maciej Szczepański i Wsiewołod Wolczew zasłużyli sobie na bezpardonowy atak Zarzyckiego?

Rażą zapewne niezawinione a wynikające z niedbalstwa zniekształcenia nazwisk występujących w książce osób: ministrowie Marian Czakański (s. 478), Bogumił Ferencztajn (s. 438, 443), Marian Zembala (s. 526) czy redaktor Klemens Krzyżagórski (s. 443) zostali pokrzywdzeni takimi praktykami, które zawsze obciążają autora i wydawcę, zawsze dezawuuują ich trud, zawsze obniżają rangę publikacji. Dziwne to tym bardziej, że korektą książki zajmowały się aż dwie osoby. Umknęły ich uwadze i te i inne błędy (w tym zła pisownia dat czy brak w indeksie nazwisk m.in. W. Walotka i M. Zembali), natomiast tylko niepamięci autora „zawdzięczać” należy, że jarosławskiego nauczyciela biologii określa on jako „Singer” (s. 64–65), podczas gdy był to Zygmunt Schingera, po latach mój sąsiad z bloku przy ul. Jagiellońskiej 21 w Rzeszowie. Czy amnezja autora tak jest potężna, że imię Jerzego Lamuzgi „bez nadmiernego żalu opuściło [jego] pamięć” (s. 178), nie mnie oceniać, wrażenie jest jednak przykre. Innego rodzaju błędem jest określanie Jana Dobraczyńskiego mianem wybitnego poety (s. 443): nie chodzi mi o wybitność (*de gustibus...*) – rzecz w tym, że nie był poetą, lecz pisarzem.

Wkrótce minie 40 lat od politycznego upadku a następnie internowania i śmierci Zdzisława Grudnia. Wydaje mi się... nie, nie wydaje mi się, jestem pewien, że dość już obrażania, szkalowania byłego I sekretarza KW PZPR w Katowicach, dość okazywania mu pogardy na wzór tego co w *Cysorzu* uczynił Michał Smolorz! Owsem, nie był Grudzień ani wybitną indywidualnością, ani błyskotliwym intelektualistą, ani mistrzem retoryki, ale nie upoważnia to nikogo do okazywania nienawiści człowiekowi, który po pierwsze zmarł, po drugie zmarł z powodu niesprawiedliwych i nieuzasadnionych szykan, po trzecie był gospodarzem Górnego Śląska. Rozumiał go po swojemu, budował własny kult, nie lubił i nie cenił Jerzego Ziętkę, ale nikt nie zaprzeczy, że kochał Śląsk i kochał Zagłębie. Rozmawiałem z Wojciechem Jaruzelskim o największym – moim zdaniem – błędzie jaki popełnił, wprowadzając stan wojenny: o internowaniu Gierka i niektórych członków jego ekipy, Grudnia nie wyłączając. Po ćwierćwieczu od tych wyda-



rzeń General przyznał mi rację. O to, czy wiedział o gehennie jaką zgotowano Grudniowi, nie zdążyłem zapytać. Ale redaktora Zarzyckiego zdaje, czy Grudzień był zbrodniarzem, czy miał krew na rękach, czy tak bardzo koncentrując się na sobie i – zgoda! – dopuszczając do marnotrawstwa publicznych środków, kogośkolwiek skrzywdził? Jestem prawnikiem, przeto bronię oskarżanego od lat I sekretarza KW jak czyniłby to adwokat, zwracając uwagę i na to, że służył mu określone prawa, a nade wszystko na to, że naruszana jest nieustannie jego godność. A czy ktokolwiek z taką łatwością kopiujący leżące, obrzucający go kalumniami od jesieni roku 1980 do dziś miał odwagę zadać mu trudne pytania wtedy, gdy ten stał na czele śląskiej organizacji partyjnej? A dlaczego K. Zarzycki publikuje dwa listy przypisywane Grudniowi, sam nie będąc pewnym, kto jest ich autorem? Opozycja „dobry Ziętek – zły Grudzień” nie wytrzymuje już próby czasu.

Obrachunek osiemdziesięciolecia dokonany w książce Zarzyckiego budzi sympatię i szacunek dla autora jako przyzwoitego i porządnego człowieka, organizatora, szefa, dziennikarza. Jeśli nie raz i nie dwa ponosi go a to skłonność do przesady (przykładem s. 383, na której mianem tragicznego przypadku określa status Tadeusza Lubiejewskiego w roku 1980, w którym akurat objął był on mandat poselski, a to moda nakazująca przyłączenie się do chóru skazujących towarzysza Decembra na wieczne potępienie, wołam głośno, że nie ma racji, ale suma jego osiągnięć nakazuje wskazać przede wszystkim na pozytyw. Gdyby nawet nie uczynił tyle dobrego dla Śląska w ubiegłym wieku, godzien jest uznania i wdzięczności za odwagę i mądrość, z jakimi bronił imienia Wilhelma Szewczyka jako patrona placu przed katowickim dworcem.

Człowiek, którego cenię i szanuję, świętym dziennikarzem i medioznawcą, mój był szef w Wyższej Szkole Zarządzania Ochroną Pracy w Katowicach dr Jacek Skorus napisał do mnie 16 marca 2020 r. o swoim z kolei byłym szefie w TVP Katowice Kazimierz Zarzyckim takie słowa: „[n]iezwykle profesjonalny, merytoryczny i życzliwy w stosunku do młodych.” Dziękuję, Panie Jacku. Dziękuję, Panie Kazimierzu. ■

Kazimierz Zarzycki, *Moja melodia PRL-u. Da capo al fine*, spisał Jan Dziadul, Firma Dziennikarska Pol-Sil, Katowice 2020, 536 s.

Jubileusz Biblioteki

KSIĄŻKI

AGNIESZKA KISAŁA

Dzieje jaworznickiego bibliotekarstwa powszechnego zostały pięknie wydane. Na okładce widnieje zdjęcie w pełni oświetlonego i co ważniejsze, pełnego czytelników budynku biblioteki, widzianej z perspektywy rynku. Książkę podzielono na dwie części, które poprzedza *Słowo wstępne* autorstwa obecnej dyrektor MBP w Jaworznie, Moniki Rejdych. Dzięki temu krótkiemu wprowadzeniu, czytelnik zapoznaje się z ogólnym zarysem pracy, jej autorami, ale również może doświadczyć dumy z faktu, że posiada większy bądź mniejszy wkład w istnieniu i kształtowaniu się opisywanej instytucji, gdyż podziękowania dyrekcji skierowane są do każdego, kto aktywnie wspierał, doceniał, ale również po prostu korzystał z oferty i zasobów biblioteki.

Maria Leś-Runicka, dokumentalistka mająca w swoim dorobku wiele prac dotyczących tzw. Małej Ojczyzny, opracowała historyczną część dzieła, która przenosi czytelnika nie tylko do czasów powstania Miejskiej Biblioteki Publicznej, ale znacznie dalej w przeszłość, gdyż początki jaworznickiego bibliotekarstwa sięgają już 1882 roku. Dokumentalistka wplata w swoją opowieść istotne daty i nazwiska, ale otacza je barwną, bogatą w szczegóły narracją, która nadaje płynności przekazowi i sprawia, że każdy czytelnik ma szansę zmienić swój stosunek do historii i samodzielnie zgłębiać temat. Rzecz jasna, nie wszystkie zagadnienia są jasne i przejrzyste, gdyż wie-

le zdarzeń miało miejsce równocześnie i z różnych przyczyn, ale w usystematyzowaniu ich pomagają liczne tabele. Natomiast skany dokumentów, wycinki z gazet i odmienny od reszty książki kolor papieru, podobny do starych kart dokumentów latami przechowywanych w archiwum, nadaje wrażeniom czytelnika niepowtarzalnego klimatu dawnych czasów.

Drugą część książki stanowi rozprawa Ryszarda Latuska, pracownika Biblioteki Śląskiej, od lat zajmującego się doradztwem metodycznym i opieką merytoryczną nad bibliotekami na Śląsku, która przedstawia czytelnikowi ogrom pracy, która została wykonana by dostosować bibliotekę do stale zmieniających się potrzeb ówczesnych czytelników. Omówione zostały wszelkie innowacje, poczynając od procesu komputeryzacji, przez stosunkowo nowy, powstały w 2007 roku, budynek siedziby głównej MBP, a skończywszy na czytnikach ebooków, czy najnowszym studiu nagrań. Za pośrednictwem tej części czytelnicy mogą zapoznać się i docenić bogatą ofertę e-usług, wydarzeń kulturalnych i czytelniczych oraz nowych technologii, o których dostępności mógł wcześniej nie wiedzieć. Tymczasem pracownicy innych bibliotek dostają doskonałe źródło inspiracji, dzięki któremu mogą rozwijać książnicę w rodzinnych miastach, by choć w części dorównały tej jaworznickiej, a trzeba przyznać, że pod każ-

dym względem reprezentuje ona bardzo wysoki poziom.

Książka stanowi spójną i fascynującą lekturę, czytelną zarówno dla specjalistów z dziedzin historii czy bibliotekarstwa, ale również dla zwykłych czytelników, którzy do tej pory nie zgłębiali poruszanych w książce tematów. Jakość wydania w połączeniu z bogactwem zdjęć upamiętniających wyjątkowe wydarzenia, nadają dziełu niepowtarzalnego kolorytu, intrygując i przywołując wspomnienia. ■

Maria Leś-Runicka, Ryszard Latusk: *Dzieje jaworznickiego bibliotekarstwa powszechnego. 70 lat działalności Miejskiej Biblioteki Publicznej w Jaworznie. Miejska Biblioteka Publiczna, Jaworzno 2019, 192 s.*



KSIĄŻKI NADESŁANE



Sylwia Smolarek-Grzegorzcyk, Marcin Nyga. *Orzeł czarny, orzeł biały. Ziemia pszczyńska 1914-1922*. Wydawnictwo Muzeum Zamkowe w Pszczynie, Pszczyna 2020.



Henryk Grzonka. *Stanisław Ligoń 1879-1954. Ziemia Święta w obiektywie Karlika z „Kocyndra”*. Biblioteka Śląska, Katowice 2019.



Dariusz Krawczyk. *Prasa Samorządowa jako narzędzie polityki informacyjnej na przykładzie gmin Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii*. Wydawca: „Śląsk” sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2019.

Trzy kroki Kazimierza Cieślika

RYSZARD KOZIOŁEK

Jazda, jazda, jazda, w dzień, w nocy,
w dzień. Jazda, jazda, jazda.

(*Pieśń o miłości i śmierci korneta*
Krzysztofa Rilke, przeł. A. Włodek)

W opowiadaniu Romana Jaworskiego *Zepsuty ornament* narrator-bohater jest malarzem, który bezskutecznie próbuje objąć linią ornamentu zwykłą scenę rodzajową rozgrywającą się na dworcu kolejowym w trakcie oczekiwania na przyjazd pociągu. Inscenizuje więc graficznie obserwowanych ludzi, rzeczy i pejzaż w symboliczną całość, dla której stara się znaleźć ciągłą, spójną estetyczną formę. Nie chodzi wyłącznie o rozwiązanie problemu plastycznego; zamknięcie ornamentu ma być dowodem istnienia ukrytej korespondencji bezładnego świata zjawisk z ich symboliczną matrycą. Skomplikowany ład graficzny ma ujawnić ład metafizyczny – „naturę odwróconą” (Rilke) lub naturę-świątynię,

kędy słupy żywe

Niepojęte nam słowa wymawiają czasem.
Człowiek wśród nich przechodzi, jak
symbolów lasem,
One zaś mu spojrzenia rzucają życziwe.”
(Baudelaire, *Oddźwięki*, przeł. A. Lange).

Niestety, zamiast płynnej transformacji form, pod rękę malarza pchają się zużyte konwencje, rażące go swoją nieadekwatnością, zarówno wobec rzeczywistości, jak i wobec idei, które wyznaje. Ostatecznie, z niewykończonym ornamentem, malarz wsiada do pociągu. I wtedy jego współpasażer, garbus, widząc niedokończony rysunek podsuwa mu swój garb jako pulpit, aby malarz mógł dokończyć pracę. Groteskowy garb-pulpit wykrzywi z pewnością papier, ale może zasugeruje trzeci wymiar, nieosiągalny dla płaskiego ornamentu? Nie jest wcale jasny sens tej sceny. Szydzi wszak Jaworski z siebie, ze swego pomieszania prawdy i konwencji lub podstawienia w miejsce absolutu schematu, kliszy, powtórzenia. Demistyfikuje przy tym modernistyczną uzurpację traktowania sztuki jako następczyni religii w zdolności wywoływania i zaspokajania potrzeb metafizycznych. Czy jednak groteskowy garb jako fundament nowej sztuki byłby postulatem ponownego związania sztuki z rzeczywistością; kolizją estetycznej konwencji z gorzką brzydota i śmiesznością cielesności kalekiej, zdegradowanej, niemodelowej? A może ma być zapowiedzią sztuki krytycznej i zaangażowanej? Myślę o tych

pytaniach Jaworskiego – spóźnionego modernisty – zadziwionego ich trwałością po stu latach prób udzielania odpowiedzi na nie. Myślę o nich szczególnie, poruszony odpowiedzią jednego artysty – Kazimierza Cieślika.

Krok pierwszy – rozbieranie Boga

Jaworski wykpiwał powyższe antynomie i starał się unieważnić wartościującą opozycję między formalizmem a realizmem. Ten sam gest dostrzegam u Kazimierza Cieślika, w jego twórczości i eseistyce, kiedy kwestionuje kuratorski dyktat sztuki krytycznej i upiera się, że wolność i podmiotowość twórcy oraz autonomia jego poczynąń artystycznych jest fundamentem profesji malarza bez względu na czas i nurt, który go porrywa. Fascynująca jest droga, jaką przeszło jego malarstwo od późnych lat 70. po dziś dzień – od alegorycznej figuratywności osadzonej w kontekstach biblijnych do ekspansji form ornamentacyjnych na dużych formatach. Postacie, wcześniej wypełniające przestrzeń obrazów, teraz kryją się w zakamarkach ozdobnej flory, albo prześwitują spoza niej fragmentarycznie. No i są nieproporcjonalnie małe. Z rzeczywistym człowiekiem mają coraz mniej wspólnego,

phot. arch.



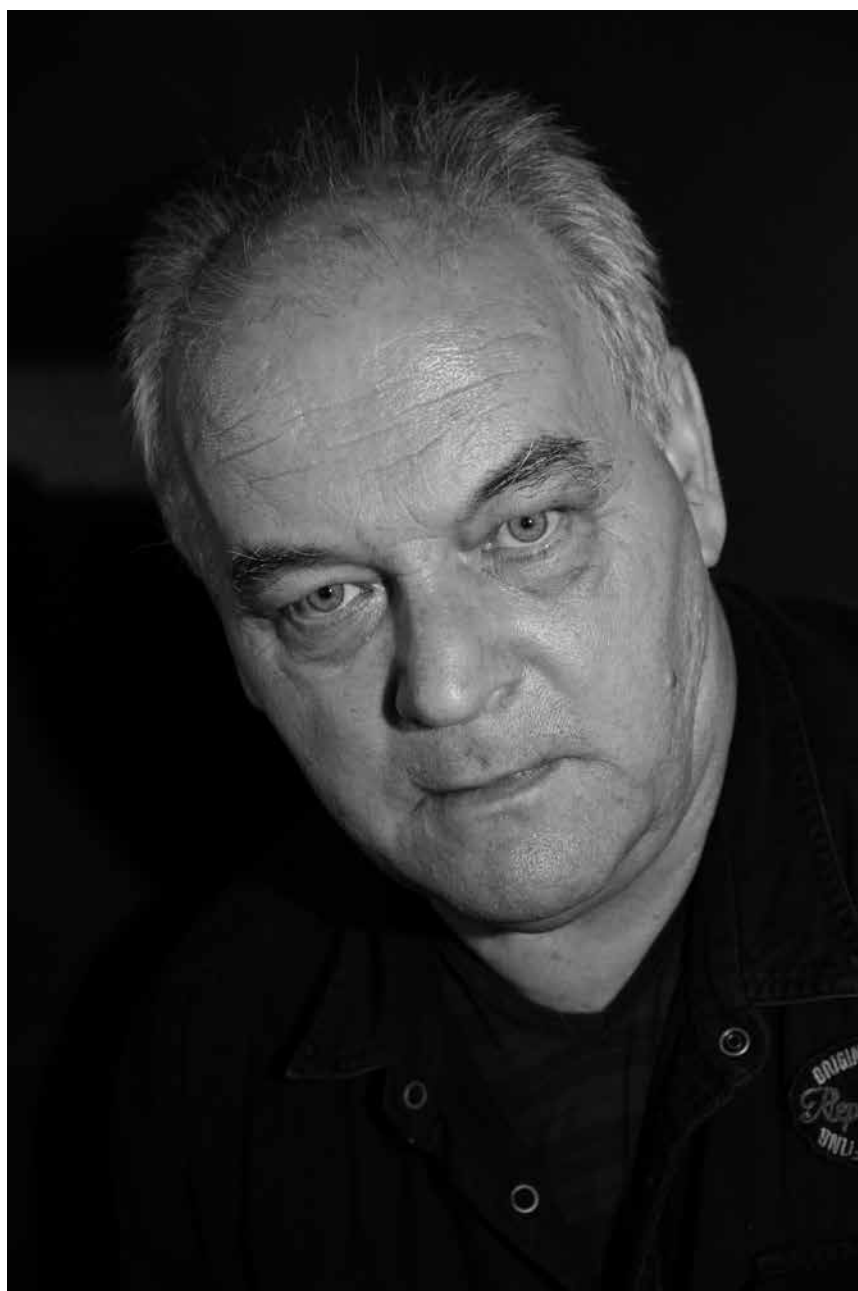
gdyż trafiają na obrazy Kazimierza Cieślaka z innych obrazów oraz ze świętych ksiąg ludzkości. Jego malarstwo było od początku erudycyjne i świadome nieskończonych kulturowych uwikłań każdego znaku językowego czy malarskiego. Świat na obrazach jest mu dostępny tylko jako przedstawienie, a postawa spontanicznej ekspresji czy erudycyjnego studium jest tylko inną pozycją malarza czytającego tekst świata, niczym wzorzystą tkaniną oglądaną to z jednej, to z drugiej strony. „Ten świat to dywanik na wywrót widziany, gdzie różne nitki wylażą i giną niby bez celu, a patrzący z tamtej strony widzi kwiaty i rysunki” pisał drwiąco Karol Irzykowski w *Pałubie*. Można zajmować się nadal „kwiatami i rysunkami”, albo podążać śladem „nitki”. Kazimierz Cieślak poszuka trzeciej drogi.

Mocne ekspresyjnymi środkami wyrazu, cielesne i erotyczne postacie dominowały w przestrzeni jego płócien do połowy lat 90. Cieślak rozbierał na nich chrześcijański panteon – Boga i jego świętych. Jakby chciał zdjąć z kościelnych historii anachroniczne *decorum* udrapowanych szat, sandałów, trefionych włosów, patriarchalnych bród. Surowa nagość tych postaci każe myśleć o rzeczywistości, a nie o alegorii, a jednak nagość od razu przybierała się w strój słów; nie dawała się kontemplować pożądliwemu oku, gdyż pokrywały ją natychmiast słowa Ewangelii: o rzezi niewiniątek, Marii i Marcie, Synu Marnotrawnym, Samarytance, Marii Magdalenie i innych. Cieślak uparcie eksplorujący Biblię daje jasno do zrozumienia, że na tym polega wolność artysty, a w tej samej epoce równoległe może istnieć sztuka czysta i tendencyjna, autonomiczna i zaangażowana. Ten obrońca Akademii nie jest „akademikiem”. Walczył i walczy o wolność polityczną sztuki, o jej istotne niezaangażowanie, aby mogła być zaangażowana dłużej niż publicystyka; żeby artysta nie był „papierowym niewolnikiem dnia” (Nietzsche). Cieślak wcale nie odżegnuje się od interwencyjnej funkcji sztuki, ale pojmując ją zgoła inaczej, niż zwolennicy sztuki krytycznej. „Pierwszym krokiem mógłby być powrót do dzieła w jego zdolności do rozświetlania, promieniowania, nasycania sobą otoczenia” (K. Cieślak, *Akademia dzisiaj*).

Jego autonomiczne malarstwo, w którym obnaża postacie ewangeliczne jest jak najbardziej zaangażowane, a nawet polityczne, ponieważ walczy o odzyskanie społecznego radykalizmu ewangelii stłumionej także przez niezliczone obrazy utrwalające konwencje przedstawiania historii Chrystusa jako odcieleśnionej i „kościelnej”.

Krok drugi – nawiedzony dom

Nowy wątek w opowieści malarza pojawił się we wspaniałym cyklu 21 obrazów:



Sen Józefa w domu Horty (1994–1997). Osłabieniu uległa tam siła anegdoty biblijnej. Jak temat w improwizacji jazzowej, błąkały się na tych obrazach historie Jakuba walczącego z Aniołem o błogosławieństwo i jego syna Józefa śniącego wizyjne sny w więzieniu Faraona, ale po raz pierwszy na taką skalę namalowana przestrzeń domu dominuje nad postaciami. Podwórce i klatki schodowe secesyjnej kamienicy dały mu kluczowy dla dalszego rozwoju impuls twórczy – ornament. Dziwna, magiczna przestrzeń tego wnętrza wysnuwa z siebie, niby to naturalnie poprzez giętkie kształty balustrad i mebli, bluszczowate formy, które – widzimy to już wyraźnie – zagrożą niebawem człowiekowi. Na razie są pozornie pokornym uzupełnieniem pojawiających się tam realistycznych postaci, ale już widzimy, że integralnie związane z wnętrzami arabeskowe formy chcą się uwolnić, być widziane i podziwiane,

a z czasem same przesłonią człowieka. Tak powstanie fenomenalna kombinacja znaku graficznego i ludzkiej postaci, którą Cieślak będzie eksplorował aż do dnia dzisiejszego na dziesiątkach obrazów. Emancypacja ornamentu ma w sobie coś z ekspansywności chwastu, pleniącego się zielska, gdyby nie fakt, że to malarstwo jest jak najdalej od naturalizmu i nie ma w sobie nic z chaosu zagęszczonych form roślinnych. Aby zdać sobie sprawę, ku czemu zmierza ta twórczość od stworzenia *Snu Józefa*, przywołuję opowiadania Brunona Schulza pt. *Nawiedzenie*, w którym pogrążony w samotności Jakub (ojciec narratora – Józefa) czuje się osaczony przez arabski – formy nocy, będące zarazem symbolami zmysłów, które wabią go, odciągając od kupieckich prac „liczenia i sumowania”:

Wówczas pogrążył się pozornie jeszcze bardziej w pracę, liczył i sumował, bo-

jąc się zdradzić ten gniew, który w nim wzbierał, i walcząc z pokusą, żeby z naszym krzykiem nie rzucić się na oslepek za siebie i nie pochwylić pełnych garści tych kędzierzawych arabesek, tych pęków oczu i uszu, które noc wyroiła z siebie i które rosły i zwielokrotniały się wymajaczając coraz nowe pędy i odnogi z macierzystego pępka ciemności. I uspokajał się dopiero, gdy z odplywem nocy tapety wędły, zwijały się, gubiły liście i kwiaty i przeredzały się jesienią, przepuszczając dalekie światła. (Bruno Schulz, *Nawiedzenie*)

Nie z natury bierze Schulz i Cieślík „kędzierzawe arabeski”. Pisarz jako źródło podaje „macierzysty pępek ciemności”. Gdzie to jest? Wydaje się, że w tym miejscu, które Freud (podobnie, jak Schulz) nazwał „pępkiem snu”. Miał na myśli miejsce niemożliwe do opisanego, gdzie kłębią się materiały budujące sen:

Często trzeba zostawić jakieś mroczne miejsce, ponieważ w trakcie wykładania zauważa się, że bierze tam początek kłęb myśli, który opiera się rozwikłaniu, który jednak nie wniósł też żadnego dalszego wkładu do treści sennej. Jest to pępek snu, w którym dotyka on tego, co nieznanego. Myśli senne, na jakie natykamy się w trakcie objaśniania, muszą przecież pozostać całkiem ogólnie bez końca, w podobnym do siatki zawikłaniu wybiegając na wsze strony w świat naszych myśli. Z tego miejsca osnowy, gdzie myśli splecione są silniej, wyrasta potem życzenie senne niczym grzyb ze swojej grzybni” (Z. Freud, *Objaśnianie marzeń sennych*, przeł. R. Reszke, 1996).

Ciało wplecione w ornament świetnie symbolizuje popędowo-symboliczną strukturę snu; dla czytelnika a natomiast sąsiedztwo ciała i ornamentu prowokuje fantazję o wzajemnej transformacji. Ciało i ornament na obrazie prowokują też podwójne spojrzenie. Spojrzenie estety śledzące fantastyczną technikę rysunku i operowania barwą przez Cieślíka natrafi w końcu na postać lub jej fragment; obce tej nieludzkiej naturze ludzkie ciało. Zagubione w regularności miękkich labiryntów form ornamentacyjnych oko profana z ulgą natrafia na człowiecze figury, które dadzą mu nadzieję, że ta sztuka ma ludzki temat. Ekspansją ornamentu w późnej twórczości nie oznacza porzucenia cielesności na rzecz czystej sztuki niefiguratywnej. Ornamentyka roślinna na tych obrazach jest ekspansją symboliki kobiecej. Kobiecość i sztuka są odpowiedzialne za wzajemne transgresje obu spojrzeń. Pierre Bourdieu w trwających przez dwa lata wykładach o Manecie (*Manet. Une revolution symbolique*, 2013) w tym właśnie widzi rewolucyjną siłę *Olimpii* – w wymieszaniu perspektywy pożądania i estetyki zarówno po stronie kreacji, jak i odbioru tego ma-

larstwa. Ornament u Cieślíka jest kobietą, ale inaczej niż np. u Klimta, nie pochłania ludzkiej postaci, ale ekspozuje jej samotność i znikomość.

Krok trzeci – obrazy do czytania

Ekspansja egzotycznej ozdoby i minimalizacja postaci ludzkiej wydają mi się najbardziej znaczącą kolejnego konsekwentnego ruchu artystycznego, jaki wykonał Kazimierz Cieślík. Na obrazach z lat 2000ych (np. *Siedem grzechów głównych, Osiem błogosławieństw, Czterech Ewangelistów wg mszału Jeana de Martins*) postaci zostały pomniejszone, niczym krnąbrny Nils z powieści Selmy Lagerlöf (*Cudowna podróż*), albo doktor Muchołapski z książki Erazma Majewskiego. Zostają w ten sposób pedagogicznie ukorzone, osłabiony został ich antropocentryzm, panowanie nad naturą, centralna pozycja we wszechświecie. Zastygły precyzyjnie rozrzucone pośród cudownych, kwiatnych labiryntów. Świeci i rycerze, wzniosłe alegorie cnót i win, tkwią niewielkie na gałązkach i liściach pyszniących się barwami i kształtami nie z tego świata. Niewielki rozmiar postaci sprawia, że musimy wyteżać wzrok, aby je dostrzec. Dawni i „wielcy” bohaterowie obrazów Kazimierza Cieślíka tracą swoją monumentalność i fizyczną ekspansywność; przypominają ojca z wspomnianego opowiadania Schulza, kiedy ten „zaczął z dnia na dzień maleć jak orzech, który zsycha się wewnątrz łupiny” (*Nawiedzenie*). Ceną za demiurgiczną pychę i patriarchalny gest jest teraz samotność. „Węzeł po węźle odluźniał się od nas, punkt po punkcie gubił związki, łączące go ze wspólnotą ludzką” (*Nawiedzenie*).

Łatwo przegapić egzystencjalną treść tych obrazów w odurzeniu nieludzkimi barwami i kształtami. Ale kiedy tylko rozgarniemy okiem liście i kwiaty dojrzymy na tych ogromnych płótnach zagubione ludzkie drobiny. Samotność jest niezbywalnym tematem sztuki Kazimierza Cieślíka. Nie tylko samotność jego postaci, ale bardziej jeszcze samotność twórcy. Wydaje się to romantyczną kliszą, a jednak dla niego pozostaje ostatnim może przyczółkiem podmiotowości i indywidualności artysty. Będzie więc podkreślał „niezbywalną wartość samotności w działaniu twórczym” (K. Cieślík, *Co Wielka Awangarda zrobiła z obrazem*). Jej wartość nie tkwi w sekretach twórczych skrywanym w pracowni.

Swoją samotność – pisze – lokuje znacznie bliżej ziemi. Stanowi ona dla mnie szansę ocalenia przed zniszczeniem zwyczajnej indywidualności, ocalenia nieoficjalnych, pozainstytucjonalnych związków między członkami społeczeństwa. Opowiadam się jedynie a miejscem, w którym autor całą uczciwością może odnieść się do

swojej pracy, badać do końca jej konsekwencje, doprowadzić do wewnętrznego dialogu – niechby i rozdarcia. Zaczisze pracowni pozwala na ten typ autoanalizy bez kokieterii i strojenia sposobnych min.” (*Co Wielka Awangarda zrobiła z obrazem*)

Samotność jest więc niezbędnym doświadczeniem artysty – twierdzi – ale też przywilejem, a nawet stanem łaski, który pozwala stanąć choć na chwilę w prawdzie wobec siebie i swojej sztuki, zanim zgiełk publiczności i krytyki lub ich obojętność odbiorą dzieło autorowi. Bliski Cieślíkowi Rilke tak rozpoczyna fragment o samotności, który nie wszedł ostatecznie do *Pamiętników Malte-Lauridsa Brigge*:

Lubię tę godzinę, która jest inna, przychodzi i odchodzi. Nie, nie godzinę, lubię tę chwilę, tak cichą. Tę początkową chwilę, ten początek ciszy, tę pierwszą gwiazdkę, ten początek. To coś we mnie, co powstaje, jak powstają młode dziewczyny na swej białej mansardzie. Na białej mansardzie, na której mieszkają, odkąd stały się dorosłe.” (*Fragment o samotnych*, przeł. T. Ososiński)

W skupionej samotności artysty tkwi źródło wszystkiego, co zbudowało fundamenty osobnej i niezwyklej twórczości malarskiej Kazimierza Cieślíka: głęboka samoświadomość aktu twórczego, wiedza o meandrach historii sztuki, uparte trwanie przy humanistycznym indywidualizmie tworzenia, hołd dla zmysłowej urody świata, uznanie dla sztuki artystycznego rękodzieła, nieustanne eksplorowanie Księgi. Ale jest coś jeszcze bardziej podstawowego, co uświadomiła mi kompozycja *Pieśń o miłości i śmierci korneta Krzysztofa Rilke* (2016) – heroizm artystycznego trwania w konsekwentnym ruchu naprzód, którego jedyną sankcją jest wierność sobie i prawdom malarskiego rzemiosła. Znakomite jest połączenie poematu „rycerskiego” Rilkego z fragmentami drzeworytu Albrechta Dürera: *Rycerz, diabeł i śmierć*, który został wmontowany w sześcioczęściową strukturę obrazu. Cieślík-kornet-rycerz podąża uparcie naprzód przez świat sztuki w rozpadzie, wpatrzony w szlachetne szczątki wielkiej sztuki przeszłości, którym pozostaje wierny. Cóż nam bowiem pozostało, Kazimierzu? Krótkie życie i sztuka – „trochę cielesnej powłoki i ta garść bezsensownych dziwactw” (*Nawiedzenie*).

A ja, widz tych obrazów, gdzie jestem? Autor traktuje mnie czule i troskliwie. Patrzę z przyjemnością na plan ornamentu, niczym na psychodeliczny kalejdoskop lub makatkę w kuchni mojej babci. Za nimi jednak tężeje apokaliptyczne niebo, na którego tkwią fragmenty Dürera. Zza tej kojącej zasłony dobiega nagłace napomnienie Rilkego:

Jazda, jazda, jazda, w dzień, w noc, w dzień. Jazda, jazda, jazda. ■



Kazimierz Cieślak, Czterech Ewangelistów, olej, płótno, 240x280, 2015 (według Flamanckiej Apokalipsy)



Kazimierz Cieřlik, *Jednoř obywatelska i rebelia (jak ostrzeęał Cesare Ripa)*, olej, pl6tn, o,180x300, 2019





Kazimierz Cieślak, Czterech Ewangelistów – Mamie (według południowej strony transeptu katedry w Burgos) olej, płótno, 240x280, 2018



Kazimierz Cieślak, Epitafium z Raron (z wykorzystaniem cudzych rysunków) olej, płótno, 200x300, 2018

Anny narracje niezwykle

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



for. arch.

Wszystkiemu winien Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk”. To tam – ona śpiewaczka, on tancerz – poznali się Bożena i Paweł, po ślubie Dudzińscy. Niby historia jakich wiele: wspólna praca, miłość, ślub, potem dzieci gromadka itd., itp. Ale nie, ta historia nie ma sobie wielu równych. Naraz odezwało się w małżonkach pragnienie wyjścia poza ugrzeczniony ludowy stereotyp promulgowany w „tamtych czasach” przez „Śląsk”. Zaczęli eksperymentować na własną rękę. Z Bożeny wyrosła unikalna, „wielowymiarowa” aktorka, z Pawła – obdarzony niespotykaną siłą osobowości, ciągle poszukujący, człowiek nowoczesnego teatru, teatru Grotowskiego bardziej niż Kantor, jednakowoż wyznający wspólną dla obu filozofię sięgania po nowe środki, mądrzej – nierzadko dosłownie ludycznej! – zabawy w ekstrema, przesuwania granic percepcji w regiony może czasem eksploatowane, ale jeszcze nie całkiem zbadane.

Domeną ich stała się sztuka zwana z angielską *performance*, bowiem skupia się ona na działaniach bezpośrednio wpływających na widzów/uczestników (widzowie sami często stają się aktywnymi uczestnikami spektaklu) i włączających improwizację czy grę intuitywną w żywiołowy akt twórczy. Dudzińscy stworzyli w tym nieustannym procesie tropienia świeżej estetyki scenicznego działania (*performance*) serię oryginalnych scenariuszy – jest to rzetelna sztuka, której obce są kompromisy, także gdy sięga ona po tradycję przedstawień jarmarcznych, czy technik wypracowanych w – dla nas jakże niepokojącym – japońskim teatrze *butoh*.

Czy zatem dziwi, iż rodzice wpoili swoim dzieciom miłość do niekonwencjonalnej sztuki? Jak kiedyś powiedziałem jednej z ich córek, Annie Jędrzejewskiej (po mężu), nie tylko ona, lecz jej siostry i bracia skazani byli na artyzm o zacięciu „wywiadowczym” – artyzm, który badając oprócz ziemi niczyjej nawet sfery już znajdujące się w obrębie kanonu sztuki eksperymentalnej, równocześnie rozszerza ich granice. Wyjątkowa rodzina, w której wszyscy wręcz oddychają sztuką, nawet wnuczki i wnukowie, niejednokrotnie biorący udział w przedstawieniach, czemu można mocno przyklasnąć.

Jędrzejewska to osoba obdarzona talentem na miarę uniwersalną. Być może jest, jak od dawna podejrzewam, najwszechstronniejszą polską artystką (rozumie się samo przez się, że niezależnie od płci): komponuje, gra na instrumentach i scenie, reżyseruje spektakle i filmy, tańczy, uczy – a to ledwie cząstka jej aktywności.

Kompozycję studiowała u, tak przy najmniej nazwał go śp. Stefan Kisielewski, „papieża polskiej awangardy” Bogusława Schaeffera, a najpierw pod kierunkiem Adama Walacińskiego (1928-2015), kompozytora niedocenionego, w istocie wartego więcej niż niektórzy jego przereklamowani koledzy. To Walaciński wielkodusznie polecił Jędrzejewską Schaefferowi; ten przyjął ją z otwartymi ramionami. Wiedzę uzupełniała i umiejętności kompozytorskie szlifowała potem u kilkorga wiodących osobowości sceny muzyczno-akademickiej, m.in. Lidii Zielińskiej, Marka Chołoniewskiego, Krzysztofa Knittla, Włodzimierza Kotońskiego. W tym świetle nie wydaje się zagadkowe, że zanurzyła się ona całkowicie w nurcie eksperymentalno-awangardowym (eksperyment i awangarda to nie są pojęcia tożsame). Po okresie tworzenia muzyki skrzętnie notowanej w formie partytur, z których kilka zdobyło nagrody i wyróżnienia na ogólnopolskich konkursach: *Pater Noster* na chór mieszany z 1998; *emotion-s* na zespół instrumentalny i dźwięki elektroniczne z 2002; czy świetny, energiczny *Rhizm* na trio fortepianowe z 2003, zabrała się Jędrzejewska za improwizację i muzykę intuitywną. Zresztą i wcześniej tworzyła jak gdyby w przewidywaniu dalszego rozwoju kariery: *Jaszczurka* – spektakl multimedialny podług Carlosa Castanedy na dwie aktorki, trio smyczkowe i syntezator; *Pamięci Kantora* – spektakl na trzech aktorów, skrzypce i syntezator; oba utwory powstały w 1994.

Wróćmy jednak do improwizacji i sztuki intuitywnej. Znowu – to dwie różne strony medalu kreowania na żywo, spontanicznie. Improwizacja zawsze wsparta jest jakąś ideą wyjściową, tematem najpierw podanym, a następnie rozwijanym dzięki improwizacji z niego wywiedzionej. Natomiast granie intuityw-

ne rodzi się *ad hoc*, jak gdyby z niczego, z ogólnej duchowo-energetycznej atmosfery miejsca sesji (to może być sesja internetowa, w której udział biorą muzycy z różnych krajów i kontynentów), pogody, pory dnia, liczby uczestników, ich samopoczucia, nawet tego czy coś wypalili albo wypili przed sesją, czy nie. Nie ma tu z góry narzuconej idei wyjściowej, zaczyna się wszystko od niewyrażalnej słowami spójni duchowej wykonawców, z której wysnuwa się muzyka.

Powyższe rozróżnienie jest nieostre w tym sensie, że w sztuce intuitywnej dochodzi do starcia totalnej swobody i przypadkowości z wrodzonym nam dążeniem do porządkowania materiału, co prowadzi do pojawiania się idei, które podczas wykonania stają się „tematami”, na podstawie których rodzi się – improwizacja. Podstawowa różnica między sztuką improwizowaną a intuicyjną leży w intencjonalnej decyzji czy od czegoś konkretnego zacząć (improwizacja), czy też zaczynać od zera (sztuka intuitywna). W każdym razie na tym ekscytującym terenie stała się Jędrzejewska wysoko cenioną solistką i partnerką w przedsięwzięciach na większe składy. Wypracowała indywidualne podejście do sztuki intuicyjno-improwizacyjnej, które nazywa Improwizacją Skoncentrowaną; jest to, jak sama mówi, „ćwiczenie muzyki intuicyjnej łączące dźwięk, gest i psychologię, badające obszary percepcji, koncentracji i przeżuwania”; przykładem improwizowany spektakl multimedialny *Rezonans energetyczny* z 2013/14.

Jako reżyserka Jędrzejewska jest autorką przepięknych etiud dokumentalnych na temat swoich rodziców. Dzieła te, jak również inne, przenoszą nas w tajemną rzeczywistość oniryczną. To hipnotyczne obrazy o potężnej sile wewnętrznej rzutującej na archetypiczną podświadomość odbiorców. Dowodzą one geniuszu, ponieważ geniusz polega na mówieniu rzeczy zwykłych – w niezwykle sposób. Jak u Chopina. ■

Wieczór kuglarzy

WOJCIECH LIPOWSKI

Gdy po wielu latach w tak trudnych okolicznościach, przyszło nam znowu zajrzeć do mrocznego świata Hanocha Levina, okazało się, że splątane losy jego bohaterów, troski brzmią aktualnie, odsłaniają wciąż to samo dno rozpacz. Bo cóż tak naprawdę pokazała nam Joanna Zdrada, w znakomitym spektaklu, wystawionym w 2011 roku na Scenie Kameralnej Teatru Śląskiego, który ujrzeliśmy po latach w zapisie telewizyjnym? Przede wszystkim autorską wizję kondycji człowieka skazanego na życie w ciemni dojmującej pustki. Opowieść o dwóch przyjaciół, którzy przy partyjce dominują próbując przemeblować własny świat, by w końcu po kilku chwilach żalonych uniesień wobec jedynej zapoznanej kobiety, powrócić do jałowej egzystencji. Tyle? Tak, ale nie o intrygę tu chodzi, lecz pojemne w znaczeniu relacje między ludźmi, którzy zanużeni w iluzji próbują odnaleźć spokojną przystań w złudnej nadziei na lepsze życie, ryzykując próżnością i śmiesznością.

Teatr kameralny i wyciszony do bólu, a w nim spotkanie trzech obsesji, zespolone i pulsujące własnym, nerwowym rytmem. Upokorzenie i destrukcyjna zazdrość mająca swe źródło w traumach przeszłości, to obraz rzeczywistości w sztuce Jakobi i Leidental, którą Levin zadebiutował jako reżyser w 1972 roku, w mieszczącym się w Tel Awiwie Teatrze Cameri, najważniejszej ze scen Izraela.

Hanoch Levin (1943–1999) jest uznawany za jednego z najwybitniejszych dramaturgów izraelskich. Pozostawił po sobie 56 dramatów, dwa tomy prozy, ale też utwory satyryczne i poezję. Niewiele mówił o sobie, rzadko udzielał wywiadów, wiemy o nim tyle, ile wypowiedział w swojej twórczości.

Wychowywał się w żydowskiej rodzinie ortodoksyjnej, mieszkając w biednej dzielnicy Tel Awiwu, ale porzucił ortodoksyjny tryb życia. Studiował filozofię i literaturę hebrajską. Co znamienne, wielu bohaterom nadawał imiona w języku jidisz, które miały swoje znaczenie i charakteryzowały daną postać. Większość dramatów została zrealizowana na scenach Izraela i poza nim, otrzymując wiele ważnych nagród. Wśród sztuk Levina znajdziemy teksty polityczne, biblijne, komedie. Jego najbardziej znane dramaty to słynny *Krum* (1975), *Męki Hioba* (1981), *Trud życia* (1989), *Dziwka z Ohio* (1997), czy *Morderstwo* (1997). Levin uważany był za teatralnego buntownika, eksperymentatora, który żongluje stylami i konwencjami teatralnymi, wielokrotnie jego utwory wywoływały sprzeciw odbiorców ze względu na ekscentryczne czy obrazoburcze treści. Dzisiaj jego dramaty obecne są w teatrach na całym świecie. Niektóre z nich zdobyły również dużą popularność w naszym kraju. Tak jest w przypadku sztuki *Jakobi* i *Leidental* w przekładzie Michała Sobelmana.

W tym kabarecie osobliwości, jarmarczno-cyrkowej estetyce gestu i scenografii, gdzie postaci ukazują nam twarze-maski z polczkami, na których płoną sztuczne rumieńce, by ukryć prawdziwe oblicza; odbywa się fascynujący korowód, wielki kamuflaż. Ta posępna opowieść dotyczy ludzi w nieustannej drodze, aktorów upokorzonych przez życie, dwuznacznych komediantów, którzy bawią nas za cenę własnego nieszczęścia, poniżenia i samotności.

Itamar Jakobi (Artur Świąś), Dawid Leidental (Andrzej Warcaba), Rut Szachasz (Grażyna Bułka) tworzą komiczny i jed-

nocześnie przerażający tercet. Od pierwszej sceny wpadają w obłąd zazdrości, wżajemnych pretensji, poniżeń i nieustannej śmieszności. Wszystko odbywa się niczym



fot. arch.

w surrealistycznej paradzie, przerywanej od czasu do czasu piosenkami, gagami wykonywanymi pod publikę, czy przerysowaną, błazeńską gestykulacją. Artyści ubrani w kostiumy jakby przed chwilą wypożyczone z cyrkowej garderoby, to osobne historie, osobne drogi zmierzające jednak w tym samym kierunku. Wszyscy chcą otrzymać coś od ślepego losu, zatem rozpoczynają handel wymienny, aby doprowadzić do spełnienia swych niewygorowanych pragnień.

Zyskiem Jakobiego, granego w tym spektaklu znakomicie z mistrzowskim wyczuciem dramaturgicznej partytury przez Artura Świąśa; stanie się dość przypadkowe małżeństwo z Rut w wykonaniu Grażyny Bułki. Telewizyjna wersja spektaklu podkreśliła ogromne możliwości artystycznego wyrazu, jakie tkwią w tej świetnej aktorce, jej postać to spektrum nastrojów pomieszczonych w bardzo kameralnej i statycznej postaci. Ona zyskuje podwójnie: werbując męża oraz niejako w rezerwie kochanka. Tenże, tutaj kolejny aktorski popis w wykonaniu Andrzeja Warcaby, który najpełniej z całej trójki pokazał cienką linię narysowaną przez Levina pomiędzy tragizmem a komiczmem; sam w akacie rozpaczliwie przewiąże się sznurkiem i ofiaruje młodej parze w charakterze ślubnego prezentu.

fot. arch.



TEATR CZASU ZARAŻY

fot. arch.



Te trzy odcienie ludzkiej samotności dążą do jeszcze jednego pragnienia: chcą wreszcie coś zmienić, uporządkować, ustabilizować w swoim życiu. Stać się po prostu kimś. „I tak mija czas, a ty nie robisz nic”, powie w końcu jeden z przyjaciół. Niestety, każdy zabiera się do tego nieporadnie z góry skazując na porażkę. Dobiegający czterdziestki Jakobi zaczyna od zerwania z przyjacielem Leidentalem. Rani go, upokarza, odrzuca, a w końcu, gdy marzenia nie spełniają się ostatecznie, siada z nim do kolejnej partii domina. Artur Świąć interpretując tę postać pokazał prawdziwy kunszt, oddając wyraziście narastający bunt, w końcu rezygnację i stagnację faceta zaplątanego w życie. Z kolei tragikomiczny Leidental Andrzeja Warcaby w przesuwających się szybko obrazach to człowiek zrezygnowany, ofiara na własne życzenie, byt upokorzony, dla którego obserwacja cudzej egzystencji staje się sensem i obsesją życiową.

Wspólne dla obu jest za to dążenie do intymnego, duchowego i cielesnego kontaktu z kobietą. Nie bardzo wiedzą jak miałyby wyglądać taka żywa wymiana pomysłów i olśnień, ale każdy stworzy osobną wersję tego pragnienia. I tu powracamy do fenomenu Grażyny Bułki, która w postaci Rut namalowała portret kobiety pełnej sprzeczności, paradoksów i wykluczeń. A może po prostu była taka jaką chcieli widzieć adoratorzy oraz ich rozbiegane myśli? Ponętna, pożądliva, słodka z jednej strony, bezczelna, prostacka z drugiej, wykorzystująca mechanizmy dominacji, by osiągnąć swój cel, przełamać utopioną w farasie i przerysowanych grymasach twarzy, swą dojmującą samotność. I do końca pozostanie takim, by użyć słów Hanocha Levina, instrumentem dla szczęścia. Tylko czyje-go? Upokorzonych kochanków?

Televizyjna adaptacja spektaklu, za sprawa

wą sprawnego i płynnego montażu scen, pozwoliła ukazać w zbliżeniu przesłonięte charakterystyką twarze aktorów. Tak blisko nie widzimy ich nigdy siedząc na widowni. Te zbliżenia, gdy trudno ukryć cokolwiek przed obiektywem kamery, pokazują jeszcze jedną niewątpliwą wartość artystyczną spektaklu Joanny Zdrady: nieprawdopodobnie wysoką temperturę wyrażonych emocji, uczuć w różnych zestawieniach i wariacjach. Z daleka obserwujemy przemyślaną, zamkniętą formę dramaturgiczną, scenę zanurzoną w półmroku, obrysowaną światłem, z bliska niezliczone kombinacje mimiczne, pełne psychologicznego potencjału, ukrytych znaków. Szybka zmiana planów przynosi w tym wypadku nieoczekiwany efekt: wzmacnia naszą aktywność poznawczą, zmusza do koncentracji uwagi, nie pozwala na bierność, oczyszcza.

Znakomitym pomysłem reżyserki było umieszczenie w tym spektaklu postaci katarzyniarza (w tej roli Łukasz Guzy). Wyko-

rzystanie przetworzonych dźwięków katarzynki, która nie tylko udanie łączy poszczególne epizody, lecz buduje emocjonalną tonację scen, ilustrując tragiczne, innym razem burleskowe obrazy; buduje jednolite tempo narracji teatru wmontowanego w przekaz wizualny. Poza tym jej niepokojący dźwięk, stanowi lejtmotyw, towarzyszący niczym ponury akompaniament zmiennym nastrojom trójki bohaterów, a wszystko wygrane na pograniczu oszustwa, żłudy, udawania, mizdrzenia się, sugestii, bo w sztuce zawsze jedno ukazujemy przez coś innego.

Można odnieść wrażenie, że telewizyjna wersja spektaklu Joanny Zdrady, zrealizowana w 2013 roku przez Leszka Ptasińskiego, w niektórych fragmentach, podskórnych inspiracjach, nawiązuje do dzieł filmowych Ingmara Bergmana. I nie chodzi tu o zapożyczenia formalne, czy motywy komediantów, ludzi wędrujących przez pełne przeciwności, pokrócone ścieżki życia, których dusze przypominają stłuczone zwierciadła, odbijające niespokojny świat. Chodzi raczej o wytrwałę dążenie w kierunku poznania, zrozumienia zakrytego przed człowiekiem mechanizmu egzystencji. Taką drogę przemierzają nieustannie bohaterowie utworów Hanocha Levina. Bergman w swych Obrazach napisał: „Istnieją ruchliwe obrazy z dźwiękiem i światłem, które nigdy nie opuszczają projektora duszy, lecz wiją się pętlą przez całe życie z niezmienną ostrością, niezmienną jasnością. To tylko świadomość, która ustawicznie i bezlitośnie zmierza ku prawdzie”.

Hanoch Levin
Jakobi i Leidental
reż. Joanna Zdrada
pokaz online 25.04.2020
Teatr Śląski w Katowicach 2011
Televizja Polska 2013



fot. arch.

NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:
Anna Gaitoer
Joanna Kotkowska

Zmarła Barbara Rosiek

CZĘSTOCHOWA. 27 kwietnia opublikowano informację o śmierci poetki, pisarki i psycholog klinicznej. Barbara Rosiek miała na swoim koncie kilkanaście tomików poetyckich i 10 książek opisujących trudne życiowe historie, ale chyba wciąż najbardziej była znana jako autorka *Pamiętnika narkomanki*.



fol. arch. UM Częstochowa

Urodziła się 25 czerwca 1959 roku w Częstochowie. Od 1973 roku, jako uczennica częstochowskiego liceum, a następnie studentka psychologii na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach prowadziła pamiętnik, który stał się podstawą jej debiutu literackiego w 1985 roku. Posłowie do książki napisał Marek Kotański. *Pamiętnik narkomanki* nie był jednak wydaniem intymnego dokumentu, wiele fragmentów opuszczono. Barbara Rosiek nie ukryła się pod pseudonimem, co dostarczyło jej wielu problemów. Autorka *Pamiętnika narkomanki* z powodu swojej przeszłości dla wielu długo jeszcze traktowana była nieco podejrzliwie. Po rezygnacji z pracy w szpitalu, była wolontariuszką w hospicjum i działała w Towarzystwie Przyjaciół Rodzin Dzieci Uzależnionych.

W 2002 roku International Biographical Centre w Cambridge przyznało Barbarze Rosiek srebrny medal za całokształt twórczości literackiej. Potem została m.in. wyróżniona Nagrodą Prezydenta Miasta Częstochowy (2010) oraz Nagrodą Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego (2015). Lubiła podróże, interesowała się filozofią, czytała poezję Emily Dickinson, uprawiała tai chi. Przez ostatnie miesiące mieszkała w domu rodzinnym i zmagiała się ze skutkami złamania kręgosłupa.

Prochy Barbary Rosiek złożono 2 maja w grobie rodzinnym.

Przez śmierć do Zmartwychwstania

CZĘSTOCHOWA. Wielkanoc 2020 zapamiętamy na długo. I pewnie będziemy się do niej odwoływać przez lata. Mimo wprowadzonych ograniczeń wielu pozostających w domach, albo znajdujących się na pierwszej linii walki z koronawirusem, chciało przeżyć Triduum Paschalne. Możliwość kontemplacji dawała m.in. wystawa zorganizowana przez Muzeum Częstochowskie zatytułowana *Ecce homo*. Otwarto ją 25 lutego br. w Ratuszu, ale wirtualne zwiedzanie udostępniono 8 kwietnia o godz. 18.00.

Na ekspozycji zaprezentowano 60 dzieł sztuki ludowej odwołujących się do męki Chrystusa, pochodzących ze zbiorów Muzeum Częstochowskiego. Są to obrazy (malarstwo na szkle i na desce), płaskorzeźby i rzeźby (drewniane, gliniane, ceramiczne, z kości słoniowej). Najstarsze dzieła pochodzą z XVIII wieku, najmłodsze z lat 80. XX wieku. Prace wykonał m.in.: Janina Plucińska-Zembrzaska, Stanisław Majewski, Zdzisław Purchała, Józef Kaczmarek, Stanisław Sikora.

Ekspozycje opatrzone komentarzem, te jednak na wystawie wirtualnej nie zawsze są widoczne. Niektóre rzeźby można natomiast obejrzeć ze wszystkich stron. Oprócz dzieł sztuki ludowej autorzy wystawy zaprezentowali wybór wypowiedzi badaczy oraz artystów, zwracających uwagę na nierozzerwalność cierpienia i szczęścia, bólu i miłości, ale również ujawniających sens śmierci w życiu człowieka.

Odszedł Zbislav Janikowski

CZĘSTOCHOWA. 6 kwietnia okazało się, że Nagroda im. Karola Miarki oraz książka *Moja Częstochowa w PRL, mój PRL w Częstochowie* były wydarzeniami wieńczącymi życie Zbislawa Janikowskiego, literata, animatora kultury i twórcy opowieści o historii Częstochowy.



foto. arch. UM Częstochowa

Zbislav Janikowski urodził się tuż przed wybuchem II wojny światowej, 11 lipca 1939 roku. Chodził do Szkoły Podstawowej nr 25, II LO im. Romualda Traugutta w Częstochowie, następnie rozpoczął studia na Politechnice Częstochowskiej, a gdy zamknięto kierunek włókiennictwo, dokończył naukę na Politechnice Łódzkiej.

Pisać zaczął na emeryturze. Pierwszy cykl felietonów publikowany na łamach „Życia Częstochowskiego” od 2005 roku nosił tytuł *Porozmawiaj ze mną...* Współpracował z czasopismem „Aleje 3”, drukował wspomnienia w „Almanachu Częstochowy”, tworzył wierszowane książeczki dla dzieci oraz scenariusze i komentarze do filmów dokumentalnych realizowanych przez KasFilm i RM Group Produkcja Filmowa. Przygotowywał również audycje cykliczne w Radiu Jasna Góra i Radiu Fiat, a od 2004 roku tworzył szopki noworoczne. W OPK Gaude Mater, a następnie w Muzeum Częstochowskim prowadził spotkania *Zbislav Janikowski rozmawia...* z ciekawymi osobami z naszego regionu. Ostatnio pracował nad scenariuszem filmu z okazji jubileuszu 800-lecia miasta, prezentującego 500 lat Częstochowy począwszy od 1220 roku.

Zbislawa Janikowskiego pochowano 8 kwietnia na cmentarzu św. Rocha w Częstochowie.

Grzegorz Bednarski wirtualnie

CZĘSTOCHOWA. Gdy zwiedzanie wystaw zostało zawieszono, część instytucji kulturalnych przeniosła swoją działalność do Internetu. Wernisaż ekspozycji *Dzień dobry, panie Gaugin. Między skrajnościami. Obrazy Grzegorza Bednarskiego* planowany na 13 marca został odwołany, ale Miejska Galeria Sztuki w Częstochowie zaproponowała zwiedzanie wirtualne, a wcześniej na Facebooku prowadziła projekt *Jedno dzieło/pełna wystawa*.

Prace wybrane z ponad stu zgromadzonych na wystawie w trzech salach MGS-u – Poplenerowej, Gobelinowej oraz Antresoli – publikowano z komentarzem Barbary Major (kuratorka wystawy) albo Renaty Rogozińskiej (autorka katalogu do wystawy z 2017 roku prezentującej cykl *Personifikacje*). W ten sposób zaprezentowano m.in. *Martwą naturę z reprodukcją 1*, nawiązującą do obrazu Paula Gaugina oraz prace z cyklu *Personifikacje*, opowiadające o postaciach świętych. Zaprezentowano m.in. św. Jana Bosko, św. Wawrzyńca, św. Pawła, św. Teresę z Ávili czy św. Jana od Krzyża. W obrazie *Męczeństwo św. Wawrzyńca* Bednarski dialoguje z pracą Tyjcjana, a w *Męczeństwie św. Pawła* z dziełem Ludovica Carracciiego *Męczeństwo św. Małgorzaty*. Prace te ujawniają nie tylko doskonałą znajomość malarstwa, co oczywiste u profesora Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, ale również lekturę apokryfów oraz literatury religijnej.

Dyrekcja MGS-u zapowiada, że wystawę będzie można zobaczyć na żywo w maju i czerwcu.

Rocznice obchody.

KATOWICE. Uroczyste obchodzono daty związane z pamięcią o Święcie Konstytucji 3 Maja i 99. rocznicy wybuchu III Powstania Śląskiego

Z uwagi na epidemię koronawirusa obchody miały symboliczny wymiar. Złożono wieńce i oprawiono mszę świętą w intencji Ojczyzny.

Wieńce przy pomniku Powstańców Śląskich oraz pomniku Wojciecha Korfantego złożyli marszałek **Jakub Chelstowski**, wojewoda **Jarosław Wieczorek**, prezydent Katowic **Marcin Krupa**, przewodniczący zarządu Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii Kazimierz Karolczak. Następnie w Archikatedrze Chrystusa Króla odprawiona została msza święta, której przewodniczył arcybiskup **Wiktor Skworec**, metropolita Katowicki. W mszy świętej uczestniczyli również wiceminister sprawiedliwości **Michał Wójcik** i członek Zarządu Województwa **Beata Białowąs**.

100 rocznica urodzin Karola Józefa Wojtyły

KATOWICE. W przypadającą 18 maja 2020 roku setną rocznicę urodzin Karola Józefa Wojtyły późniejszego świętego papieża Jana Pawła II, Archiwum Państwowe w Katowicach pragnie zaprezentować przechowywane archiwalia dotyczące Papieża i jego rodziny będące częścią zasobu Oddziału w Bielsku-Białej. Oddział ten zgromadził materiały archiwalne m.in. z Wadowic, Bielska, Białej, Czańca i Lipnika, tj. z miejscowości, z którymi Karola Wojtyła i jego rodzina związani byli na długo przed tym, nim został on papieżem.

Archiwalne Wojtyliana to przede wszystkim materiały archiwalne związane z początkowym okresem życia przyszłego papieża. Proces ich powstawania i gromadzenia nie różnił się niczym od losów archiwaliów innych osób zamieszkałych w przeszłości na terenie działania bielskiego archi-



wum. W związku z tym do naszych czasów zachowała się dokumentacja dotycząca zamieszkania na terenie ziemi wadowickiej, pobieranej nauki w szkole średniej, oraz śladowe ilości archiwaliów odnoszących się do przodków Jana Pawła II. Z czysto formalnych przyczyn (100-letni okres przechowywania akt przez ich wytwórcę), w zasobie oddziału w Bielsko-Białej, nie ma jeszcze akt stanu cywilnego dotyczących narodzin i chrztu Karola Wojtyły i jego rodzeństwa. Symptomatycznym zjawiskiem, dotyczącym zachowania archiwaliów zwłaszcza z pierwszej apostolskiej podróży Jana Pawła II do Polski w 1979 roku i jego pobytu w Oświęcimiu, Wadowicach czy Kalwarii Zebrzydowskiej, zdaje się brak śladów poważniejszego zainteresowania tymi wielkimi wydarzeniami w archiwaliach wytworzonych przez urzędy działające na terenie właściwości oddziału w Bielsko-Białej. Zaprezentowane dokumenty archiwalne dotyczące mszy papieskiej odprawionej 7 czerwca 1979 roku na terenie byłego KL Auschwitz II – Birkenau, to efekt prywatnych starań archiwistów zatrudnionych wówczas w oświęcimskim oddziale Archiwum Państwowego w Katowicach.

Europejski Kongres Gospodarczy

KATOWICE. Wydarzenie po raz pierwszy zorganizowane online, które było dostępne w 100 procentach w internecie. W jego otwarciu uczestniczył marszałek województwa śląskiego Jakub Chelstowski. Kongres to nie tylko wielkie zainteresowanie mediów, prestiż czy też możliwość prowadzenia debat, które uwzględniają kontekst naszej nowej rzeczywistości, w gronie przedstawicieli biznesu, polityki, samorządowców, ekspertów, ekonomistów, prawników, naukowców, twórców start-upów, przedsiębiorców, menedżerów, inwestorów z Polski, Europy, Azji, Afryki i obu Ameryk. To także możliwość kreowania wizji nowej Europy, poszukiwania

dobrych sposobów stymulowania gospodarki w czasach pandemii, innowacyjnych sposobów rozwiązywania problemów, wreszcie spoglądania w przyszłość z nadzieją. Tematyka obrad, poruszane kwestie pozostają ważne nie tylko dla województwa śląskiego, Polski, ale dla całej Europy. Stoimy przed koniecznością dokonania korekty dotychczasowego sposobu myślenia i postępowania. Katowice kolejny już raz stały się miejscem, w którym warto być, miejscem, w którym dzieją się rzeczy ważne, wreszcie miejscem, gdzie pracowitość, determinacja, odpowiedzialność, konsekwencja odgrywały i odgrywają ważną rolę w życiu człowieka.

„Powstania śląskie 1919–1920–1921. Nieznana wojna polsko-niemiecka”

KATOWICE-KRAKÓW. Głośna już książka prof. zw. dr hab. Ryszarda Kaczmarka pt.: „Powstania śląskie 1919–1920–1921. Nieznana wojna polsko-niemiecka” (Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019) otrzymała laur w kategorii Dział Monografie i prace naukowe. Nagrody Historyczne Polityki przyznawane są corocznie za publikacje książkowe o tematyce dotyczącej najnowszej historii Polski (od 1914 roku), a pomysłodawcą i przewodniczącym Jury od samego początku jest red. Marian Turski. Jury – wybitni polscy historycy oraz przedstawiciele tygodnika „Polityka” – w tym roku oceniło więcej kandydatur, bo aż 180!

Akcja społeczna Archiwów Państwowych. Archiwum Pandemii A.D. 2020.

KATOWICE. Inicjatywa tworzenia społecznej kolekcji dokumentów pandemii wywołanej koronawirusem (SARS-CoV-2). Zadbajmy o to, by następne pokolenia dowiedziały się, jak żyliśmy w czasie pandemii wywołanej koronawirusem? Jak zmienił on nasze codzienne zwyczaje, postrzeganie świata i nas samych? Jakie przeobrażenia wymusiła epidemia i w jaki sposób się do nich dostosowaliśmy? Co nas martwiło, a co cieszyło w tym trudnym czasie? Jakie mieliśmy rozterki, wątpliwości, obawy, a co dawało nam nadzieję? W jaki sposób przetrwaliśmy?

Efektom zainaugurowanej akcji będzie zgromadzenie w archiwach państwowych wyjątkowej kolekcji „dokumentów chwili”. Tak stworzony przekaz źródłowy, dotyczący wyjątkowego w dziejach najnowszych Polski doświadczenia, ukáže jego skutki zarówno w wymiarze prywatnym, jak i instytucjonalnym. Archiwa Państwowe apelują o przekazywanie świadectw naszych czasów. To one są instytucjami pamięci, które gromadzą i przechowują najliczniejsze świadectwa historii oraz powszechnie je udostępniają w czytelnich akt oraz on-line, m. in. w serwisie szukajwarchiwach.gov.pl. Materiały mogą być przekazywane do Archiwów Państwowych w dowolnej formie: dokumentacji tradycyjnej lub elektronicznej, od różnego typu dokumentów: rękopisów, zdjęć, ulotek, wycinków prasowych, gazetek okolicznościowych, przez nagrania, blogi, dzienniki, memy (do których przekazywający ma prawo własności).

Muzeum Historii Katowic on-line

KATOWICE. W kwietniu ruszył na stronie MHK serwis „Muzeum on-line”. Znalazły się tam trzy kategorie materiałów, które można poznawać z domu.

Pierwsza kategoria to „Filmy”, wśród nich archiwalne relacje z wystaw i związanych z nimi wydarzeń (między innymi kulisy tworzenia takich ekspozycji, jak „Z dziejów Katowic” czy „Made in Katowice”) oraz materiały o te-

matyce naukowej, na przykład krótki materiał, w którym Natalia Kruszyna, znana specjalistka i znawczyni twórczości Witkacego, opowiada o szczegółach powstania zakupionego w zeszłym roku przez MHK portretu „Mbret Lalus Zogu”.

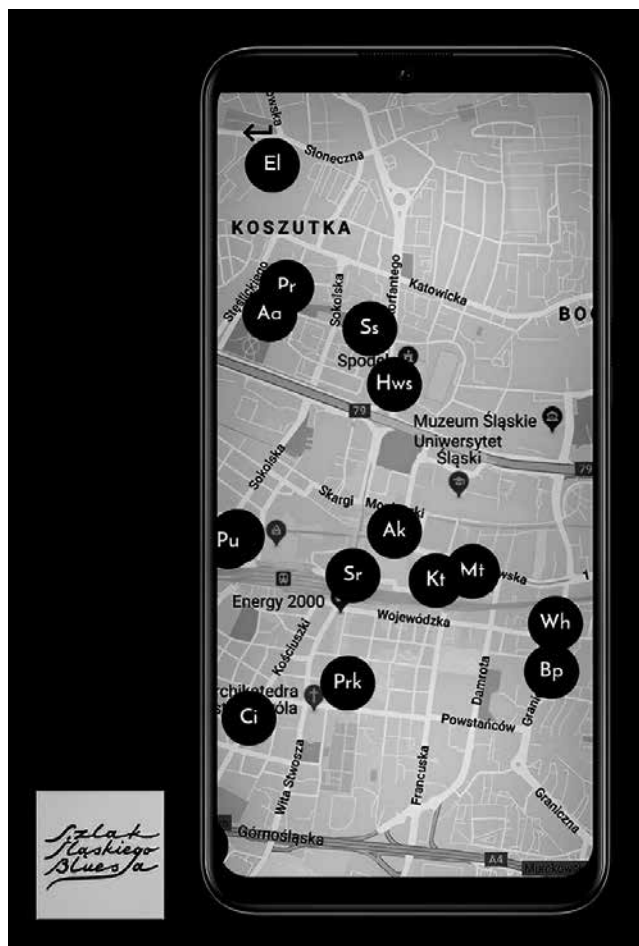
Drugą kategorią są „Książki”. Wszystkim chętnym Muzeum za darmo udostępnia wybrane tytuły. Można tutaj znaleźć publikacje opowiadające o historii miasta i jego zabytkach, o wystawach przygotowanych przez MHK, o Witkacym.

Ostatnią, trzecią kategorią „Muzeum on-line” jest „Edukacja”. Muzeum udostępnia wirtualne lekcje wraz z kompletami materiałów do samodzielnej nauki w domu.

Od 1 maja działa strona internetowa, na której można obejrzeć i poznać każdy eksponat ze zbiorów Muzeum Historii Katowic. Jest to zwińczenie wielu lat przygotowań w ramach projektu „Digitalizacja oraz udostępnianie on-line zbiorów Muzeum Historii Katowic”. Projekt został dofinansowany przez Unię Europejską oraz miasto Katowice. Każdy może zobaczyć, jak wyglądają eksponaty muzealne, kto jest ich autorem, skąd pochodzą, a nawet z czego są zrobione. Muzeum kontynuuje również współpracę z Google Arts&Culture. Od 7 maja możemy oglądać na tym portalu wystawę pt. „Asymetryczna Dama”. To wybór portretów Eugenii Wyszomirskiej-Kuźnickiej stworzonych przez Stanisława Ignacego Witkiewicza. Wszystkie dzieła w serwisie są bardzo wysokiej jakości. Można podziwiać każdy, nawet najdrobniejszy szczegół portretów modelki. Wystawę wzbogacają również opisy związku artysty z Wyszomirską-Kuźnicką.

Szlak Śląskiego Bluesa bez wychodzenia z domu

KATOWICE. Szlak Śląskiego Bluesa, czyli jedyny na świecie multimedialny szlak turystyczny opowiadający histo-



rię kultowych klubów muzycznych na Śląsku, a przede wszystkim w Katowicach, w czasie pandemii rozszerzył możliwość korzystania z aplikacji szlakowej bez wychodzenia z domu. Dzięki temu nie trzeba logować się w miejscu każdego z klubów, by zobaczyć pełne wersje filmów pełnych wspomnień muzyków (m.in. muzyków zespołu Dżem, Cree, Organka, Kuby Badacha, Miuosha, czy Zbigniewa Hołdysa) o historycznych już miejscach rozwoju kultury na Śląsku.

Szlak Śląskiego Bluesa zaprasza również na swoją stronę na portalu Facebook.com/szlakbluesa, gdzie co piątek o 20:30 odtwarzane są na żywo najlepsze śląskie płyty winylowe.

VIII Edycja konkursu „Poznaj Górny Śląsk, Katowice, swoją dzielnicę”

KATOWICE. Organizatorem konkursu jest Zespół Szkół nr 7 im. St. Mastalerza w Katowicach. Konkurs skierowany jest do uczniów szkół. W ramach uczestnictwa w konkursie należy przysłać na adres: konkurs.zs7@gmail.com rozwiązanie zadań, które będą się ukazywać na stronie www.zs7.katowice.pl.

Konkurs ma na celu:

- upowszechnianie wiedzy na temat naszego regionu,
- poznanie ciekawych miejsc na terenie Katowic,
- wpływ Unii Europejskiej na rozwój Śląska i Katowic,
- rozwijanie umiejętności docierania do różnych źródeł informacji,
- kształtowanie poczucia więzi z własnym regionem, miastem i dzielnicą,
- organizacja czasu wolnego w gronie rodzinnym, przyjaciół i znajomych.

Odpowiedzi konkursowe należy nadsyłać na adres: konkurs.zs7@gmail.com. Do konkursu można przystąpić na każdym etapie jego trwania. Konkurs polega na przysyłaniu odpowiedzi na 3 zagadki, które ukazują się co dwa tygodnie (od marca do maja 2020) na stronie internetowej Zespołu Szkół nr 7 w Katowicach www.zs7.katowice.pl. Odpowiedzi zadań konkursowych należy przysłać na adres: konkurs.zs7@gmail.com. W tytule e-maila z odpowiedziami należy podać imię i nazwisko uczestnika konkursu i szkołę. Na każdy e-mail z odpowiedziami zostanie odesłane potwierdzenie otrzymania wiadomości.

Biblioteka Śląska udostępnia wypożyczalnię

KATOWICE. Zachowując wszelkie środki ostrożności oraz dbając o zdrowie i komfort czytelników i pracowników od 18 maja 2020 roku Biblioteka Śląska uruchamia wypożyczalnię, która będzie czynna od poniedziałku do piątku w godz. 10.00–18.00.

Personalia w Bibliotece Śląskiej

KATOWICE. Zarząd Województwa Śląskiego podjął w dniu 14.05.2020 uchwałę w sprawie stosunku pracy zastępców dyrektora Biblioteki Śląskiej w Katowicach i:

Wyraził zgodę na zatrudnienie Pani **Agnieszki Magiery** na stanowisku zastępcy dyrektora Biblioteki Śląskiej w Katowicach ds. Książnicy.

Wyraził zgodę na rozwiązanie stosunku pracy z Panią **Agnieszka Dec-Michalską** – zastępcą dyrektora Biblioteki Śląskiej w Katowicach ds. technicznych.

Wyraził zgodę na zatrudnienie Pana **Krzysztofa Szymańskiego** na stanowisku zastępcy dyrektora Biblioteki Śląskiej w Katowicach ds. technicznych.

Dwór w Wierzchowcach przestał istnieć wiele lat temu i choć rzadko zdarza mi się przedstawiać historię obiektu, który zachował się tylko na starych fotografiach, w tym przypadku postanowiłam zrobić wyjątek. Po części skłoniła mnie ku temu budowla znajdująca się nieopodal pałacowego parku. Jest ona zaniedbana i chyli się ku upadkowi, jednak widoczna z drogi powoduje, że nie sposób nie zjechać i przyjrzeć się jej z bliska, bo z pewnością wiąże się z nią jakaś ciekawa historia.

Czym była owa budowla można się tylko domyślać, być może jest to pozostałość po dawnych zabudowaniach gospodarczych dawnego folwarku. Obecnie ta malownicza ruina jest ogrodzona, jednak – jak się przekonałam – nie uchroniło to jej przed dewastacją. Barokowy dwór w Wierzchowicach o konstrukcji szachulcowej wybudowany został przez Christiana Heinricha von Reichenbacha w drugie połowie XVIII wieku. Budowla została dość znacznie uszkodzona podczas wojny siedmioletniej w 1760, jednak odbudowano ją powiększając o dwa boczne skrzydła. W latach 1819–1945 dwór należał do rodziny hrabiostwa von Hochbergów z Roztoki. Lata drugiej wojny światowej przebiegały dla rezydencji spokojnie, jednak wraz z zajęciem tych ziem przez czerwonarmistów zegar śmierci ruszył. Po zdobyciu miejscowości przez oddziały sowieckie, początkowo w rezydencji urządzono siedzibę komendantury, a wojsko stacjonowało na dziedzińcu oraz w namiotach na terenie dworskiego parku.

Rosjanom plądrującym dwór nie mieściło się w głowach, jak to jest możliwe, by jeden człowiek miał na własność cały pałac, park i folwark. Szafy pełne ubrań,



fol. Julia Montewska

Śląskie tajemnice cz. 28

Pałac w Wierzchowicach

JULIA MONTEWSKA

lonach lub wywlekane razem z futrynami na dziedzińiec. W żołnierskich ogniskach kończyły stylizowane meble, obrazy i dzieła sztuki. Tylko nieliczne wyposażenie ocalało z tego aktu wandalizmu – chociaż może „ocalało” jest tu zbyt wielkim słowem, bo po odejściu żołnierzy z pod znaku czerwonej gwiazdy, co cenniejsze przedmioty wyszabrowano w latach PRL.

Władza Ludowa po wojnie przydzieliła pałac, jak i folwark Państwowemu Gospodarstwu Rolnemu Czarnogózdzice.

Później przekazano go Wojewódzkiemu Sanatorium Neuropsychiatrii w Krośnicach. W latach 70-tych użytkowane już były tylko zabudowania gospodarcze, natomiast dwór był zajmowany przez kilkanaście rodzin, które wykorzystywały go na cele mieszkaniowe. Co najmniej kilkukrotnie przymierzano się do remontu, nie były to jednak skonkretyzowane plany. Na przemian proponowano kapitalny remont, po czym w innych latach mówiono, iż wystarczy częściowy, co nie zmienia faktu, że przez dekady w ogóle żadnych prac nie wdrożono. Urzędnicy i prawne przepychanki doprowadziły do sytuacji, która w pewnym momencie była już nieodwracalna. Wałąc się stropy, przegniły dach i ogólny fatalny stan obiektu zaczął grozić katastrofą budowlaną. Ta kuriozalna sytuacja miała swoje apogeum 14 grudnia 1989r., kiedy to przystąpiono do rozbiórki dworu. Tak oto w kraju, w którym prawo nakazuje chronić wszystko, co cenne z ponad tysięcioletniego dorobku, tak cenny zabytek jak dwór w Wierzchowicach przestał istnieć. Za żadne skarby nie jestem w stanie pojąć urzędniczej niemocy i decyzji o rozebraniu tak pięknego dworu, którego rozbiórka tak naprawdę rozpoczęła się nie w czasach władzy ludowej, a w wolnej Polsce, kilka miesięcy po upadku komunizmu. ■



fol. Julia Montewska

meble, lustra, wszędzie przepych i blichtr – skutkowało to niszczeniem wszystkiego w bezrozumnym szale. Oknami wylatywały fotele, sofy, żyrandole, sekretarzyki; a to, co nie mieściło się w otworach okiennych było łamane i rąbane w sa-

Julia Montewska – inicjatorka powstania fundacji ochrony zabytków Dolnego Śląska „Vestigium”, regionalistka, pasjonatka ruin, miłośniczka zabytków oraz architektury obronnej i przemysłowej Dolnego i Górnego Śląska, twórczyni internetowego portalu Łowcy Historii, publikuje w miesięczniku „Odkrywca”.



